

RUaH

30/2005

MAGAZYN
MUZYCZNY

KWARTALNIK
www.ruah.pl



14,90 zł
w tym VAT 0%

CD z nowymi piosenkami + newsy
recenzje koncerty

Jasiu RADWAN



INDEX 345385

ISSN 1428-5983 03



9 771428 598059

NAKLAD 5000 egz.

U2

Bomba. rozbrojona!

ARMIA

Budziński na Najdalszej Wyspie

CAPOEIRA

nie nauczy się tylko ten, kto nie chce!

Polak w zespole

GEN ROSSO

MAX CAVALERA

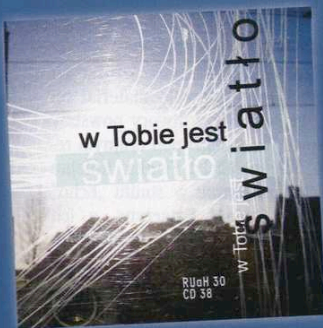
i jego duchowa przemiana.

MICHAŁ KULENTY

jazzman renesansowego formatu

WOJTEK KOWALSKI

Izajasz na wulkanie



w Tobie jest światło CD 38

- 1 Puma, Adam Rymarz, KrisStal, Jarek Zawadzki, Bądź listem – st. i muz. ks. Justyn Ziemiński
- 2 Marta Florek i grupa Odpowiem W Tobie jest światło – st. i muz. Artur Kaszowski
- 3 Saruel Z Tobą i w Tobie – st. i muz. ks. Cezariusz Cieszyński
- 4 Euangelion Bądź wdzięczny – st. Władysław Babis, muz. Jacek Konicki
- 5 DJ Fabbs Eli, Eli – muz. DJ Fabbs
- 6 Stróże Poranka Drogi – st. Paweł Chustak, muz. Paweł Chustak i Kuba Domański
- 7 Amaryllis Stella Splendens – st. i muz. na podst. „Libre Vermell de Montserrat” (XIII-XIV w.) Ewa i Marek Domagała
- 8 TCD Dales mi zycie – st. i muz. Piotr Nazaruk
- 9 Zespół Muzyki Sakralnej Lumen, Filharmonia Kaliska, Marek Bałata O mój Jezu – st. s. Faustyna Kowalska, muz. Zbigniew Małkiewicz
- 10 Promyczki Hej haco! – st. Beata Kołodziej, muz. Joachim Mencil
- 11 Roberto Bignoli La c'e un posto – st. i muz. Roberto Bignoli
- 12 Mass Choir VI Warsztatów Gospel Let Praises Go First – st. i muz. Mark Beswick
- 13 Michał Kulenty, Marcin Masecki, Dariusz Ziółek, Grzegorz Crzyb, Stanisław Halat, recytacja – Jerzy Zelnik Surowość – st. wiersza „Ambicje” i muz. Michał Kulenty

Home

Piosenka z wizualizacją dla Janusza Kotarby
Browar Żywiec
Księga życia st. i muz. Jerzy Reiser

wykonano zdjęcia ze stron: www.ga.com.pl, www.foto.nowytag.pl,
www.cartman.fot.pl, www.mountains.ws/galeria

w numerze:

6-7/newsy 8/o **Gen Rosso** opowiada **Tomek Mikusiński**
12/ rozmowa lkah z **Wojtkiem Kowalskim** z grupy **Izaiash**
16/ wywiad Judyty Syrek z **Jashu Radwanem** z **TGD**
20/ Wojtek Kułak o Festiwalu „**Il Mondo Canta Maria**”
we Włoszech 21/ muzyka, której słucha **Puma** 22/ rozmo-
wa Pawła Gzyła z **Tomkiem Budzyńskim** o nowej płycie
Armii 25/ **Rafał Boniśniak** opowiada o swych przygodach
na Czarnym Łądzie (2) 28/ rozmowa z pastorem **Charles'em**
de Plicque 30/ ks. **Czarek Cieszyński** o nowej pły-
cie **Saruela** 31/ zagrajmy ksiedzu **Jerzemu** – konkurs 32/
Gospel na warsztacie – **David Daniel** 34/ **Janusz** żyje –
wspomnienie o **Januszu Kotarbie** 45/ **Jacek Kowalski**
o polskich dworkach 46/ Tomasz Wienke i Andrzej Bujnowski:
Michał Kulenty – jazzman renesansowego formatu 50/
o grupie **Silence** mówią jej muzycy 52/ o religijnych poszuki-
waniach **Maxa Cavalezy** z **Soufly** 54/ Historia Breakdance
(3) – czym jest **capoeira**? 56/ 20 najważniejszych płyt w hi-
storii muzyki ambient, minimal, techno w/g M. Horodniczego
58/ Ilona Pliszka o pracowności **Bartka Jaskota** 60/ Galeria
RUaH: **Marianna Wiśnios** 62/ Michał Nolywajka o nowej
płycie **U2** 64/ o pop-oratorium „**Miłosierdzie Boże**” 66/
recenzje nowych płyt 68/ Archiwum Y: **Stróże Poranka** +
„Zapiski” **Tośki Krzysztoń**

Wszystkim
Czytelnikom RUaH
radosnego i owocnego
SPOTKANIA
ze Zmartwychwstałym
Chrystusem!
życzy – Redakcja



WIELKANOC 2005



numer
30

WYDAWCA / REDAKCJA:

paganini

Małgorzata i Weronika Kotarba
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,
tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82
e-mail: firma@paganini.com.pl
RUaH w Internecie: www.ruah.pl
www.paganini.com.pl

Druk: Drukarnia Eikon Plus, Kraków, ul. Wybickiego 46
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania
redakcyjnego tekstów. Redakcja nie bierze odpowiedzial-
ności za treść i formę reklam.
Na okładce: Jasju Radwan
Fotografia na okładce: Tomasz Wiazowski
Mastering: Adam Grabolus

ZESPÓŁ:

Redaktor naczelny: **Janusz Kotarba**

Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP
Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP,
Grzegorz Gielert

Sekretariat redakcji: Weronika Kotarba

Korekta: Kinga Chojnacka

Stali współpracownicy: Rafał Boniśniak, Jan Buj-
nowski, Weronika Gurdek, Marek Horodniczy, Piotr
Iwicki, Marcin Jakimowicz, Przemek Kawecki, Jacek
Kowalski, Antonina Krzysztoń, Darek Malejonek,
Beata Mencil, Patrycja Michońska, Michał Nolywaj-
ka, Marcin Perfuński, Piotr Plecha, Barbara Pycel,
Krzysztof Raczyński, Maciej Syka, Adam Rymarz,
Cezary Sękalski, Jan Trębacz, ks. Grzegorz Ułamek,
Grzegorz Wacław, Jan Walczewski, Tomasz Wienke,
Monika Zytke, Jakub Żmizdiński

Udany debiut grupy Odpowiem

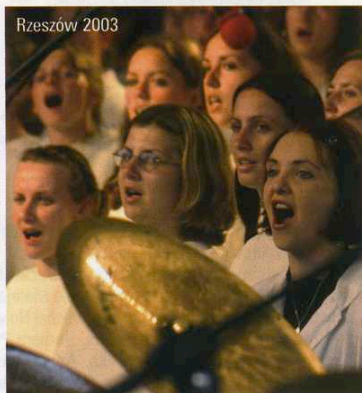
Grupa **Odpowiem**, której utwór „*Twój Anioł*” ciepło przyjęli czytelnicy naszego piśma, nagrała nowe utwory w studio. Obok **Ewy Broczek** i **Adama Rymarza** w sesjach nagraniowych udział wzięli: **Jan Budziaszek**, chór **Voce Angeli**, muzycy grający z czołowymi polskimi wykonawcami, a także ubiegłoroczne odkrycie wokalne – **Marta Florek**, laureatka II nagrody na Międzynarodowym Festiwalu Pop Music Discovery Warna 2004 (patrz wywiad na str.19 w RUaH 29). Autorami projektu Odpowiem są w zdecydowanej części **Artur Kaszowski** (muzyka) i **Adam Szafraniec** (teksty). Materiał na płytę powstał z inspiracji osobą Jana Pawła II i jego „*Tryptykiem Rzymskim*”. Jedną z kompozycji, zatytułowaną „*Na wieki*”, poświęconą jest pamięci zmarłego wybitnego jazzmana – **Andrzeja Cudzicha**, lidera grupy AmenBand. Obecnie trwają rozmowy z wydawcami. Płyta ukaże się jeszcze w tym roku.



Ewa Broczek

Jednego Serca, Jednego Ducha

Już po raz trzeci w święto Bożego Ciała odbędzie się w Rzeszowie koncert „Jednego Serca, jednego Ducha”, którego pomysłodawcą i *spiritus movens* jest znany perkusista grupy Skaldowie **Jan Budziaszek**. Ideą przyswiecającą koncertowi jest wspólne śpiewanie najpiękniejszych współczesnych piosenek religijnych. Na scenie pojawią się: orkiestra, chór, sekcja New Life'm oraz znani wykonawcy muzyki CCM pod kierownictwem **Marcina Pospieszalskiego**. Można się pokusić o stwierdzenie, że „Jednego Serca, jednego Ducha” wpisało się na dobre w krajobraz wydarzeń kulturalnych Podkarpacia.



Rzeszów 2003

Sukcesy jazzmanów

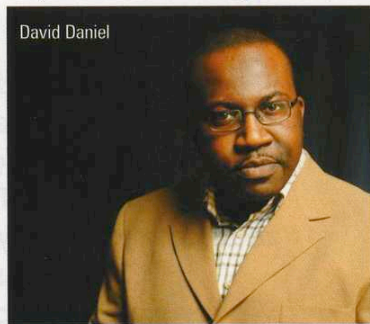
Najnowsza płyta jazzowego **Trio Joachima Mencla** „*Interludium*”, została bardzo wysoko oceniona przez recenzenta magazynu Jazz Forum, który przyznał jej pięć gwiazdek na pięć możliwych! Równie dobre recenzje zebrały nagrania formacji **Asaf** (Maciej Sikala, Joanna Gajda, Michał Barański, Piotr Jankowski). Gratulujemy!



Joanna Gajda

David Daniel ponownie w Polsce!

Wraz z grupą **The People's Christian Fellowship Choir**, nominowaną przez GEM do nagrody „Choir Of The Year”, przyjeżdża do naszego kraju pastor **David Daniel**. Wiele osób pamięta go jako charyzmatycznego wokalistę i instruktora Warsztatów Gospel w Krakowie i Przemyślu. Koncert Davida Daniela i PCF odbędzie się 19 marca o godz. 18.00 w Hali „Rondo” w Koninie w ramach Festiwalu „Gospel nad Wartą”. Artyści przywiozą ze sobą nową płytę „*Praise Comes First*”, która zajmuje obecnie II miejsce na liście „*Authentic Gospel Charts*”. Więcej informacji na stronach www.ruah.pl



David Daniel

Gospel w ziemie

Koncertem „Gospel w Zimie” z udziałem **Karen Gibson**, **Jasona Thompsona** (Londyn) i **Claesa Wegenera** (Kopenhaga) zakończyło się IV Spotkanie Dyrygentów Chórów Gospel. Warsztaty po raz pierwszy odbyły się w podkrakowskim Sieprawiu i zostały rozszerzone o kursy dla wokalistów i współpracujących z chórmi instrumentalistów. Soliści, muzycy i kierownicy chórów gospel z całej Polski spędzili na bardzo intensywnej pracy z instruktorami aż pięć dni (9-13.02), ucząc się nowych technik wokalnych, improwizacji i współpracy zespołowej. Koncert podsumowujący spotkanie był dla wszystkich zgromadzonych wielkim przeżyciem muzycznym i duchowym. Wszelkie informacje o kolejnych warsztatach – na stronie www.gospel.com.pl

Nowa płyta 40i30/70

Zespół 40 Synów i 30 Wnuków Jeżdżących na 70 Oślętach przygotowuje materiał na nową płytę! Pierwsze trzy utwory powstały w studiu „Nowe Jeruzalem” pod czujnym realizatorskim uchem Maćka Flanka. Kolejne piosenki zostaną nagrane w studiu „Echo” w miejscowości Święta Katarzyna, a ich reżyserem będzie Robert Szydło. Tymczasem zespół szykuje się do wyjazdu do Francji, gdzie w Niedzielę Wielkanocną wystąpi na Festival de Paques w Chartres. Grupa planuje premierę nowej płyty na lato 2005. Wydawcą krążka będzie ponownie krakowski Rafael.

Hip-hop z dobrym przekazem!

W lutym **Grzegorz Sadurski** robił zjedną do pierwszego filmu w Polsce poświęconego hip-hopowi z chrześcijańskim przekazem. Wystąpią w nim: **Full Power Spirit**, **Vienio**, **Pele**, **Łyskacz**, salezianie z Łodzi (pomysłodawcy projektu „Hip-hop Dekalog”) i **Maciek Syka** z kolegami z Bydgoszczy. Film wyemituje TVP1 prawdopodobnie już w kwietniu br. O terminie poinformujemy was na stronach internetowych naszego piśma. Grzegorz jest także autorem teledysku do piosenki „*Janek, sprzedawca franek*”, który swą premierę miał u Hirka Wrony w Teleekspresie w miesiącu lutym.



Maciek Syka i ziomale

Fantastyczna płyta Promyczków

Znany z telewizyjnego programu „Ziarno” dziecięcy zespół **Promyczki** nagrał fantastyczną płytę! Praca nad tym materiałem rozpoczyna nowy rozdział w historii zespołu, który istnieje już 12 lat. Producentem płyty i autorem prawie wszystkich kompozycji jest Joachim Mencil, teksty napisali: Beata Kołodziej, Beata Mencil, Barbara Stępnia-Wilk i brat Tadeusz Ruciński. Premiera płyty „*Kogo Pan Bóg kocha*” w Wielkanoc, ale już teraz możecie posłuchać Promyczków na płycie dołączonej do tego numeru RUaH. (www.promyczek.com.pl).



Promyczki

SARUEL Music na Wielkanoc!

Zespół Saruel z Łodzi zakończył trwającą od roku pracę nad nowym materiałem. Jest to pierwszy od pięciu lat album utrzymany w stylistyce Praise & Worship. Płytę z powodzeniem promuje singlowa wersja piosenki „Z Tobą”, w której obok **Violi Brzezińskiej, Adama Rymarza i Kariny Kalczyńskiej** (nowy głos w Saruelu!) gościnnie zaśpiewał **Mate.O**. Na krążku usłyszymy ponadto takich artystów jak **Magda Anioł, Magda Ptaszyńska, Krzysztof Herdzin, Marcin Pospieszalski, Michał Kulenty, Cezary Paciorek, Tomek Kamiński, Adam Krylik, Piotr Gogol, Piotr Iwicki, Adam Szewczyk, Tomasz Kałwak i Sebastian Urban**. Łącznie w realizacji nowego projektu wzięło udział ponad 60 instrumentalistów i wokalistów. Krążek ukaże się na Wielkanoc wraz z teledyskiem oraz anglojęzyczną wersją piosenki „Z Tobą” zaśpiewaną przez znaną i lubianą w Polsce solistkę gospel z Londynu – **Ruth Lynch** oraz amerykańskiego wokalistę **Gregę Waltona**.



Karina Kalczyńska

Ruszyło "Radyjko Katolik"

Od 2 lutego w ramach serwisu katolik.pl działa radio internetowe nadające 24godziny na dobę. Każdego dnia stronę katolik.pl odwiedza przeszło 4 tysiące osób, co dodatkowo zachęciło twórców witryny do podjęcia nowego wyzwania. Pod adresami: www.radio.katolik.pl oraz www.radyjko.pl znajdują się wszystkie potrzebne informacje na temat działania Radyjka i możliwości jego odbioru. Dodatkową atrakcją podczas słuchania jest „graficzny RDS”, który na bieżąco pokazuje aktualnie grany utwór oraz miniaturkę okładki płyty, z której pochodzi. Po kliknięciu w obrazek można zapoznać się ze szczegółami dotyczącymi całego albumu. Zachęcamy do słuchania!

Rekolekcje z Folkiem!

Jest wiele propozycji rekolekcyjnych na Advent, Boże Narodzenie i Wielki Post, ale Słowo Boże nie mniej mocno trzeba głosić w liturgicznym okresie Zmartwychwstania. W dniach 11-13 kwietnia (codziennie o 19.30) u Dominikanów w Krakowie odbędą się "Wielkanocne Rekolekcje Folkowe z Brodami". Poprowadzi je o. Paweł Górzyński OP, a muzykę naszych korzeni zaprezentują: **Józef i Jozsko Broda, Kapela Brodów z Węgałt i znani brodziarze – Kwartet Jorgi**.



Stan Fortuna na Song of Songs 2005!

Amerikanin o. **Stan Fortuna**, franciszkanin (pisał o nim w Ruah 27) – znakomity muzyk multiinstrumentalista grający hip-hop, jazz, soul, funk – będzie gwiazdą tegorocznego ekumenicznego Festiwalu Song of Songs w Toruniu (24-25 czerwca). To właśnie dzięki niemu Jan Paweł II „polubił hip-hop i uznał go za nowe narzędzie ewangelizacji” – podkreślają organizatorzy.

Nowa płyta Gospel Rain

Gospel Rain z Lublina zakończył właśnie pracę nad swoją nową płytą. Piosenki utrzymane będą w bardzo różnorodnej stylistyce: od dynamicznych i przebojowych – „1:1”, czy „Powiedz tylko słowo”, przez jazz-funkową „Twoją wolę”, smooth-jazzowy – „On”, aż po delikatne i prowadzące do zanurzenia w uwielbieniu „Gdy przechodzisz blisko” oraz „Jezu, oddaję Ci serce Swe”. Na płycie znajdzie się także piosenka „Hosanna, hosanna”, znana niektórym z ubiegłorocznego telewizyjnego koncertu w Dniu Papieskim w Teatrze Wielkim (śpiewał ją z chórem Deus Meus jej autor – **Grzegorz Gluch**). Zespół planuje również nagrać nowe wersje pieśni chwały znane pod polskimi tytułami jako – „Święty, święty, święty” (Alvin Slaughter), czy „Ty jesteś skałą zbawienia mego” (Teresa Muller). Szczególnym „smaczkiem” będzie piosenka „Starto-ój”, utrzymana w hiphopowej i gospelowej stylistyce, w której gościnnie wystąpią – **Ola Szomańska (TGD) oraz Full Power Spirit**. Szczegółowe informacje o grupie znaleźć można na www.gospelrain.kdm.pl.



Śpiewają na rzecz Trzeciego Świata

Znakomity brytyjski zespół – **Kingdom Choir**, mający na koncie współpracę z takimi gwiazdami jak Elton John, Luther Vandross, Fred Hammond, Donnie McClurkin, Andrae Crouch, Helen Baylor, Jessie Dixon i Spice Girls nagrał debiutancką płytę „*Smile – it's a brand new day*”. To wyjątkowe wydawnictwo powstało przy współpracy z organizacją Christian Aid, zbierającej środki na rzecz zapobiegania biedzie Trzeciego Świata. Wszystkie zyski ze sprzedaży krążka zostaną przekazane na ten właśnie cel. Kierownikiem Kingdom Choir jest utalentowana dyrygentka i aranżerka **Karen Gibson**. Więcej informacji o chórze i ich płycie na stronie www.kingdomchoir.co.uk



Lidia Pospieszalska solo!

Trwają prace nad debiutanckim albumem Lidki Pospieszalskiej. Znajdą się na nim piosenki z melodiami jej autorstwa i tekstami m. in. Adama Nowaka, Andrzeja Bujnowskiego i Roberta Cudzicha. Aranżacjami zajmuje się jej mąż Marcin. Płyta utrzymana w stylistyce fado, folk, smooth jazz, ukaże się jeszcze przed wakacjami. Wśród muzyków usłyszymy m. in. Marcina i Mateusza Pospieszalskich, Thomasa Celis Sancheza, Joachima Mencla, Kamila Cudzicha, Daniela Pomorskiego i Łukasza Kluczniaka



Dekalog Hip-hop w Trójce

22 lutego o godzinie 20.00 w studiu koncertowym imienia Agnieszki Osieckiej w radiowej „3” odby się koncert promujący projekt „DEKALOG HIP-HOP”. W Koncercie wzięli udział niemal wszyscy artyści jakich zespół **Full Power Spirit** (gospodarz wieczoru) zaprosił do współpracy przy realizacji tego projektu; m.in. Vienio i Pele, Łyskacz – Mor. Wa, Evident, Wilk w cieniu, Robert Amirain, oraz muzycy: Grzegorz Piotrowski, Robert Luty, Igor Przebindowski, Bartek Królik i inni. Koncert został wyemitowany na antenie 3 Programu Polskiego Radia 27 lutego o godzinie 20.05



gen rosso

budzą Europe!

39 lat działalności, 160 tras koncertowych w 41 krajach, ponad 1700 koncertów dla ponad 5 milionów widzów, 50 płyt wydanych w głównych językach świata. To dorobek artystyczny włoskiej grupy Gen Rosso. Jednym z jej członków jest Tomek Mikusiński, jedyny Polak w tym międzynarodowym składzie.

z Tomkiem Mikusińskim

rozmawia ks. Wojciech Kułak (www.bosko.pl)

Gen Rosso ma 39 lat, a Tomek Mikusiński, jedyny Polak w zespole, jest w nim od lat...

...bez mała trzech. Dołączyłem do grupy w czerwcu 2002 roku podczas jej tournée po północnych Niemczech. Potem pozostawiłem w Polsce rodzinę, bliskich oraz dającą mi sporo satysfakcji pracę przy adopcjach międzynarodowych... Rzeczywiście, w 39. letniej historii istnienia zespołu mam, nazwijmy to w ten sposób, przywilej bycia pierwszym Polakiem w Gen Rosso.

Jak trafiłeś z Żabkowic Śląskich do uroczej Toskanii, gdzie znajduje się siedziba zespołu?

Otóż pewnego dnia pod koniec kwietnia 2002 r., będąc w delegacji służbowej w Rzymie, otrzymuję wiadomość, że jeden z członków zespołu, notabene Amerykanin polskiego pochodzenia, którego znałem od szeregu lat, ze względów zawodowych musi wrócić do Stanów. Właśnie on podpowiada odpowiedziałnym za zespół moją osobę jako ewentualnego kandydata na swoje miejsce w grupie. Wiadomość robi na mnie oczywiście ogromne wrażenie. Proszę o kilka dni do namysłu. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co to oznacza: pozostawienie wszystkiego, co do tej pory udało mi się zbudować w życiu, menadżerskich studiów na KUL-u, rozwijającej się kariery zawodowej, znajomych, bliskich... Jednak duch przygody i odkrywania nieznanego oraz chęć zmierzenia się w pewnym sensie z samym sobą biorą górę i postanawiam podjąć to wyzwanie. Nie ukrywam, że nade wszystko odzwierciedlało ono głęboko skryte pragnienie działania artystycznego, które od zawsze w jakiejś mierze było obecne w moim życiu...

Pierwsze twoje kroki w zespole...

Kiedy przyjąłem przedstawioną mi propozycję, zostałem zaproszony na tak zwany casting, czyli przesłuchanie, gdyż odpowiedziałnym za zespół nie wystarczyło jedynie dobre słowo mojego amerykańskiego przyjaciela... Rzecz zrozumiała... Jest maj 2002, przyjeżdżam do siedziby, serdeczne spotkanie z dyrektorem artystycznym, krótki zarys oczekiwań wobec mojej osoby. Mam dwa dni na nauczenie się dwóch piosenek i kwestii teatralnej. W tamtym czasie zespół wystawiał musical, który z założenia obejmuje teatr, śpiew i taniec. Po dwóch dniach przygotowań następuje tzw. przesłuchanie zasadnicze w obecności trzyosobowej minikomisji. Werdykt brzmi: „Jest materiał, nad którym warto popracować”. Otrzymuję rolę w musicalu. Powrót na krótki czas do kraju, aby pozamykać ostatnie sprawy. Potem rozpoczynam mozolną pracę przygotowawczą i po dwóch miesiącach niemałych wysiłków nadchodzi moja chwila: debiutancki koncert 9 sierpnia 2002 r. w miejscowości Civitanova (środkowe Włochy). Pamiętam dokładnie, że tuż przed rozpoczęciem spektaklu trochę się

denerwowałem, lecz całość poszła nadzwyczaj dobrze i kiedy musical dobiegł końca, wszyscy z grupy jednogłośnie orzekli: „No to chrzest bojowy masz już za sobą. W związku z tym, że wypadł całkiem niezle, możesz zostać...”. I w ten sposób moja przygoda z Gen Rosso trwa już prawie 3 lata.

Gen Rosso to mieszanina narodowości, kultur i pokoleń. Można powiedzieć, że jesteście światem w pigułce?

W rzeczy samej. Szereg różnych czasopism, nie tylko muzycznych, tak właśnie nas określa. Świat zjednoczony w miniaturze albo jeśli wolimy w pigułce. Po ostatnich styczniowych zmianach jest nas 19 osób z 7 różnych krajów świata (Argentyna, Brazylia, Demokratyczna Republika Konga, Filipiny, Hiszpania, Włochy i Polska). Niewątpliwie jest to, powiedziałbym, dość oryginalna i charakterystyczna dla zespołu cecha. Interesujący jest fakt, że nie tylko pracujemy, ale i mieszkamy z osobami innych narodowości. Dzięki temu odkrywa się dzień po dniu, jak wielkim bogactwem mogą być kultury odmienne od mojej i jak dużo jestem w stanie się od nich nauczyć, i to nie tylko w kwestii wyłącznie profesjonalnej, ale tak po prostu, czysto ludzkiej...

A teraz o samym zespole. Jesteście artystycznym ramieniem Ruchu Focolari założonego przez Chiare Lubich. Co to oznacza w praktyce?

Gen Rosso stanowi integralną część Międzynarodowego Ruchu Katolickiego „Ruch Focolari”, znanego również pod oficjalną jego nazwą „Dzieło Maryi”. Orędzie Ruchu Focolari jest bardzo proste: budowanie jedności między poszczególnymi osobami, między warstwami społecznymi i między narodami. Jedność bowiem to powszechne pragnienie ludzi wszystkich czasów, odczytywane przez Ruch jako cel, ku któremu coraz szybciej podąża ludzkość w poszukiwaniu swojej tożsamości. W praktyce wygląda to tak, że staramy się wyrażać w artystycznych formach przekazu to, co bliskie jest założeniom Ruchu Focolari, a co w dużej mierze dotyka i obejmuje wszystkich ludzi na Ziemi... Któż bowiem nie jest wrażliwy, szczególnie w dzisiejszych czasach, na problem braku pokoju, przemocy czy kwestii powszechnego braterstwa. Zazwyczaj poprzez wystawianie na scenie autentycznych historii ludzkich staramy się dotykać wspomnianych tematów.

Może kilka słów o samej historii zespołu...

Gen Rosso powstał pod koniec lat 60. w Loppiano, niewielkiej miejscowości niedaleko Florencji. Cóż z takiego jest Loppiano? Otóż w początkach Ruchu odbywały się wspólne wakacje jego członków w Dolomitach, które stały się początkiem bardzo charakterystycznych spotkań, tzw. „Mariapoli”. Spotkania te, odbywające się zazwyczaj w lecie, stanowią małe modele społeczeństwa, małe czasowe „miasta”, których podstawowym prawem jest



SO



miłość wzajemna. Na wzór takich „czasowych miast” powstały następnie także prawdziwe stałe osiedla. Pierwsze z tych „miasteczek” zostało założone w 1964 roku w Loppiano niedaleko Florencji. Żyje w nim obecnie ponad 800 osób pochodzących ze wszystkich kontynentów. Większość z nich stanowi młodzież, która tu odbywa różnego rodzaju szkoły formacyjne. Loppiano jest także siedzibą Gen Rosso. Pod koniec lat 60. założycielka Ruchu, widząc zapal niewielkiej grupy młodych ludzi, którzy prymitywnymi środkami starali się uatrakcyjnić niedzielne poranki dla licznie odwiedzających loppinowską rzeczywistość osób, podarowała im czerwoną perkusję. Stąd też wywodzi się nazwa zespołu: Gen (z włoskiego *generazione nuova*, nowe pokolenie) oraz Rosso (czyli z włoskiego czerwony). Początkowo o Gen Rosso mówiono jako o grupie folklorystycznej, gdyż wiele z piosenek i choreografii wywodziło się z kultur poszczególnych jej członków, lecz z czasem się to zmieniło. Któregoś dnia matka jednego z członków zaprosiła zespół na koncert do swojego rodzinnego miasta. Fakt ten dał początek pierwszemu tournée. Później ktoś zaprosił zespół do innego miasta, a następnie podróże objęły całe Włochy, Europę i wiele spośród krajów świata... Tylko w zeszłym roku udało nam się odwiedzić Chiny oraz Tajlandię, by nie wspomnieć o Austrii, Niemczech czy Szwajcarii i oczywiście wielu miastach we Włoszech.

Czyli jesteście swego rodzaju narzędziem. W służbie czego?

W służbie rozpowszechniania pozytywnych wartości, wartości ewangelicznych, którymi wcześniej sami staraliśmy się żyć na co dzień. Faktem jest, że zasadniczą siłą napędową Gen Rosso są relacje między poszczególnymi członkami zespołu – na bazie tych relacji powstaje wszystko, co później wystawiamy na scenie. Dla mnie to zawsze jest interesujące, z jaką łatwością publiczność jest w stanie wychwycić to przesłanie i, co więcej, jak często go wyczuje... Jeden z naszych fanów powiedział kiedyś: „Istnieje szereg różnych zespołów i grup muzycznych, niejednokrotnie o wiele bardziej profesjonalnym obliczu, lecz niewiele jest zespołów, które przedstawiają na scenie to, czym sami starają się żyć na co dzień...”

Czy czujecie na sobie owe prawie 40 lat historii zespołu?

Niewątpliwie tak, i to w jak najbardziej pozytywnym słowa tego znaczeniu. Zespół nagromadził w tych wszystkich latach pokaźny bagaż różnego rodzaju doświadczeń, z których najważniejsze są relacje, jakie udało się grupie nawiązać z publicznością, traktując ją

prawie zawsze jako najbliższych przyjaciół. Stąd nie należy do rzadkości wymiana listów, refleksji nad życiem czy dzielenie się problemami, a niejednokrotnie nawet konkretna pomoc itp. Wiele razy zdarzyło się, że ktoś z fanów zaprosił nas na swój własny ślub czy chrzciny dziecka albo też na inne uroczystości określane mianem „party” w wąskim gronie rodzinnym. Uważam, że jest to największy skarb zespołu, który pieczołowicie jest przechowywany i przekazywany nowym członkom.

Gen Rosso to muzyka i teatr. Ty także nie tylko śpiewasz, ale jesteś również aktorem. O czym mówicie w waszych spektaklach, które są chyba zazwyczaj spektaklami muzycznymi?

Zasadniczo Gen Rosso w swej 40-letniej historii wykorzystuje dwie formy przekazu artystycznego: koncert, czyli szereg następujących po sobie piosenek ubogaconych układami choreograficznymi, oraz musical, który obejmuje teatr, śpiew i taniec. W naszych spektaklach staramy się dotykać najbardziej palących tematów życia ludzkiego, takich jak pokój, powszechne braterstwo, przemoc, miłość, chcąc uwrażliwić publiczność na ten rodzaj tematyki i pobudzając niejednokrotnie do refleksji. Zdarzają się również przypadki, że ktoś pod wpływem naszego spektaklu chce zmiany dotychczasowego życia... Pamiętam taki epizod. Pewna osoba zamierzała odebrać

Jak wspomniałem, nie tylko razem pracujemy, ale i mieszkamy. Rzeczywiście tworzymy coś w rodzaju wspólnoty. Nasz program dnia zależy od tego, czy pracujemy w naszej siedzibie, czy jesteśmy w trasie koncertowej. Kiedy przebywamy w siedzibie w Loppiano, pracę rozpoczynamy o 8:30, wtedy jest czas na tzw. studium osobiste, tzn. gitarzysta pogłębia swoją wiedzę o technikach gitarowych, basista o basowych i dalej w podobny sposób perkusista, soliści oraz tancerze. O 10:15 jest mała przerwa na kawę lub szklanekę soku i kolejne 2 godziny studium do 12:15. Następnie przerwa na obiad i o 14:30 spotykamy się wszyscy razem na rozgrzewce głosowej, po której uczymy się nowo powstałych piosenek lub ćwiczymy niektóre starsze wymagające powtórki lub pogłębienia. Potem kolejna mała przerwa na kawę o 16:15 (gwoli dygresji: należy uwzględnić fakt, że żyjemy we Włoszech, czyli kraju, w którym jedynie w miejscach publicznych sprzedaje się dziennie 30 mln filiżanek kawy). Po przerwie zajmujemy się scenami teatralnymi, aż do końca dnia pracy, czyli do 18:15. Po skończonych próbach udajemy się do naszych domów, gdyż nie mieszkamy wszyscy razem, lecz rozproszeni po różnych domach Loppiano. I dalej, jak w każdym domu, przygotowuje się posiłki, sprząta, ogląda telewizję, czyta książki. Nie brakuje też chwil na wspólne gry i żarty czy odwiedziny sąsiadów oraz znajomych, jak w każdej



sobie życie. Z zupełnie niewytłumaczalnych powodów włączyła telewizor i jej uwaga zatrzymała się na kanale, w którym włoska telewizja transmitowała nasz koncert. Po zakończonej transmisji otrzymaliśmy od tej właśnie osoby telefon. Powiedziała, że dzięki przesłaniu, które udało się jej wydobyć z naszych piosenek, zrozumiała, że warto żyć mimo trudności, które w danej chwili ją dotknęły...

Tworzycie pewien rodzaj wspólnoty. Czy macie zatem jakiś wspólny program dnia?

normalnej rodzinie na tej ziemi...

A masz czas na sport, uprawianie swojej ulubionej koszykówki?

Kiedy jest to tylko możliwe, wkładam sportowe buty i pędzę na boisko, by pograć choć przez chwilę w koszykówkę. Oczywiście nie zawsze jest to możliwe, szczególnie wtedy, kiedy jesteśmy w trasie koncertowej. Wówczas staram się biegać, uprawiać gimnastykę oraz tzw. stretching. Muszę jednak powiedzieć, że dzisiaj w różnych szkołach w Loppiano jest wiele osób dzielących moją koszykarską



pasję, dlatego łatwiej się zmobilizować, aby pójść i zagrać...

I kilka słów o ostatniej płycie „Voglio svegliare l'aurora” (Chcę obudzić jutrzeńkę). Płyta robi duże wrażenie. To naprawdę projekt niecodzienny. Mógłbyś przybliżyć jego założenia?

Płyta „Voglio svegliare l'aurora” jest owocem przeszło dwuletniej pracy, studium nad tematyką psalmów, z których wyrastają piosenki i sam projekt... Do wykonania 13 utworów opartych na psalmach Gen Rosso zaprosił także innych wykonawców: włoskich, kurdyjskich, irańskich i hinduskich. Sam pomysł od samego początku miał być właśnie taki: międzynarodowy, wielokulturowy, a jednocześnie czemuś miał służyć. Mówią o tej płycie, że jest to płyta o wyrafinowanych aranżacjach, które mieszczą się gdzieś między popem i jazzem, bieżą od muzyki etnicznej do śpiewu gregoriańskiego. W ten sposób także na płaszczyźnie brzmienia Gen Rosso spróbował oddać obraz świata, który poszukuje jedności. Wspomniałem wcześniej o, powiedziałbym, wymiarze praktycznym albumu, jest on bowiem częścią projektu kulturalnego i edukacyjnego, który nazywa się „Voglio svegliare l'Europa” (Chcę obudzić Europę), a realizujemy go we współpracy z Europejskim Centrum Dziedzictwa Ludzkości w Brukseli. Proponujemy ponowne odczytanie psalmów biblijnych i jednocześnie sięgnięcie do korzeni judeo-chrześcijańskich. Zwłaszcza teraz, kiedy poszczególne kraje Europy przystępują do ratyfikacji konstytucji europejskiej. Ale to jeszcze nie cała idea naszej ostatniej płyty. Ten projekt muzyczny służy również wspieraniu dwóch inicjatyw bardzo konkretnych.

Pierwsza to projekt socjalno-sanitarny, który ma na celu w ubogich dzielnicach Kinszasy (Demokratyczna Republika Kongo) rozwinąć aktywność gospodarczą na rzecz dzieci chorych na AIDS. Druga jest działaniem na rzecz dialogu kulturowego między Europą i Bliskim Wschodem, ze szczególnym uwzględnieniem relacji arabsko-izraelskich.

Na waszej stronie internetowej tylko jeden raz występuje Polska, właśnie tylko przy twoim nazwisku. Prawie 40 lat działalności, tysiące koncertów na całym świecie. Czy w końcu Gen Rosso zawita do Polski?

Jest to wielkie pragnienie i przedmiot licznych rozmów wśród nas. Już nie tylko z tego powodu, że w zespole jest Polak, ale przede

wszystkim dlatego, że Gen Rosso jeszcze nigdy nie zawiązał do naszego kraju, podczas gdy udało mu się już odwiedzić na początku lat 90. Kijów, Budapeszt i Sarajevo. Uważam ponadto, że treści, które Gen Rosso proponuje swojej publiczności, odbiłyby się z pewnością dużym echem szczególnie wśród polskiej młodzieży, wrażliwej i otwartej na wszelkiego rodzaju pozytywne wartości. Kto wie, czy właśnie ten wywiad nie przyczyni się, przynajmniej w małym stopniu, do tego, że Gen Rosso któregoś dnia przyjedzie do Polski. Nie ukrywam, że jest to moim skrytym marzeniem...

Moim także, zwłaszcza po wysłuchaniu „Voglio svegliare l'aurora”. Dziękuję ci za rozmowę.

rozmawiał ks. W. Kułak



WYBUCH WULKANU

z Wojtkiem Kowalskim SJ
rozmawia IkaH



Wojtek Kowalski, jezuita, założyciel zespołu Izaiash (coż za piękna nazwa!), grającego reggae mistyczne, współtwórca Against All Odds (punk) i współpomysłodowca projektu Korzeń z Kraju Melchizedeka. Komponuje, pisze teksty, gra na bębnach i gitarze, śpiewa.

W ciągu ostatnich miesięcy wydałeś dwie płyty - „Rwij rzemienie” i „Punk Roots”. To był bardzo twórczy czas w twoim życiu...

Twórczość... Kiedy serce domaga się wyrazu, to trzeba pozwolić, by ten głos głębin mógł wybrzmieć. Zaczęło się od Izaiasha; kiedy po raz pierwszy kojot pustynny (tej nazwy używam wobec siebie) się odezwał. Ale rzeczywiście, ostatnie półrocze było wyjątkowo twórcze, udało się nagrać dwie płytki. To był czas, który nazywam „zew serca”. Nastąpił wybuch wulkanu - „Rwij rzemienie”, projekt spontaniczny powstały na Jeznickich Dniach Młodzieży w Świętej Lipce, oraz „Punk Roots” będący powrotem do korzeni mojej fascynacji punk rockiem. Ten ogień tak mocno

trawił, że trzeba było coś z tym zrobić. To tak jakby trzymać w ręce rozżarzony węgiel; trzeba coś z tym węglem zrobić... Stąd, w tak krótkim czasie można było, mimo zwarowanych warunków i bez prób w przypadku „Rwij rzemienie”, oraz z kilkoma próbami w przypadku „Punk Roots”, nagrać w studio materiał. Zew serca ma to do siebie, że przychodzi, kiedy chce, wystarczy się temu poddać i uwierzyć, że mimo przeciwności uda się coś pożytecznego stworzyć. Drugi ważny motyw twórczości to dzielenie się tym z innymi, choć pierwszym impulsem jest właśnie ta siła „wyjścia na zewnątrz”. Jest pragnienie i siła pasji, by to robić, węgiel niejako poddaje się z radością temu Wiatrowi. Inaczej chyba bym umarł... (śmiech).

Opowiedz, jak to się stało, że zacząłeś grać? Byłeś kiedyś członkiem grupy punkowej...

Mając 13 lat i będąc pod dobrym wpływem starszego brata, zacząłem słuchać zespołów punkowych i czułem, że ta muzyka ma niezwykłą siłę, czułem, że ja też chciałbym grać w zespole. To pragnienie spełniło się dopiero w V klasie technikum. Miałem wówczas 19 lat, a więc, jak widać, to było silne zauroczenie, skoro tak konsekwentnie dążyłem do celu. W każdym razie poznałem ludzi, z którymi łączyła mnie ta sama muzyka, to samo przesłanie, te same kapele i wówczas się zaczęło. Powstało Against All Odds. To był styczeń 1993 roku. Myśmy umierali na naszych próbach; byliśmy cali zaangażowani w to nasze dzieło, byliśmy rozpaleni. Punk rock wychodził z nas jak płomień, mieliśmy twarze jak Mojżesz, który schodził z Synaju. Pamiętam koncerty, czasem bez odpowiedniego przygotowania, bo byliśmy biedni, nie mieliśmy dobrego sprzętu ani możliwości, żeby grać w sali, tylko gdzieś w piwnicy, albo w moim pokoju. Na tych koncertach ludzie po prostu wariowali, znajomi szczególnie, to była moc serca... Takie były początki.

Punk rock to sprawa autentyczności i siły ekspresji, mocy wyrażania tego, co żyje w sercu. Ta muzyka jest jak wulkan, który wybucha, a jak wybucha, to nie ma żartów... Był czas, że przez kilka miesięcy mieliśmy próby w takiej starej kamienicy. Któregoś dnia pewien człowiek zaniepokojony hałasem wszedł do naszego pokoju, w którym mieliśmy próbę. Było lato, a więc część z nas bez koszulek, chłopaki od gorąca parują, unosi się dym papierosów, grany jest szybki punk z rozdartym vocalem, więc ten człowiek wychyla się zza drzwi i na widok tego, co zobaczył, powiedział tylko: „Jezusmaria” i zamknął szybko drzwi za sobą. Więcej już go nie widzieliśmy. Innym razem

wpadł policjant; no i zadaje nam różne pytania, coś tam notuje, w końcu pyta mnie: Jaka jest nazwa zespołu?, więc ja mu na to – „Pod arkadami”, on to oczywiście zanotował, chłopaki ze śmiechu chowają twarze w dłoniach, a policjant z poważną miną wyszedł. Albo o: jechaliśmy na koncert wynajętym autokarem zakładowym; autobus obwieszony transparentami z hasłami typu: „Walcz o to, by twoje życie było twoim życiem”, w autobusie z 60 osób: załoganci, trzy kapele, niepowtarzalny klimat – kupa śmiechu, śpiewy, takie tam jeszcze różne rzeczy, jednym słowem – kosmos. Taki był nasz punk rock. Choć trzeba też powiedzieć, że czasem zdarzały się mniej miłe wydarzenia w naszym punkowym życiu, wystarczy wymienić chociażby napięcia ze skinami, które nieraz kończyły się zamieszkaniami. Jednak myśląc o całości tamtego okresu, mogę powiedzieć o nas, że nie byliśmy awanturnikami, byliśmy dobre chłopaki, dobre punki. Przede wszystkim mieliśmy pragnienie przeżywania razem naszej wrażliwości, naszej muzyki, kapeł, których słuchaliśmy. I chcieliśmy naprawdę z całego serca grać. W tamtym okresie zagraliśmy może kilkanaście koncertów, dlatego ceniliśmy każdy i podczas każdego angażowaliśmy się bez reszty. To były czasy, kiedy odkrywałem, na czym polega bycie na scenie. Bycie na scenie było czymś takim jak umieranie po to, by ktoś inny mógł zmartwychwstać. Tworząc, dajesz innym siebie, dajesz serce, swoją ekspresję. Dlatego punk rock nie pozwala stać obok. Ludzie z kapeli się angażują, zdejmują gardła. Byłem raz na koncercie jakiejś załogi punkowej z UK, i nagle wysiadł mikrofon, no to gość śpiewał bez mikrofonu i było go słyhać. Śpiewał do mocnych gitar, do perkusji, a mimo to było go słyhać. Ja widziałem w tym przeogromne zaangażowanie, które z całą mocą i mnie się udzieliło. Współtworzyłem ten klimat na sali, współodczuwałem z nim i myślałem – O Boże, to są wojownicy! Ich podejście do muzyki było dla mnie największym znakiem, że oddają się sprawie bez reszty, angażując w to całe życie i... całe zdrowie. (śmiech)

Miałeś irokeza?

Był taki moment, przed 16 laty. Ech, drobny epizod, nie ma co mówić.

Dzisiaj jesteś jezuitą, ale nadal buntownikiem. Pozbyłeś się zewnętrznej formy, ale serce wciąż się buntuje...

Kiedy się było młodym punkowcem, postawa wobec świata była bardzo podejrzliwa. Wydawało mi się, że ktoś próbuje mnie ułożyć; a to pani w szkole, a to konduktor, a to sąsiad

z piątego piętra, albo milicjant, który przy spisywaniu dokumentów kazał wyciągnąć ręce z kieszeni i kazał stać wyprostowanym itd. Teraz, kiedy jestem jezuitą, staram się być przede wszystkim dobry dla ludzi, staram się trzymać więź z Panem Bogiem, a mój bunt dotyczy rzeczy istotnych; generalnie dotyczy zła, które zanim się uobecni w strukturach czy relacjach międzyludzkich, najpierw zaczyna być groźne w sercu. Dotyczy to także mnie samego; ja w sobie dostrzegam wiele rzemień, które krepują i które są także dla innych uciążliwe. W tym świetle, kiedy np. patrzę na postać Eliasza, i na jego radykalizm, to widzę, że trzeba być jednoznacznym w postawie wobec zła, wobec nieprawości. To trudne, prawda, ale warto powoli rzemień po rzemieniu zrywać, próbować. Eliasz „oczyścił” Izraela od fałszywych proroków – to musiało zrobić ogromne wrażenie na wszystkich. Ja z kolei, jako jezuita, m.in. biorę gitarę i gram punk i to też robi wrażenie. Ale oczywiście nie chodzi tu o wrażenie, lecz o wszelkie działania na rzecz dobra. Miłość zna wiele dróg, zatem próbuję kroczyć tymi drogami.

Jak godzisz muzykę z życiem zakonnym?

Moja muzyczna działalność w sensie koncertowania czy nagrywania płyt jest dość marginalna, więc nie ma żadnych kolizji z obowiązkami zakonnymi. Pracuję obecnie z młodzieżą, jestem dużo w ruchu, mam dużo wolności w planowaniu zajęć, spotkań, wyjazdów i różnych akcji. Przy takim nieramowym sposobie życia, można znaleźć jakiś weekend na spotkanie z przyjaciółmi, raz na kwartał spotkać się na wspólnym graniu, można znaleźć nawet kilka dni na wejście do studia. Oczywiście, moi przełożeni wiedzą o tej działalności, w dużej mierze dzięki ich wyrozumiałości i wsparciu mogę w taki sposób zajmować się muzyką. Z tego grania wynika także wiele dobra: pomysł z Izaiaszem, nagranie płyty, docieranie do wielu młodych poprzez muzykę jest traktowane przeze mnie także jako środek duszpasterski. Dzięki np. płytom Izaiasha, do wielu osób trafiło nasze przesłanie, które jest pełne nadziei, a przy okazji, dzięki sprzedaży płyt mogliśmy pomóc wielu osobom, dofinansowując im udział w rekolekcjach dla młodzieży, które organizujemy. Gram na bębnach, na gitarze – to otwiera na innych. Pamiętam, gdy podczas spotkania grup Odnowy w Duchu Świętym w Częstochowie grałem na bębnach (a byłem w sukni zakonnej). Trzy razy zdążyłem przyłożyć rękę do skóry, a tu nagle miła starsza



Wojtek Kowalski

pani kładzie na bębnie 4 zł i mówi: Proszę księdza, to na lody. No to młodzież, która mi towarzyszyła wpadła na pomysł i mówi tak: Proszę księdza, połóżmy beret i zbierajmy na rekolekcje dla młodych. Po chwili przyłączył się jeszcze jeden bębniarz, no i zaczął się spektakl. Zebrała się wokół nas spora grupka ludzi; młodzi, rodzice z dziećmi, starsi. Padły różne komentarze typu: Ja cie! Ksiądz na bębnach, ale fajnie! Udało się zebrać troszkę pieniędzy i znów mogliśmy komuś pomóc pojechać na rekolekcje. Albo taka rzecz: moje undergroundowe korzenie, a także punkowa płyta wydana niedawno, podtrzymują kontakt ze środowiskiem, które prawie nic nie ma wspólnego z Kościołem. Rozmawiamy, jesteśmy dla siebie „nie obcy”. To są ważne kontakty. Muzyka zbliża; czy da się jej nie kochać? Albo czy poprzez muzykę nie czujemy, że świat, że człowiek jest nam bliższy, bardziej kochany? Od 20 lat czerpię radość i satysfakcję ze słuchania muzyki, niektóre zespoły mocno mnie naznaczyły, mój gust muzyczny kształtował się przez lata, moja wrażliwość jest także wynikiem pewnych muzycznych wpływów. Ma się wrażenie, że dźwięki złączone są z moim sercem w jakimś odwiecznym uścisku. Dzisiaj muzycznie wyrażam się na wiele sposobów, raz będzie to spontaniczna gra na bębnach, innym razem śpiewanie Izaiasha na chodniku, albo nucenie jakichś melodii podczas jazdy samochodem, a jeszcze innym razem będzie to projekt Rwij Rzemienie, lub





Izaiash

ARCHIWUM IZAIASH

nagrana płyta Punk Roots. Pasja i życie uzupełniają się wzajemnie. Wiem, że gdybym został pozbawiony grania, to czułbym się, jakby mi skradziono serce. (Śmiech)

Czym zajmujesz się w zakonie? Czym dziś zajmują się jezuiti?

Nasz założyciel, Ignacy Loyola, był Bożym szaleńcem. On i jego pierwsi towarzysze mieli w sobie taki ogień, tak ogromne pragnienie zaangażowania się w życie, że patrząc na ich dokonania można naprawdę wpaść w zdumienie, że tak wiele można uczynić, kiedy się ma pragnienia. Święty Ignacy mówił: Słuchajcie, róbmy to, czego inni nie robią. Róbmy wszystko, a szczególnie to, za co się nikt inny nie chce wziąć. Naszym Wodzem niech będzie Pan Jezus, Odwieczny Król. On jest wzorem naszego sposobu postępowania. To był dopiero wybuch wulkanu! Wciąż odkrywam nasz charyzmat, nasz sposób myślenia, w którym jezuita czuje, że cały świat jest jego domem, a jego praca ujęta w słowach „pomagać duszom” zawiera nieskończoną przestrzeń do działania. Cóż robi jezuita dzisiaj? Jesteśmy obecni w mediach, jesteśmy kapelanami w więzieniach, w szpitalach, pracujemy na parafiach, prowadzimy szkoły średnie i wyższe uczelnie, pracujemy w duszpasterstwach młodzieżowych i akademickich, pracujemy na misjach, prowadzimy domy rekolekcyjne. Ja obecnie jestem w Duszpasterstwie Młodzieży oraz w Duszpasterstwie Powołań. Razem z moim współpracownikiem, także jezuitą, przybliżam młodym charyzmat ignacjański: jeździmy po szkołach z katechezami, organizujemy rekolekcje ignacjańskie dla młodzieży – 3 dni milczenia po to, żeby człowiek wszedł w swoje serce i odkrył, co tak naprawdę jest w środku (tzw. Szkoła Kontakt z Bogiem), koordynujemy niedawno powstały młodzieżowy ruch Magis oparty na duchowości ignacjańskiej, pomagamy młodym ludziom rozegnać ich drogę powołania, prowadzimy kierownictwo duchowe. Tym się zajmuję już

drugi rok, ale niebawem rozpocznę studia i to będzie nowy dla mnie etap. Wiatr nie przestanie wiać, więc jestem spokojny o przyszłość.

Czy w tej chwili masz jakieś plany koncertowe? Jaką widziałbyś formę tych koncertów?

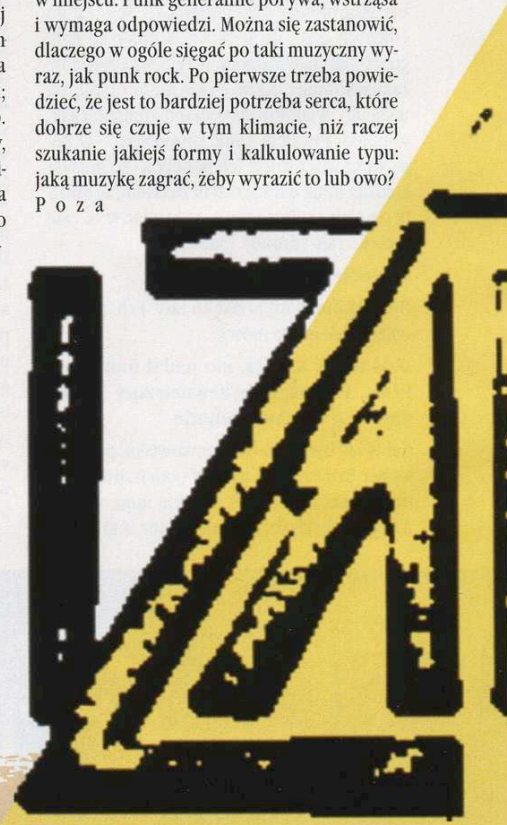
Znajomi pytają mnie, co tam słychać u Izaiasha, czy coś zagramy i... nie wiem, co powiedzieć. Jak to jest z tym Izaiashem?, pytam samego siebie. Myślę sobie, że Izaiash jest metafizyczny. To znaczy, działa na innych warunkach niż wiele innych zespołów: obecnie nie mamy prób, nie planujemy koncertów. Perkusista mieszka z rodziną w Gliwicach, basista studiuje dwa kierunki i z pasją zajął się literaturą, pozostałe osoby pracują, ja za pół roku wyjadę z Krakowa. Ale ufam, że przed wakacjami zbierzemy się razem i jeszcze raz zagramy. Prawdą jest, że im bardziej brakuje mi koncertów i grania dla ludzi, tym bardziej odkrywam wartość wystąpienia na scenie. Zaczynam rozumieć istotę koncertu; koncert ma być wydarzeniem. Tak jak np. u Indian, którzy rozpalali ogień, bili w bębny, malowali sobie twarze; dla nich to był festiwal, święto. Ja zaczynam rozumieć, że artysta musi na scenie umierać. Artysta jest kimś, kto łączy niebo z ziemią. Ma być niejako szamanem, który łączy rzeczy niewidzialne z widzialnymi – Hej, ludzie, ja wam daję serce, czy wy to widzicie? Teraz jest ta chwila! Im więcej zaangażowania muzyków, tym słuchający więcej widzą i więcej słyszą i stają się uczestnikami wydarzenia – to jest doświadczenie duchowe. Tam na scenie musi być nieraz pot, zdarte gardło, tam musi być gorąca atmosfera, tam muszą być zrywane rzemienie... To jest katharsis, a katharsis wymaga uczestnictwa. Tu chodzi o Ducha, który chce wejść na scenę i robić niezwykłe rzeczy. Takie przeżywanie grania na scenie uwidoczniło się np. podczas Jezucich Dni Młodzieży w Świętej Lipce, gdzie stworzyliśmy z przyjaciółmi Korzeń z Kraju

Melchizedeka i zagraliśmy „Rwój rzemienie”. Ludzie byli zaskoczeni, bo pomalowaliśmy sobie twarze i graliśmy z takim przejęciem, że czułem, iż Syjon wybucha i ludzie też to czuli. To było współbrzmienie dźwięków i serc. Korzeń z Kraju Melchizedeka pojawił się nagle i zniknął, podobnie jak postać Melchizedeka w Biblii, wynurzyła się z mgły i znikła. Jeżeli malarzowi powiesz – Namaluj obraz, on tego nie zrobi tak ad hoc. Namaluje wtedy, kiedy poczuje zew serca. Takim zrywem serca są wszystkie muzyczne projekty, w jakich uczestniczę. Dlatego łatwo zrozumieć, dlaczego nasza muzyka jest tak prosta i po tysiącokrotnie amatorska. Nasza twórczość jest poważna o tyle, o ile poważnie nami coś wstrząśnie...

Sama długo szukałam takiej muzyki... Właśnie taki power, taka moc, a do tego teksty, które by mi odpowiadały. Np. taka Armia... Długo mi tego brakowało...

Wiem, co masz na myśli. No tak, Armia. Słuchając „Legendy” odnosi się takie właśnie wrażenie; tam jest moc. Muzyka niesie słowa w nieskończoność. Podobnie powinno być na koncertach. Mój projekt Against All Odds jest połączeniem mocnej punkowej muzyki z tekstami, w których nie ma ani cienia agresji. Owszem jest krzyk, jest rozdarty głos (nawiasem mówiąc, przy nagrywaniu płyty „Punk Roots”, próbowałem moje teksty zaśpiewać łagodnym głosem, ale po prostu nie szło. Męczyłem się i ja, i akustyk, który w końcu powiedział: Co to ma być! Albo to ma być punk, albo pop! No i poszło tak jak trzeba, czyli z mocą). Ciekaw jestem, jak by wyglądał koncert AAO. Ta muzyka ma to do siebie, że nie sposób stać w miejscu. Punk generalnie porywa, wstrząsa i wymaga odpowiedzi. Można się zastanowić, dlaczego w ogóle sięgać po taki muzyczny wyraz, jak punk rock. Po pierwsze trzeba powiedzieć, że jest to bardziej potrzeba serca, które dobrze się czuje w tym klimacie, niż raczej szukanie jakiejś formy i kalkulowanie typu: jaką muzykę zagrać, żeby wyrazić to lub owo?

P o z a



tym, jak sobie wyobrażam niektórych proroków, to myślę, że pewne słowa, np. rozerwać kajdany zła!, lub przestańcie czynić zło! – były mówione głośno, były być może właśnie wykrzywane. Ocean, który się burzy, budzi przejmującą grozę, a z kolei szmer strumyka zachwyca; ale i jedno i drugie jest częścią życia, podobnie jak szept, ładny śpiew i krzyk.

*Dosyć trwania w zamknięciu
I w bezradności, która rodzi ból
Babilon, system, zło
Mniejsza o nazwę, gdy chodzi o to samo
Sprzeciw dotyczy złych rzeczy
Dotyczy kłamstwa, przemocy
i niesprawiedliwości
Umocnijmy serca tym przesłaniem:
Nasze życie niech będzie wolne od zła!*

AGAINST ALL ODDS, „Punk Roots”

Czym jest dla Ciebie muzyka chrześcijańska?

Określenie „muzyka chrześcijańska” nie służy. Mówi się o Izaiashu, że jest muzyką chrześcijańską, ale ja ani razu takiego określenia nie użyłem. Określenia upraszczają. Jakiemuś undergroundowcowi powiesz o Izaiashu, że to jest muzyka chrześcijańska, to on tego już nie posłucha, albo będzie słuchał z uprzedzeniem. To jest to całe zamieszanie, jakie wprowadzają podobne określenia. Słyszałem kiedyś utwór Chili My – „Biała koszula”. Czy jest to utwór chrześcijański? A jednak wiele osób ten zespół łączy ze sceną tzw. chrześcijańską. Klasyfikowane są zespoły, nadaje się im określenia itd. Jeśli ktoś by mnie zapytał – Izaiash jest zespołem chrześcijańskim?, to ja odpowiem – Coś takiego!?. Zauważ, że takie wczesne zespoły jak Izrael, jak Kultura, albo Gedeon Jerubbaal miały bardzo podobne przesłanie jak my. Tam był Syjon, Jahwe, wiele odniesień do Pisma i nikt nie mówił, że są to zespoły chrześcijańskie. Ale dlatego, że obecnie działa tzw. scena chrześcijańska, więc pewne zespoły

trzeba do niej



ARCHIWUM IZAIASH

Izaiash

zakwalifikować. Niech na przykład jakiś zespół reggae zechce zagrać na Winter Reggae Festival w Gliwicach i niech powie organizatorom: gramy reggae chrześcijańskie. Mogłoby się okazać, że usłyszy słowa: O.K.! To jedźcie na S.O.S.! No i mamy pożytek z tzw. sceny chrześcijańskiej, albo pożytek z tzw. sceny niezależnej. Nie zwraca się uwagi na to, o czym zespół mówi, lecz z jakiej jest „sceny”. Ja widzę, że to bardziej dzieli niż przynosi pożytek. Wolę wizję proroka Izajasza: Lew i wół, jagnię i wilk, dziecko i norka żmiji itd. Współuczestnictwo.

Nie porównuj Izaiasha do Izraela. Przesłanie jest, owszem, podobne, ale jednak inne. Są elementy, które mnie na przykład drażnią, chociażby marihuana... Byłam kiedyś na koncercie Akuratu i wyobraż sobie właśnie to szaleństwo, już pod koniec koncertu, ostatni kawałek „Jak ziola”: A nic tak nie koi jak wiatr, a nic tak nie tuli jak mgła, a nic tak nie leczy jak ziola itd. Takie połączenie reggae z mocniejszą muzyką, szal, trans, cała sala się buja a ja... stoję i nic. Nie mogę, po prostu nie mogę.

Uważam, że muzyka nie jest tylko dla zabawy. Tu chodzi bardziej o zdrowie duszy, w sercu trwa przecież wojna duchowa. Kiedy kapela zaczyna grać, to zaraz po tekstach widzimy, co jest dla niej ważne. Izrael śpiewał: Wolny naród musi być! – albo – Dajcie nam równe prawa! – Takie słowa w połowie lat 80. elektryzowały. Ale, z drugiej strony, ciekawe, że bodaj najchętniej śpiewanym przez inne kapele reggae'owe kawałkiem Izraela jest „Ziele uzdrowieniem narodu”. Gdy patrzę np. jak dojrzywało AAO, to też widzę kilka tekstów,

z którymi dzisiaj się zupełnie nie zgadzam. W ciągu 12 lat – w międzyczasie był mój i Darka (perkusisty Izaiasha i AAO) powrót do Kościoła – dostrzegam rozwój i wyjście z postawy gniewu wobec świata. Punkowy bunt, który przed laty charakteryzował AAO, dojrzał, przyjmując postawę sprzeciwu wobec zła. „Punk Roots” jest zatem drogą i próbą uwalniania się spod wpływu tego, co rodzi kłamstwo, przemoc i niesprawiedliwość. Mam tego świadomość, że bycie na scenie, to wielka odpowiedzialność. Albo będzie przesłanie, albo będzie rozrywka, albo będzie tylko krytyka lub gniew – czego dziś jest więcej? Stojąc na scenie czuję się odpowiedzialny za tę najbliższą godzinę koncertu, czuję odpowiedzialność za słuchających. Jestem odpowiedzialny za nastroje i za postawy, jakie wywołują moje teksty. To jest ważna sprawa. A kiedy ktoś po koncercie wychodzi umocniony, dotknięty nadzieją, gotowy do walki, gdy ktoś szepnie Panu Bogu na ucho jakieś szczerze słowo, to taki koncert spełnił swoją misję, to taki koncert był znakiem. Zarówno mój Izaiash, jak i AAO chce dziś powiedzieć: – Słuchajcie, musimy się zbliżyć do Światła, musimy zacząć dostrzegać dobro! To jest obowiązek! Walczyć o dobre życie i budować świat nadziei! Tak, to jest ten Głos. Moja muzyka jest pełna etyki. Mój punk jest etyczny. Właściwie nie tylko muzyka i nie tylko koncert, ale cała postawa i sposób życia, mimo wszelkich przeciwności i mimo wszelkich rzemieni, może i powinna stać się manifestem nadziei. Takie mam pragnienie. ■

*Kłóż z nas nie pragnie żyć pełnią życia
Kłóż z nas nie pragnie prawdziwie kochać
Nie pozwólmy odebrać sobie tego pragnienia*

IZAIASH, „Jahwe Zbaw”

rozmawiała: Ikah



T. WIAZOWSKI

BEZ FRUSTRACJI

Lubię pooglądać telewizję. Dobry film, ciekawą dyskusję czy program rozrywkowy. Nie mam żadnej alergii na TV. Jeżeli coś mnie nie interesuje, naciskam pilota i po krzyku. Nie obchodzi mnie też, czy ci po drugiej stronie ekranu mają poglądy identyczne z moimi. Chyba, że toczy się dyskusja na tematy związane z Bogiem i Dekalogiem. Rok temu młodzi muzycy, związani raczej ze sceną chrześcijańską niż świecką, robili oprawę do jednego z rozrywkowych programów w TVN. I po raz pierwszy w życiu oglądałam program właśnie ze względu na poglądy tych po drugiej stronie ekranu, choć była to tylko rozrywka.

O scenie chrześcijańskiej i świeckiej z **Janem Radwanem** rozmawia Judyta Syrek

Od jak dawna śpiewasz o Bogu?

Śpiewam od 7 lat i pierwsze swoje kroki na scenie stawiałem jako muzyk-chrześcijanin. Wszystko zaczęło się w Krakowie, gdzie razem z moimi znajomymi założyłem zespół Besaleel (tzn. w cieniu Boga). Graliśmy na różnych chrześcijańskich festiwalach, w kościołach, a czasami nawet na festynach. Przede wszystkim chcieliśmy mówić o Jezusie: że przyszedł na świat, a później zmarł, żeby każdy mógł żyć, że daje szansę każdemu człowiekowi. Śpiewaliśmy o tym, że wszyscy mamy perspektywę: po śmierci nie znikniemy, ale będziemy mogli żyć wiecznie. Niestety, w dzisiejszych czasach jedyną perspektywą dla wielu ludzi są pieniądze, dobry samochód i tego typu rzeczy. Natomiast ja wiem i sam tego doświadczyłem, że jedyną nadzieją, a nawet jedyną szansą na przetrwa-

nie jest Bóg i wiara w Niego. Kiedyś nie wierzyłem. Nawróciłem się dopiero dziewięć lat temu, ale o tym nie będę mówił.

Dlaczego nie chcesz mówić o swoim nawróceniu?

Oj, nie jest tak, że nie chcę. Umawialiśmy się przez telefon na inny temat, ale nie ma problemu, mogę powiedzieć i to nawet teraz. Cała moja rodzina jest nawrócona. Kiedy byłem w szkole podstawowej, Bóg skierował moich rodziców w miejsce, gdzie po raz pierwszy usłyszeli i poczuli, że On naprawdę żyje. Jako młody chłopiec mogłem obserwować zmiany, szczególnie w ojcu. Pamiętam, jak tata przewartościowywał swoje życie i z luźnego faceta, który można powiedzieć, jest takim standardem dzisiejszych czasów, stawał się innym człowiekiem. Obserwowałem, jak zmieniają się jego priorytety. Dzisiaj

cieszę się, że mogłem być świadkiem tego nawrócenia. Ja nawróciłem się później. Rodzice na początku próbowali mnie ciągnąć do kościoła. Ale im bardziej ciągnęli, tym bardziej byłem oporny. Czulem gorycz do nich, myślałem: „Niech mnie zostawia w spokoju. Jak można zmuszać poważnego, piętnastoletniego chłopaka, żeby chodził do kościoła? Jak przyjdzie ochota, to mogę ewentualnie pójść sam”. Ale w sumie, to nie mój „poważny” wiek był przeszkodą, lecz środowisko, w którym przebywałem. Czulem się w nim dobrze i nie wyobrażałem sobie, że mógłbym z czegoś zrezygnować i przejąć się Panem Bogiem.

W liceum żyłem bez troski, stawiałem na rzeczy, które dzisiaj, z perspektywy czasu nie są dla mnie nic warte. Bóg był wtedy dla mnie po prostu niewygodny. Wiedziałem, że jest, ale myślałem sobie, że musi jeszcze pocze-

kać, bo ja w tym momencie mam inne ważne sprawy: towarzystwo, imprezy... To, co dawał mi świat, było o wiele cenniejsze i fajniejsze. Pod koniec liceum Bóg upomniał się o mnie sam. Pojechałem na wakacje w góry. Byli tam ludzie z Odnowy w Duchu Świętym i Prote- stanci. Jednego wieczoru zaczęli opowiadać mi, jak wygląda życie z Bogiem. Ich opowieść mnie poruszyła. W pewnym momencie zrozumiałem, jakie naprawdę jest środowisko, w którym żyję. Zastanowiłem się, na czym mi tak naprawdę zależy? Na tych ludziach, na układach? Pomyślałem, że to jest nic nie warte. I zapragnąłem wtedy być bliżej Boga. Później jeszcze trochę „wierzęłem”, ale moja droga od tego momentu jest skierowana w stronę Jezusa. I to było ważne, że nie wybrałem jej z przymusu, ale czułem prawdziwe

Nie zawdzięczam śpiewania na tzw. świeckiej scenie żadnym programom typu „Szansa na Sukces”, „Idol” czy „Droga do gwiazd”, choć wielu namawiało mnie do udziału w nich. Może brzmi to niewiarygodnie, ale zawdzięczam to Bogu.

pragnienie, by być bliżej Niego. To był rok 1995. Od tego czasu idę za Bogiem, aczkolwiek ta droga nie jest prosta, bo napotykałem wiele przeszkód, które nie raz są bardzo wysokie, ale z Bożą pomocą udaje mi się je przeskoczyć i bardzo się cieszę.

Po co śpiewasz o Bogu, co ci to daje?

Każdy koncert, na przykład z TGD, przeży- wam bardzo osobiście. Mimo że przez dłuż- szy czas graliśmy ten sam repertuar i choć znałem utwory na pamięć, za każdym razem przeżywałem ich treść na nowo. Czułem się zbudowany. W pracy, którą wykonuję jest to dla mnie jak świeży powiew, oddech, który pozwala przetrwać.

A od kiedy śpiewasz w TGD?

Od 2001 r., konkretnie od koncertu wielka- nocnego w TVP2. TGD szukało wtedy siły wokalne, a w zespole, o którym mówiłem wcześniej, śpiewała dziewczyna z chóru, Lila Kwarciańska. Ona odpowiedziała Piotrkowi Nazarukowi, że jest taki Jasiu w Krakowie, może by go zaprosić. Piotrek zadzwonił do mnie, opowiedział, jak wszystko będzie wy- glądało, później przesłał mi płytkę demo, nuty, teksty i zaczęły się próby. I tak już zo- stałem.

Jak to się stało, że zacząłeś śpiewać w programie „Jak Łyse Konie”?

Nie zawdzięczam śpiewania na tzw. świeckiej scenie żadnym programom typu „Szansa na Sukces”, „Idol” czy „Droga do gwiazd”, choć wielu namawiało mnie do udziału w nich. Może brzmi to niewiarygodnie, ale zawdzię- czam to Bogu. Wszystko zaczęło się po kon- cencie wielkanocnym z TGD. Najpierw kon-

takty z De Mono, Reni Jusis a nawet udało mi się wystąpić w Pałacu Prezydenckim z Kasią Kowalską. Na początku pomagał mi Piotrek Nazaruk. Potem Paweł „Bzim” Zarecki z Grze- chem Piotrowskim zaprosili mnie do zespołu Freedom Nation. Któregoś wieczoru niespod- ziewanie zadzwonił do mnie Grzech i zapy- tał, czy chciałbym występować w programie „Jak Łyse Konie” w TVN. Oczywiście, że się zgodziłem. Bardzo szybko zaczęliśmy próby i występy. Była to naprawdę ciężka praca. Musieliśmy przygotowywać setki dzingli, które śpiewaliśmy w trójkę: Partycja Gola, Adam Barna, czyli Barney, i ja. Po pewnym czasie zaczęliśmy się męczyć i doszliśmy do wnios- sku, że gubimy się muzycznie. Zateśkniliśmy za koncertami z TGD, na których mógłbym zamknąć spokojnie oczy i zaśpie- wać coś, do czego się przyznaję, w co wierzę i co przeżywam.

Zaraz po tym zacząłeś śpiewać z Kombii?

Tak, ale to zupełnie inna pra- ca. Z Kombii też udało mi się dzięki Bogu. Może ktoś pomyśli teraz o mnie, że jestem ducho- wym wariatem, w kółko tylko o Bogu i wszystko dzięki Niemu, ale ja wiem, że to On dał mi talent i On się mną opiekuje. Zawdzięczam Mu w 100% całą swoją drogę muzyczną.

Nie musiałem się pchać na prze- słuchania, stresować. Grzegorz Skawiński sam zobaczył mnie w progra- mie „Jak Łyse Konie” i przez Grzecha Pio- trowskiego zaprosił na przesłuchanie.

Wiedząc, że jest to zawodowy ze- spół, zacząłem się obawiać masy koncertów, terminów, których nie pogodzę ze śpiewaniem w TGD. Nie chciałem też wpaść w taki kołowrotek: śpiewanie, granie, hotel, śpiewanie, granie, hotel... a sprawy Boże zostawić na boku. Ale jak do tej pory nie jest źle, a na- wet jestem bar- dzo zadowolony.

Ale Kombii to chyba jednak priorytet?

Nie da się ukryć, że tak. I to priorytet poważ- ny, dlatego że gramy nie tylko koncerty, ale również nagrywamy płytę. Kombii to moja praca i nie ukrywam, że daje mi satysfakcję. Zresztą samo przebywanie w ich towarzy- stwie, długie podróże, a przede wszystkim koncerty są dla mnie przyjemnością. Cieszę się, że mogę w ten sposób zarabiać. Jeżeli jeszcze nie byłaś na naszym koncercie, to ser- decznie zapraszam. Nie pożałujesz (śmiech).

Dziękuję za zaproszenie (śmiech). Ciekawi mnie, czy rozmawiasz czasem ze Skawińskim o Bogu?

Nie. Choć mam ze Skawą dobry kontakt. On wie, że śpiewam z TGD, widział mnie na kon- cencie kołęd w TVP2 i wiem, że szanuje, to kim jestem i co robię poza Kombii. W sumie nie miałem okazji, żeby rozma- wiać z nim tak wprost. Nie je- stem człowiekiem, który na siłę próbuje mówić ludziom o Bogu. Oczywiście zależy mi, żeby odmieniali swo- je życie, ale z własnego doświadczenia wiem, że kiedy rodzice ciągnę- li mnie do kościoła, to wcale Pan Bóg nie interesował mnie bar- dziej.



T. WIAZOWSKI



T. WIAZOWSKI

Jakiś czas temu poznałem niewierzącą dziewczynę, bardzo mi zależało, by uwierzyła, ale nie robiłem nic na siłę. Dzisiaj razem się modlimy, przeżywamy te same rzeczy i „nadajemy na tych samych częstotliwościach”. Nie chcę nikogo oskarżać ani zmuszać do wiary.

Ale chyba nie tędy droga, że zaczyna się od oskarżeń?

Oczywiście, że nie. Broń nas Boże od oskarżeń.

Mówiłeś przed chwilą o niewierzącej dziewczynie...

Po raz pierwszy zobaczyłem ją w programie „Droga do Gwiazd” i bardzo mi się spodobała. Coś mnie w niej ujęło, ale zobaczyłem ją... i tyle. W końcu udało nam się spotkać. Zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że jest osobą ni to niewierzącą, ni wierzącą. Po pewnym czasie rozgrzyzłem sprawę, dziewczyna była poszukująca. Prosiłem więc Boga o mądrość, żeby nie robić nic nachalnie. Zresztą Bóg wiedział najlepiej, kiedy mamy się spotkać – był to moment trudny dla niej i dla mnie w sumie też. Modląc się poczułem spokój, ufałem, że uda nam się porozmawiać, że On wszystkim pokieruje... I pokierował. Uwierzyła. Jest dzisiaj osobą, która kocha Jezusa.

Pamiętam taki koncert z TGD, na którym byłem potwornie zmęczony. Myślałem sobie: „Jak mam zaśpiewać, skoro nie mam fizycznie siły? Co powiedzieć tym ludziom?” Jednak jakos

zaspiewałem, coś powiedziałem. Po koncercie byłem jeszcze bardziej zmęczony. Podszedł do mnie młody chłopak. Spodziewałem się, że powie, jak większość, standardowo: „Fajnie śpiewales”. A on powiedział, że przez moją posługę Bóg rozwiązał jego problem. To było dla mnie największą nagrodą. Wtedy, kiedy wydawało mi się, że jestem bezsilny, zmęczony, na nic nie mam ochoty, Bóg się mną posłużył. Wierzę, że to On wyznacza czas i miejsce, a nie człowiek. Tak jak z moją dziewczyną, tak jak z tym chłopakiem.

Myslisz o karierze solowej? Z twoim doświadczeniem chyba byś sobie poradził.

Nie mam jakiegoś wielkiego ciśnienia, żeby robić karierę jako solista, tym bardziej w rozrywce. Chyba nie wiedziałbym, o czym tak naprawdę śpiewać. Wystarczy kupić parę płyt, by zauważyć, że wszystkie historie są takie same. Jeden opowiada o miłości do kobiety, drugi facet też o tym mówi, tylko w nieco inny sposób. Jeden opowiada o frustracjach, drugi o wakacjach i wszyscy tak naprawdę śpiewają o tym samym. Może to i daje jakąś radość, optymizm, ale ja na razie nie mam ochoty iść w tym kierunku, może kiedyś? Jeżeli Bóg stwierdzi, że powinienem stanąć na tej drodze i wykonać jakąś głębszą pracę w tym środowisku, to mnie tam postawi i umocni.

A może jakiś duet z Barneyem? Na zakończenie koncertów TGD dajecie razem nieźle czadu.

Tak, to prawda. Rozumiem się z nim bardzo dobrze. Już razem śpiewaliśmy w Freedom Nation i może wkrótce wrócimy z tym zespołem na scenę. Grzechem byłoby nie wspomnieć w tym miejscu osoby naszego doktora Ökke (Pawła „Bzim” Zareckiego), bez którego gra w Freedom Nation mogłaby okazać się wielką, nieuleczalną chorobą.

Zostańmy przy temacie muzyki chrześcijan. Chciałbyś, żeby była bardziej promowana?

Oczywiście, że tak. Bo czy mamy zamknąć się we własnym sosie, wśród jakiegoś jednego środowiska i śpiewać dla siebie o Panu Bogu? Przecież nie o to chodzi. Postawy chrześcijan muszą być widoczne dla innych ludzi, bo tak naprawdę żyjemy nie po to, żeby nałapać się kasy albo depresji, a potem umrzeć. Jeżeli poznaliśmy Boga, jeżeli Go Kochamy, to wiemy, że On nas powołuje do konkretnej pracy i jesteśmy Jego narzędziami, którymi się posługuje. Promocja muzyki artystów chrześcijan jest naszym obowiązkiem. Muzyka jest źródłem porozumiewania się. Przez nią możemy w prostszy sposób dotrzeć do człowieka – nie tylko do młodego. Jestem jak najbardziej za tym, żeby ją promować i nie ma się czego wstydzić. Nie ukrywam jednak, że nie można od razu wylać całej kawy na ławę czy robić tzw. nagonki. Trzeba się modlić o Boży udział w tym wszystkim, a także dbać, aby muzyka ta była na wysokim poziomie. Musi być profes-

sjonalne wykonanie, oryginalna i interesująca okładka, bo inaczej ludzie nie kupią płyty. I promocja też musi być profesjonalna.

Jaka jest różnica między tzw. „graniem świeckim” a „chrześcijańskim”? Powiedziałeś wcześniej, że śpiewanie z Kombii daje ci satysfakcję, więc...

Może powiem tak: na co dzień widzę różnice między graniem ludzi wierzących i niewie-

Wystarczy kupić parę płyt, by zauważyć, że wszystkie historie są takie same. Jeden opowiada o frustracjach, drugi o wakacjach i wszyscy tak naprawdę śpiewają o tym samym. Może to i daje jakąś radość, optymizm, ale ja na razie nie mam ochoty iść w tym kierunku

rzających. Różnica leży chociażby w tekstach, o czym mówiłem już wcześniej. A muzyka grana przez chrześcijan? Uważam, że jest jakby kołem ratunkowym dla ludzi. Nie da się ukryć, że każdy kolejny człowiek, który nawraca się poprzez tę muzykę, zostaje po prostu uratowany. Większość ludzi, którzy nie wierzą w Boga i nie chcą wierzyć, nie zdają sobie sprawy, że idą w przepaść. Po drodze może być bardzo pięknie: mnóstwo zielonych pól, dużo fajnego jedzenia, hektolitry wysokowego picia, piękne kobiety, ale na końcu tej drogi jest przepaść w dół. Jako chrześcijanin mam nieodpartą ochotę ratować tych ludzi. Dlatego wiedząc, że ta muzyka może dać życie komuś, tym bardziej chcę ją grać i śpiewać. Znam ludzi, dla których Bóg jest niewygodny, niepotrzebny. Większość z nich nie przejmuje się tym, co stanie się z nimi po śmierci. Ja kilka lat temu myślałem podobnie. Teraz to się zmieniło, ale nie jestem dziwolągiem. Jestem dalej bardzo wysokowym człowiekiem, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Lubię się śmiać, żartować, wariować, ale kiedy w grę wchodzi ludzkie życie, stawiam wszystko na jedną szalę. Staram się w kontaktach z ludźmi być bardzo delikatny i wyczulony na ich potrzeby. Nie zarzucam ich tematami, nie robię kazań na koncercie, bo wiem, że niektórzy ludzie mogą się nudzić, a kto się nudzi, ten głupieje. A jeżeli chodzi o muzykę rozrywkową, to jest ona dla mnie wielką przyjemnością. Lubię śpiewać, stać na scenie i patrzeć, jak ludzie się bawią.

Tak słucham twojej historii i dochodzę do wniosku, że po nawróceniu wszystko ci się świetnie układa.

Oj, nie do końca. Życie z Bogiem to nie sielanka. Jak każdy inny człowiek, muszę podejmować ważne decyzje. Często przeżywam jakiś problem, stresuję się wieloma sytuacjami i nieraz wydaje mi się, że pewne rzeczy mnie przerastają. Ale w tym całym zamieszaniu wiem, że nie jestem sam. Stoi za mną potężny Bóg, który stworzył wszystko. Miałem w życiu

taką sytuację, po której zacząłem siebie strasznie oskarżać. Myślałem, że nie jestem godzien rozmawiać z Bogiem. Chciałem się zamknąć w sobie, zakryć płaszczem, żeby nikt na mnie nie patrzył. Było mi wstyd przed Bogiem za to, co zrobiłem. Krótco po tym pojechałem z TGD na warsztaty. Podczas modlitwy siedziałem z boku i plakałem, bo widziałem, że wszyscy się cieszą, a ja nie potrafiłem. Nagle podszedł do mnie człowiek i powiedział: „Jasiu, Bóg chciałby ci coś powiedzieć”. Wydało mi się to dziwne. Jestem bardzo wrażliwy na takie rzeczy i podchodzę do nich z dystansem. Ale ten człowiek przekazał mi słowa, które były odpowiedzią na to, co przeżywałem. Czulem, jakby sam Bóg do mnie mówił: „Wiem, co przeżywasz, że jest ci ciężko, nie rozumiesz tego, że Ja ci przebaczyłem. Nie możesz tego przyjąć, bo twoje oskarżenie jest większe”. To nie były

słowa, które można powiedzieć każdemu. One były skierowane do mnie. Znajomi, którzy je słyszeli, byli poruszeni do łez. Bóg mnie nie opuścił w najgorszych momentach.

Już w swoim życiu „zmozyłem pośladki” i zobaczyłem, że nie mogę polegać na sobie i na własnych mądrościach. Szczerze życzę każdemu, żeby chciał poznać Boga tak naprawdę, i to jak najszybciej, bo szkoda życia.

rozmawiała: Judyta Syrek

Współpraca przy opracowaniu: Magdalena Wojacek; zdjęcia Tomek Wiazowski

PS: Wywiad został przeprowadzony w maju 2004 r., w październiku Jasiu pożegnał się z zespołem Kombii. Czy jeszcze kiedyś będzie z nimi śpiewał? Teraz razem z Pawłem „Bzim” Zareckim i Adamem Barna są w trakcie nagrywania płyty Qula Project, która już się toczy.





Lá c'è un posto
Gdzieś tam jest moje miejsce

Gdzieś tam jest moje miejsce,
Inny świat, do którego należy.
Tam jeszcze wschodzi słońce
A gwiazda ze wschodu przynosi jutrzeńkę.
Ja mam jedno skrzydło, ty masz drugie
Jak anioły tam polecimy
Przez zimę i lato, jak anioły daleko polecimy.

Trzymaj się mocno,
złap mnie za rękę i nie oglądaj się wstecz!
Otrzyj łzy - uciekniemy z tego piekła.
Ucałuj światło, chwytaj dzień
Spójrz, słońce świeci i jasne niebo nad nami.
Porzuć swe lęki i przestań się martwić
Ile to razy On zwyciężał śmierć,
a ty zamknąłeś przed Nim drzwi...?
Ale On wciąż ciebie szukał w ciemnościach.
On jest ponad wszystko
Silniejszy od czasu, silniejszy od zła
Silniejszy od sztormu, silniejszy od morza
Zna ciebie i woła cie po imieniu.

Roberto Bignoli

SCHIO zaprasza!

WOJTEK KULAK
bosko.pl

VI Międzynarodowy Festiwal „Il Mondo canta Maria”

– Czy przeczytałeś już mail, który do ciebie wysłałem? – Tak któregoś dnia zaczął rozmowę ze mną Roberto Bignoli. Pamiętałem, że kilka dni wcześniej przyszła od niego jakaś wiadomość, ale nie zapoznałem się z jej treścią, bo wydała mi się podobna do informacji z newslettera, jakie co pewien czas otrzymuję ze strony www.informusic.it. Organizatorzy Festiwalu „Il Mondo canta Maria” opłacają podróż i pobyt we Włoszech. Przekaż tę informację polskim muzykom, może skorzystają z propozycji. Warto!

Głos Roberto był sugestywny, taki jest zresztą zawsze, kiedy mówi o czymś, w co angażuje się całym sercem (a tak na marginesie, inaczej chyba angażować się nie potrafi). Po rozmowie zacząłem się zastanawiać. Sam tytuł „Il Mondo canta Maria” przypominał mi stylistykę nazw przeglądów i festiwali, jakie odbywały się w Polsce w latach 80., że wymienię chociażby Maria Song „Il mondo canta Maria” (czyli „Świat śpiewa Maryi”, a może raczej: „Świat wyśpiewuje chwałę Maryi”, bo taki właściwie jest sens) nie jest zbyt atrakcyjną nazwą jak na polską rzeczywistość. Postanowiłem jednak przyjrzeć się jednemu z, jak się później okazało, największych festiwali muzyki religijnej we Włoszech.

Na samym początku wiedziałem niewiele, właściwie nic. Jednak wizja możliwości, jakie mógłby otworzyć ów Festiwal przed polskimi wykonawcami, bardzo mnie dopingowała

i kazała postawić Roberto, i nie tylko jemu, kolejne pytania. Zacząłem od pytań bardzo oczywistych: gdzie?, kiedy?, kto za tym stoi? itp. Na pierwsze dwa odpowiedzi otrzymałem prostą: Festiwal odbywa się 30 kwietnia każdego roku w Schio koło Vicenzy. A kto jest jego organizatorem?

To było tak. Proszę o chwilę cierpliwości, ponieważ historia jest całkiem zajmująca. W 1985 roku w Schio rozpoczęły się objawienia maryjne, podczas których Matka Boża przedstawiała się jako Królowa Miłości. Wokół widzącego zaczęła gromadzić się grupa ludzi pragnących realizować wskazania Maryi, a nie były one proste. W Schio wybudowano szpital dla osób starszych i potrzebujących, podobne dzieła powstały w Brazylii i Kenii (tym razem jednak z myślą o biednych dzieciach), kolejne mają powstać w Rosji. Powołano do istnienia satelitarne radio Kolbe SAT, zainicjowano kil-

kudniowy miting młodzieżowy, który odbywa się każdego roku w sierpniu. I w końcu... Roberto Bignoli wniósł swój wkład w „Dzieło Miłości” (tak nazywa się ów ruch i stowarzyszenie, które za tym wszystkim stoi), organizując po raz pierwszy w 1999 roku Festiwal „Il Mondo canta Maria”. Od samego początku niestrudzony Roberto nadał imprezie wymiar międzynarodowy. Korzystając ze swoich znajomości, przez trzy pierwsze lata zapraszał artystów chrześcijan zwłaszcza ze Stanów Zjednoczonych oraz Ameryki Łacińskiej. Transmisje z Festiwalu przekazywało na cały świat radio Kolbe SAT oraz telewizja satelitar-na. W ostatnich trzech latach, czyli od kiedy dyrektorem artystycznym został najbliższy współpracownik Roberto, Fabio Angiolin, Festiwal otwiera się na artystów europejskich, w tym także polskich. Jako pierwszy ów szlak do Schio przetrwał w 2002 r. Tomek

Kamiński, który został zaproszony jako gość na koncert podczas sierpniowego mittingu dla młodzieży. Teraz jest okazja, aby i in- ni tam dotarli.

– Roberto, ale jeśli materiały polskich muzyków nie dotrą na czas?

– Nic nie umknie naszej uwadze. Jeśli materiał się spodoba, to zaprosimy ich w przyszłym roku, a może nawet już na tego- roczny miting młodzieżowy w sierpniu. O jedno możesz być spokojny – te piosenki będą puszczane przez radio Kolbe SAT na cały świat.

Później rozmawiałem z Fabio Angiolin, który powiedział, że pierwsze zgłoszenia z Polski już są. A formuła festiwalu jest pro- sta: trzeba wykonać dwie piosenki – jedną maryjną, a drugą o do- wolnej tematyce. Artyści nie tylko jednak śpiewają. Prowadzący rozmawia z nimi w trakcie koncertu, ponieważ – jak mówią or- ganizatorzy – ludzie chcą wiedzieć, dlaczego artyści wykonują właśnie tę piosenkę, a także jakie przesłanie chcą przekazać młodzieży jako chrześcijanie. Tak, przede wszystkim młodzieży, bo to szczególnie z myślą o niej ten Festiwal się narodził.

– Jestem bardzo przywiązany do osoby Maryi. Ponadto jeź- dzę do Schio od 16 lat. Czulem zatem, że muszę również i ja dać coś od siebie zgodnie z tym, co jest moich charyzmatem, a jest nim muzyka. Myślałem wtedy w sposób szczególny o młodych. Dlaczego o młodych? Ponieważ to pomoże rów- nież i im poznać osobę Maryi, nie jako Maryję od różańca, ale jako Maryję przyjaciółkę, dziewczynę, młodą osobę, Maryję, która śpiewa... Oczywiście, muzyka to pretekst, aby zaprosić młodzież do refleksji nad jej życiem. Nie wystarczy zorganizować pokaz i powiedzieć: jakie to piękne! Trzeba potem dać bodziec, który zachęci młodych do wzrostu na drodze wiary. Gdzie? We własnej parafii, w ruchu, do którego przynależą, mówiąc krótko: w tym środowisku, w którym żyją – wyznaje Roberto Bignoli.

Warto się tam wybrać. Tomek Kamiński tak wspomina swój po- byt w Schio trzy lata temu: – Dla mnie chwile takie jak w Schio, gdzie ludzie się spotykają, są bardzo cenne – i nawet nieko- niecznie chodzi o wspólną modlitwę, ale właśnie o spotkanie z ludźmi. Nie tylko z artystami, bo artyści są tutaj mniej waż- ni. Widziałem w Schio amatorskie zespoły, które się spotkały, aby pomuzykować, i to było miłe. Jednak dla nich muzyka nie była aż tak bardzo ważna. W Schio można było zaobserwo- wać jedno: muzykowanie stawalo się pretekstem do bycia ra- zem i właśnie spotkanie z innymi stawalo się najważniejsze. Nie pozostaje chyba już nic innego, jak tylko podać adres, na któ- ry można wysłać materiał muzyczny:

Fabio Angiolin – Via Fermi 6/C

36015 SCHIO (VI) ITALY

e-mail: fabio@radiokolbe.net

Muzyka na dowolnym nośniku: CD, MC, Video, DVD z dołączonymi co najmniej trzema zdjęciami, biografią, adresem interneto- wym oraz adresem strony www.



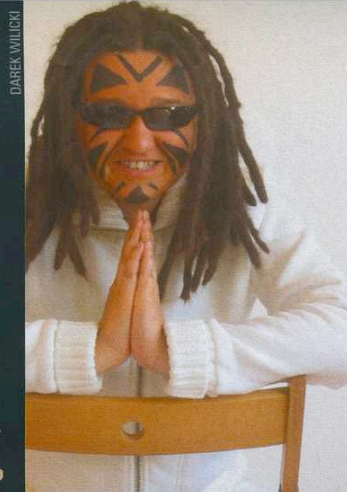
Polyanna Dorough (UK)

Sara Torres (Nikaragua)

Z ARCHIWUM FESTIWALU

MUZYKA KTÓREJ SŁUCHAM

PUMA



DARBEK WILUCKI

Moja przygoda z muzyką zaczęła się, gdy miałam około dwa latka. Pierwszym moim idolem właśnie w tym wie- ku był Afric Simone i jego największe przeboje, które w tam- tym czasie królowały w radiu. Oczywiście już nie pamiętam ani jednego tytułu, a jedynie emocje, które towarzyszyły mi przy tych nagraniach. Do dziś zresztą została we mnie pasja do szybkich, rytmicznych utworów śpiewanych przez czarnych wokalistów. W podstawówce miejsce Simone'a zdecydowanie zajęła Tina Turner i to właśnie ona została ze mną do końca siódmej klasy. W ósmej był już „nieśmiertel- ny” Bob Marley.

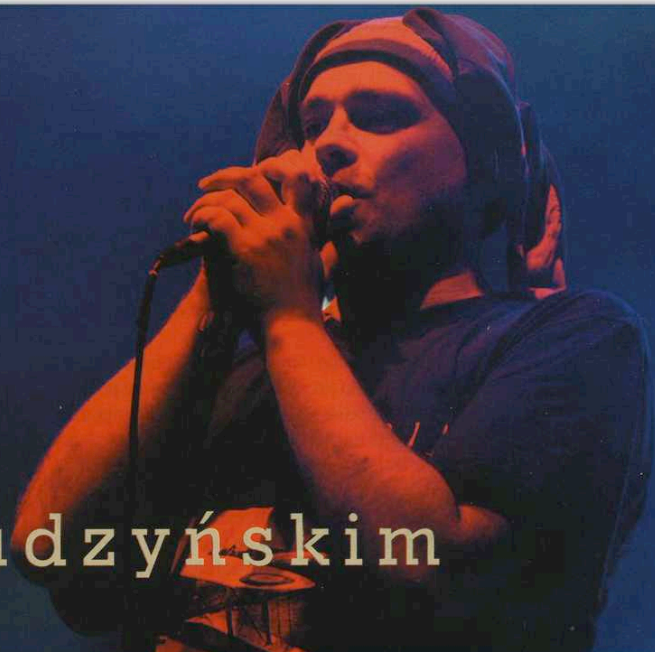
Z czasów liceum pamiętam wielu wykonawców, już nie były to pojedyncze osoby. Trwały moje poszukiwania, w któ- rych najważniejszą rolę odegrał ks. Justyn Ziemiński. Ten człowiek uczył mnie słuchać dobrej muzyki. Oczywiście wcześniej zetknęłam się z takimi postaciami jak: Stevie Wonder, Jackson Five, Lenny Kravitz, Arrested Development, Janet Jackson, Boyz II Men czy TLC, ale dzięki ks. Justynowi sięgnęłam na najwyższą półkę. Pierwszym artystą z „górnjej szuflady” była Aretha Franklin, po niej Ray Charles, Curtis Mayfield, Marvin Gaye, Joe Henderson, Bobby McFerrin, Take 6, Fred Hammond, Kirk Franklin, Marcus Miller, Richard Bona, D'angelo, Paul Jackson Jr. Hezekiah Walker czy Montrel Darrett. Ale bezapelacyjnie najważniejszym zespołem pozos- taje dla mnie gospelowy chór Sounds of Blackness.

Jeśli chodzi o polskich wykonawców, to najbardziej cenię sobie nieżyjącego już Andrzeja Zauchę, po nim Mietka Szcześniaka, a z pań oczywiście Grażynę Łobaszewska, Kayah, Ewę Bem (z pierwszych płyt) i moje największe idol- ki, które zgodziły się zaśpiewać na mojej pierwszej płycie – Beatę Bednarz i Patrycję Gołę. Porządne podstawy, czyli najlepszych światowych wokalistów już znam, teraz przy- szedł czas na poszukiwania własnej drogi. Oczywiście bę- dzie to droga w okolicach soul, funk, gospel, R'n'B, acid jazz, może twist, bossanova czy rdzenna muzyka Afryki. Szukam od paru lat czegoś swojego, trudno mi określić, co to ma być, ale wiem, że na pewno będzie to coś, co zaspokoi moje pragnienia muzyczne. Na razie jestem na etapie wy- bierania i nagrywania samych prawdziwych instrumentów. Zdecydowanie odchodzę od wszelkich loopów, sampli czy próbek dźwiękowych. Nadszedł czas na naturalność... !

CIEMNE STRONY WIARY

z Tomkiem Budzyńskim

wokalistą zespołu Armia, rozmawia Paweł Gzyl



Nowory album Armii - „Ultima Thule” - ukazuje się niemal dokładnie w rok po poprzednim - „Pocałunku mongolskiego księcia”. To pierwszy taki przypadek w waszej historii. Skąd ten zapal?

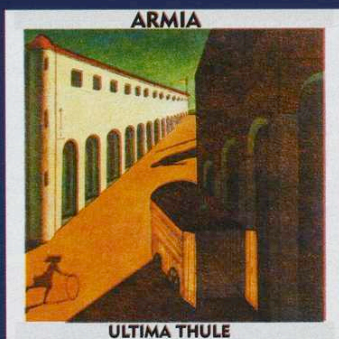
Rozpiera nas energia. Mamy mnóstwo pomysłów, więc po co czekać? Wzięliśmy się do roboty i szybko nagraliśmy płytę. Znalazł się wydawca i płyta jest już na rynku. To rzeczywiście rekord, jeśli chodzi o Armię, bo zazwyczaj nasze nowe albumy pojawiały się co dwa lata.

Czy materiał na „Ultima Thule” powstał jednocześnie z tym, który trafił na „Pocałunek mongolskiego księcia”?

Nie - wszystkie utwory zrobiliśmy jesienią ubiegłego roku. Wyjątkiem są trzy nagrania, które pochodzą z sesji do poprzedniej płyty, a nie zmieściły się na nią. Nagraliśmy je jednak na nowo.

„Pocałunek mongolskiego księcia” wydał Pomaton EMI. Dlaczego nie kontynuowaliście współpracy?

Nie przedstawiono nam propozycji, która by nas usatysfakcjonowała. Poza tym byliśmy niezadowoleni z promocji „Pocałunku mongolskiego księcia”. Przecież Pomaton EMI to gigantyczna firma. A taką promocję, jaką nam zaoferowano, to my sami mogliśmy sobie zrobić.



„Ultima Thule” wydaje Metal Mind Productions. Nie przeszkadza ci, że w katalogu tej firmy znajduje się wielu wykonawców propagujących okultyzm i satanizm?

Wybraliśmy Metal Mind, ponieważ przedstawili dobrą ofertę. Nie miałem żadnych oporów przed podpisaniem kontraktu z tą wytwórnią. Ja jestem artystą, nagrywam płyty i potrzebuję wydawcy. Jeśli ktoś oferuje mi ciekawą propozycję - to możemy razem pracować. Dlaczego firmy chrześcijańskie nie miały dla nas żadnych propozycji? Pytam, dlaczego? Te wytwórnie chcą, aby artysta pracował najlepiej za darmo i zebrał w sklepie o bulki i mleko dla swoich dzieci. A potem dźwią się, że ktoś współpracuje z Metal Mindem. Kuriozum stanowi jedna firma z Wrocławia, która wydaje różne płyty, a nie jest zainteresowana opublikowaniem 2Tm2,3!!! Bardzo chętnie będę współpracował z chrześcijańskimi wydawcami, ale niech oni zaczną nas traktować po ludzku. Przecież to, co robię, nie jest moim hobby, ale moją pracą, której oni nie szanują. Wyjątki oczywiście istnieją, np. „Fronda”.

„Ultima Thule” zostało nagrane w nowym składzie. Nie ma z wami już Beaty Polak.

Beata po prostu wyszła za mąż, urodziła dziecko i zajęła się rodziną. Teraz na perkusji gra w Armii Maciej Gluchowski, czyli „Ślepy”. Jest z Poznania, bębnił kiedyś w grunge'owym zespole Dump.

To czasowe zastępstwo, czy na stałe?

Bardzo dobrze się z nim współpracuje, więc pogramy, myślę, jak najdłużej.

Głównym kompozytorem utworów na „Ultima Thule” jest gitarzysta Paweł Klimaczak. To w sumie też nowy członek w zespole...

Graliśmy z nami już na „Pocałunku mongolskiego księcia”. Jeśli ktoś przynosi fajne numery - to je gramy. To prosta zasada. Paweł jest autorem pomysłów do wszystkich utworów na nowym albumie, oprócz tytułowej suity,

którą stworzyliśmy wspólnie.

A jak Paweł trafił do Armii?

Graliśmy z Beatą w poznańskiej metalowej kapeli Syndicate. To bardzo utalentowany muzyk, ma wspaniałe pomysły.

Jak powstawały nowe utwory?

Każdy przynosił swoje pomysły na próby, a potem razem je opracowywaliśmy. To, co „zarło” - robiliśmy dalej, a to, co nie „zarło” - puszczałyśmy w niepamięć.

„Ultima Thule” zdecydowanie różni się od „Pocałunku mongolskiego księcia”. Jest ciężka, mroczna i bardziej metalowa, podczas gdy wasz poprzedni album był punkowy, dynamiczny i melodyjny. Skąd ta zmiana?

Kiedy zbieramy się na próbach i przygotowujemy nowy materiał, nie zakładamy czegoś z góry. Po prostu gramy to, co nam wychodzi. Nigdy nie siadamy do stołu, aby wymyślić koncepcję nowego albumu. W zespole Armia wszystko dzieje się spontanicznie. Jaki jest nastrój chwili - taka jest muzyka na płycie. „Pocałunek mongolskiego księcia” był lajtowy, a utwory z „Ultima Thule” są chropowate, surowe, mroczne i ciężkie.

Wydawało się, że przeżywasz ostatnio powrót do klasycznego punka, czego dowodem był nie tylko „Pocałunek mongolskiego księcia”, ale także płyta Budzego i Trupiej Czaszki. W tym kontekście „Ultima Thule” jest dużym skokiem.

Cieszy mnie to. Okazuje się, że z naszego środowiska wypływa bardzo różna muzyka. Trupia Czaszka to ekstremalny czad, jakby połączenie Siekiery i Slayera. Armia - skomplikowana muzyka z odniesieniami do psychodelii, a moje solowe dokonania z „Tańca szkieletów” - apokaliptyczny folk...

„Ultima Thule” przypomina pod względem muzycznym „Ducha”...

Czy ja wiem? Myślę, że to jest trochę nowa jakość.

Gdzie nagrywaliście płytę?

W domowych studiach Litzy i Ślepego. Perkusję, bas i wokale nagraliśmy u Litzy, a gitary i mix robiliśmy u Ślepego.

Nie chcieliście ponownie wybrać się do Kosmicznego Studia Obuha pod Lublinem?

Wolałem być w domu. Ostatnio dużo podróżuję i jestem tym trochę zmęczony. Taka wyprawa na wschód Polski byłaby zbyt kosztowna i czasochłonna. Ale kto wie? Może jeszcze kiedyś tam wrócimy? Bardzo lubię Wojcka, jego osobę i klimat, jaki panuje w jego studiu, no i te krajobrazy mojej młodości...

Wydaje mi się, że na „Ultima Thule” większą rolę niż zwykle odgrywa Banan. Dźwięki waltorni nie są już tylko ozdobnikami z tła, ale wysuwają się na pierwszy plan, podając linię melodyczną – ot, chociażby w „Złej krwi”.

Nie ma w tym nic dziwnego. Banan gra w Armii prawie od początku i jego gra jest bardzo charakterystycznym elementem naszego stylu. Przecież oryginalność naszego zespołu polega m.in. na wykorzystaniu tego instrumentu.

Więcej też na „Ultima Thule” elektroniki...

Ale tylko w tytułowej suicie. Zresztą elektronika była zawsze obecna w brzmieniu Armii. Wystarczy posłuchać „Legendy” – tam jest mnóstwo klawiszy.

Pierwszy utwór na „Ultima Thule” – „Biesy” – jest oparty na utworze duetu DAF. To dość niezwykle źródło inspiracji jak na Armię...

No tak, dwaj niemieccy homoseksualiści... Niedawno kupiłem sobie ich starą płytę – „Alles Ist Gut” – i właśnie na niej znalazłem „Sato Sato”. Przypomniały mi się czasy Siekiery, a przynajmniej jej nowofalowego okresu, którego brzmienie było inspirowane dokonaniem Killing Joke i właśnie DAF. Postanowiłem wykorzystać pomysł z „Sato Sato” w naszej kompozycji.

Najbardziej zaskakującym utworem na płycie jest kompozycja tytułowa – półgodzinna suita.

To pewna nowość dla naszych słuchaczy, ale nie dla kapeli. Pamiętam, jak jeszcze z Robertem Brylewskim próbowaliśmy grać długie, psychodeliczne kompozycje, do których recytowałem teksty Samuela Becketta. Był nawet jeden taki koncert. Również płyta „Triodante” była pewnego rodzaju concept-albumem.

Jak powstawała suita?

Zainspirował nas wczesny Pink Floyd, który bardzo lubię. Na ich płycie „Ummagumma” jest taki zabieg, że za każdy z utworów odpowiada inny z muzyków. Podobnie jest w „Ultima Thule”. Każdy sam tworzył swoją partię. Wyjątkiem była oczywiście część wspólna, którą zrobiliśmy razem.

Będziecie wykonywać suitę na koncertach?

Publika na koncertach domaga się czadu i to nie tylko piosenek Armii, ale i ostatnio utworów Siekiery. Nie wyobrażam sobie zatem, by

Początkowo miało to być zdjęcie parowozu, które wzięłem z książki o pociągach. Kiedy trafiłem jednak na malarstwo de Chirico, pomyślałem, że pasuje ono doskonale do nastroju tekstów i muzyki. Jest mroczne, tajemnicze, melancholijne, momentami wręcz groźne. A ta płyta nie jest radosna.

No właśnie: twoje teksty zmieniły się. To, co jest najbardziej zauważalne, to fakt, że nie ma w nich już jednoznacznych deklaracji wiary – tak, jak na „Duchu” i „Drodze”.

A kto powiedział, że na płytach Armii mam ciągle składać deklaracje wiary? Minał okres, w którym czułem potrzebę manifestowania swej wiary w sposób publiczny. To wszystko działo się 10 lat temu, to był inny czas. Nie potrzebuję dziś obwieszać się dewocjonaliami czy nosić koszulki z napisem 2TM2,3. Ja idę dalej, a moje teksty odzwierciedlają mój obecny stan ducha.

Tomek Budzyński na Festiwalu S.O.S. 2004



K. BACZYŃSKI

zaprezentować jej psychodeliczną suitę. Ale może kiedyś? Na jakimś specjalnym koncercie? Można by zagrać tylko ten utwór... w filharmonii.

Czy przy okazji tej kompozycji powstało coś więcej tego typu muzyki?

Nie. Ale mam zamiar pójść w tym kierunku na moich solowych płytach.

To byłoby coś zupełnie innego niż „Taniec szkieletów”.

Niebawem mam zamiar wydać muzykę, którą skomponowałem do przedstawienia „Juvenilium Permanens” wystawianego w krakowskim Teatrze Słowackiego, zrealizowanego do wczesnych tekstów Witkacego. I to już jest coś zupełnie innego niż „Taniec szkieletów”. Właściwie to muzyka elektroniczna, ale nie taka jak Tangerine Dream czy Klaus Schulze, tylko nowoczesna, z perkusją. Zrobiłem ją z Michałem Garsteckim z Arki Noego. Chcę dograć do niej wokale – swoje teksty lub Witkacego.

Dlaczego zmieniłeś okładkę do „Ultima Thule”?

K. BACZYŃSKI

Czy nie obawiasz się, że młodzi słuchacze, którzy przyzwyczaili się do twoich jasnych deklaracji wiary, mogą poczuć się zagubieni?

Ale ja jestem artystą, a nie propagatorem idei. Śpiewam to, co czuję. Jestem szczery wobec siebie i swoich słuchaczy i staram się wymyślić wszelkim próbom zaszklawienia mojej twórczości.

W twoich nowych tekstach jest dużo pesymizmu: zarówno w ocenie samego siebie, jak i tego, co dzieje się na świecie.

Tytuł płyty – „Ultima Thule”, czyli „najdalsza wyspa” lub „kraniec świata” – jest pewną metaforą mojego życia duchowego. Jeżeli przyjmujemy, że jesteśmy w ciągłej drodze, to musimy sobie uświadomić, że w tej wędrówce mogą nas spotkać i spotykają różne sytuacje. Ktoś młody może tego nie rozumieć, ale ja już nie mam 18 lat. Chcąc być szczerzy w tym, co robię, opisuję również mroczne stany – a w życiu każdego człowieka zdarzają się sytuacje, w których doświadcza on zła i swojej bezsilności. Mam wrażenie, że przez to moje teksty stały się bardziej uniwersalne

Krzysztof „Banan” Banasik



i prawdziwe. Jeżeli ktoś realnie i odważnie patrzy na swoje życie, zrozumie to, o czym piszę. Mam momenty zwątpienia i ciemności, ale taka jest duchowa droga każdego człowieka. Jeżeli komuś się wydaje, że polega ona na ciągłym uwielbieniu, jak uważa pewnie wielu chrześcijańskich wykonawców, to się głęboko myli. Przecież wszyscy wielcy mistycy piszą o ciemnej, pełnej udreki „nocy duchowej”. Także wiele psalmów opisuje takie sytuacje. To musi mieć jakieś odbicie w sztuce, bo inaczej zaczniemy się okłamywać. Być może wyłamuję się teraz z obowiązującego na scenie chrześcijańskiej stereotypu, ale jest on dla mnie ciasny i krępujący, oddalony od mojej sytuacji duchowej. Mnie interesuje prawda – prawda mojej duszy. Ponieważ chcę mieć czyste sumienie, dlatego nagrywam takie płyty. I mam nadzieję, że nie popadam w jakieś herezje.

Boisz się tego?

Mało tego: nie tylko każdy ma prawo szukać i błędzić, ale każdy prędzej czy później będzie musiał przez to przejść – w różnych okresach swego życia. A sztuka po prostu daje temu wyraz. A ja, ani nie wyrzekłem się wiary, ani nie stałem się ateistą czy heretykiem, zacząłem po prostu wiarę traktować poważnie. Akurat w tym momencie opisuję ciemne strony duchowej walki. Najbardziej genialnie robił to w literaturze Dostojewski.

... albo w muzyce rockowej Nick Cave.

Tak jest.

Tradycyjnie powracasz w swych tekstach do dzieciństwa.

Te postacie z dzieciństwa, które przywołuję, są dla mnie bardzo ważne i ciągle żywe. Cały czas towarzyszą mi w życiu.

Czy symbolizują one beztroską krainę niewinności?



Armia na Festiwalu S.O.S. 2003

Oczywiście, że czuję się odpowiedzialny. Ale ja nie chcę być dla kogokolwiek wykładnią rzeczy ostatecznych. Jestem artystą i mogę iść w swojej sztuce naprawdę krętą drogą. Chciałbym powiedzieć, że przez minione lata, zobaczyłem bardzo wyraźnie, że wiara i moje zbawienie nie polega na tym, że będę stał na scenie i śpiewał coraz więcej o Bogu, tylko na tajemniczej przemianie mojego życia.

W pewnym momencie ty, Litza i Maleo staliście się swego rodzaju idolami dla chrześcijańskiej młodzieży.

Może przykleić na płycie naklejkę z napisem „Dozwolone tylko dla osób po 40.”? To, co proponujemy na „Ultima Thule” zmusza słuchacza do znacznie głębszej refleksji, do tego, żeby spojrzeć poważnie na swoje życie, takie, jakie ono jest, aby przestał się oszukiwać. To wymaga pewnej odwagi, ale przynosi dobre skutki.

Myślę, że takie rozmowy, jak nasza, są ważne. Trzeba głośno mówić o tym, że każdy może szukać i błędzić. A to wcale nie oznacza, że nie jest już chrześcijaninem.

One symbolizują Raj. Bo dziecko jeszcze przez krótki czas przechowuje zapach raj, a potem mu się to odbiera. Człowiek sam skazuje się na to wygnanie, poprzez uczestnictwo w kulturze.

Ale czy jest od tego ucieczka? Powinniśmy wszyscy być jak Kaspar Hauser?

Nie o to chodzi... Cywilizacja i kultura są oparte na strachu, są murem, za którym ukryty jest Raj i Królestwo Boże. Demon trzyma nas w więzieniu. Religia i sztuka są próbami zrobienia dziury w tym murze, odgradzającym nas od prawdy, bo pragnieniem ludzkiego serca jest kochać i być kochanym, być wolnym! Chodzi o to, aby ktoś zabrał ten strach...

Najpełniejszy powrót do Raju dokona się jednak dopiero poprzez śmierć. I o tym mówią też twoje teksty z „Ultima Thule”.

Ja chcę antycypować śmierć – ja chcę wrócić do Raju już teraz. I ta właśnie tęsknota sprawia, że piszę, maluję i śpiewam w zespole. ■

rozmawiał: Paweł Gzyl

ARMIA
i goście **sióbr** i

**NACIĄGANY
JUBILEUSZ
20. LECIA**

Panie, a to się działo... mimo, że już marzec u bram, ja ciągle jeszcze obecny duchem na tym koncercie. A wszystko zapowiadało się tak niewinnie – ot kolejny koncert, jacyś goście, bo to że 20 lat mija, jak ta nazwa (nieprzerwanie) funkcjonuje na rynku. No i z błoga nieświadomością skierowałem swe kroki w stronę Stodoły, mimo, że pierwszy dzień był po zwolnieniu chorobowym. I jeśli czegoś miałbym żałować w swoim życiu, to na pewno nie tej decyzji. Jakże mile byłem zaskoczony nie mając wcześniej żadnego pojęcia, kto zagości tego wieczoru na scenie. Ot myślałem sobie, że posłucham materiału z nowej płyty, a tu od razu z buta: W „Zemście” pomimo kłopotów z gardłem zaśpiewał **Zygzak** (ex **TZN Xenna**), w „Miejscu pod słońcem” – **Grymużnik**. Potem było jeszcze lepiej, bo w „Jeżeli” moim oczom ukazał się **Kazik**, którego zupełnie nie podejrzewałem o znajomość armijnej twórczości! No i od „Zostaw to” wszedł na dłuższy czas **Stopa**, który niedość, że z **Maleonkiem** wykonał trzy kawałki: Izraela, Maleo RR i Marleya, to jeszcze w chwilę później przypomniał sobie dużo starsze czasy, bo na scenę wskoczył **Guma** i razem panowie zagrali trzy kawałki Moskwy. No, to już był czad, ale kiedy na koniec, na bisy chłopaki walnęli cztery kawałki Siekiry, to była zupełna ekstaza. To się po prostu musiało zakończyć saltem ze sceny (bez ofiar w ludziach na szczęście) i wspólnym darciem mordu do mikrofonu, szczególnie, że przed bismami delegacja armijnych forumowiczów wręczyła Tomkowi miecz – obosieczny, półtora ręczny z wygrawerowanym napisem: Niewidzialna Armia – Warszawa 2005. Wzruszony Tom dzierżąc nowy oręż – boć już dwa w domu ma – zakrzyknął: Na to czekałem! Co tu dużo gadać, był to taki mały Punk Rock Later w pigułce (he he he...) – kto mógł być, a nie był niech żałuje. Pozostałym na ostodę dodam, że koncert był amatorsko rejestrowany (zdjęcia i fragmenty video obejrzeć można na oficjalnym forum zespołu – temat „Kto żyw do Stodoły 27.01.2005”) i możliwe, że wraz z innymi atrakcjami (pokoncertowa balanga u **Crazych**) dołączony do jakiegoś kolejnego, może rocznicowego wydania DVD. Bardzo udane przedsięwzięcie. Życzylbym sobie dużo, dużo więcej takich. ■

Grzegorz Waclaw a. k. a. dziki
P.S. Specjalne podziękowania dla Łukasza Minty
i Janka Kęcika.



...gdy zapadła noc, niebo nad nami wyglądało przepięknie, krzyż południa połyskiwał na niebie, a wokół niego migotały miliardy świetlnych punkcików. Stałem tak, myśląc, że dla takiego nieba warto było pokonać tysiące kilometrów. Co chwilę rozlegał się w ciszy głuchy pomruk – to hipopotamy zaczynały wychodzić z wody na brzeg.



BONI 2 NA CZARNYM LĄDZIE

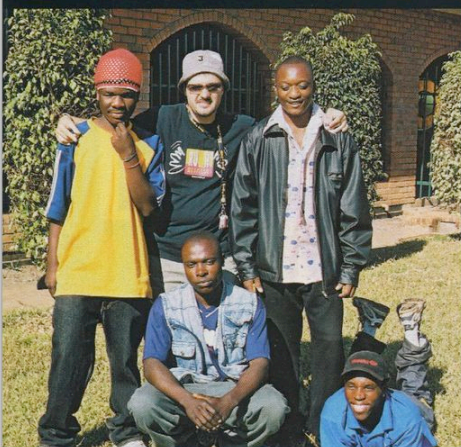
Malawi – Lilongwe – Mbusuni

W RYTMIE REGGAE

Kolejny tydzień upłynął nam bardzo szybko, większość czasu spędziliśmy na prowadzeniu warsztatów, co zajmowało nam niemal całe dni. Prowadząc zajęcia z zespołem muzycznym odkrywałem każdego dnia nowe rytmy malawijskie, głównie reggae, gdyż muzyka Malawi to w dużej mierze reggae z domieszką muzyki ludowej pochodzącej z pogranicza Zambii i Mozambiku. Ludzie wiele podróżują z powodu wojen czy zamieszek, często też i za pracą, do końca nie wiadomo więc, kto jest rdzennym mieszkańcem danego kraju, a kto nie. Dopiero od niedawna zaczęto wydawać dowody osobiste. Ludzie ci podróżując z kraju do kraju przenoszą również swoje tradycje i kulturę, a co za tym idzie, także i muzykę. Rytmy grane przez Paula i Jimiego z zespołem oraz ich pieśni stanowiły dla mnie wskazówkę, w jaką stronę idą młode zespoły, w jakim kierunku podąża ich muzyka. Niewątpliwie

jest to bardzo korzenne reggae. Każdy z muzyków, oprócz tego że komponował własne piosenki, to jeszcze grał na wszystkich instrumentach, jakie mieliśmy do dyspozycji. Często kończyliśmy nasze spotkania po zachodzie słońca, nie zauważając nawet, że dzień ma się ku końcowi. Idąc spać słyszałem w głowie słowa piosenki w narzeczu chichewa, „Mantha, mantha”.

W środy odbywała się próba chóru szkolnego. Szkolnego właściwie tylko z nazwy, bo poziom, jaki reprezentuje ten chór składający się z byłych i obecnych uczniów Don Bosco Institute, jest bardzo wysoki. Dyrygent przy pomocy kilku zgrabnych ruchów potrafił wydobyć z chóru nie tylko wspaniałe dźwięki, ale też i układy taneczne. Pieśni trwały po 15-20 min, a każdej towarzyszył spontaniczny taniec, jak gdyby sam śpiew był niepełny bez ruchu.





LIWONDE PARK – SAFARI

Zbliża się koniec drugiego tygodnia naszego pobytu w Malawi. Księża Salezjanie – misjonarze, u których gościmy, postanowili pokazać nam kawałek prawdziwej Afryki. Wyruszymy wczesnym rankiem w piątek, tak by jeszcze tego samego dnia dotrzeć do Liwonde Park, gdzie oprócz safari czeka nas nocleg. Trasa 250 km biegnie przez malownicze tereny, na których co rusz wyrastają gromady le-



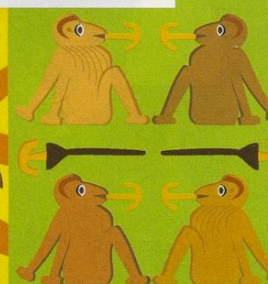
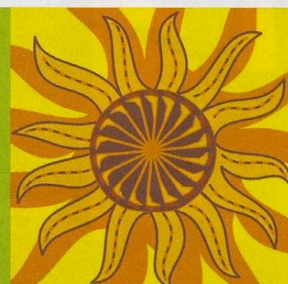
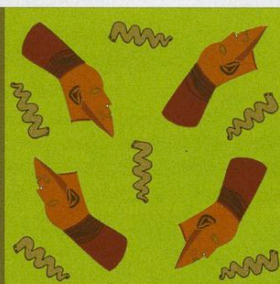
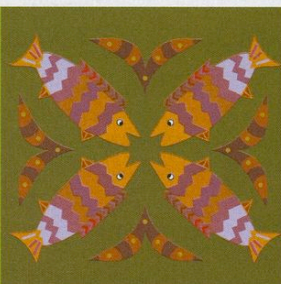
gian skupionych wokół jakiejś rzeczki lub strumyka. Ciągłe nie mogę się nadziwić, jak można jeździć lewą stroną. Malawi, podobnie jak Zambia, była kolonią brytyjską, stąd też ruch na drodze jest lewostronny. Mijamy kolejne wsie i zabudowania, wszystkie pokryte słomą lub blachą falistą. Gdzieś tam wiejskie sklepiki pokryte są nawet tynkiem. W pewnym momencie ks. Czesia zatrzymuje jeepa, którym podróżujemy i wskazując na namiot wojskowy oznajmia, że to granica z Mozambikiem. Faktycznie, na namiocie wisi flaga Mozambiku. Po lewej stronie dro-

gi państwo Malawi, po prawej – Mozambik. Wsiadamy, by chwilę choć „spędzić” w Mozambiku. Niestety strażnika nie ma i nikt nie wie, kiedy będzie. Ale gdybyśmy mieli ochotę iść dalej w stronę stolicy Mozambiku, to mamy się nie martwić, na pewno w stolicy ktoś nam podbije wizy... typowo afrykańskie spojrzenie na sprawę.

Dojeżdżamy do Liwonde – u progu parku wielka brama informacyjna i nic poza tym – żadnego ogrodzenia. Właściwie od tego momentu trzeba bardzo uważać, bo zwierzęta nie boją się samochodów i potrafią wskoczyć na maskę. Strażnik przy wjeździe prosi, byśmy uważali i życzy nam udanego safari. Przed naszymi oczyma ukazuje się świat jak z bajki. Olbrzymie kaktusy rosnące jak drzewa. Wielkie baobaby o korze przypominającej skórę słoni. Podobno diabeł odwrócił drzewo w złości i tak powstały baobaby. Są olbrzymie a ich konary faktycznie przypominają korzenie powykęcane na wszystkie strony. Co chwilę zaskakiwani jesteśmy przez jakieś zwierzęta: kozice, małpy, wotoksy. Celem naszej podróży tego dnia jest przystań nad rzeką Liwonde, która słynie z zamieszkujących ją hipopotamów. W końcu zakurzeni, ale bardzo szczęśliwi, docieramy nad przystań. Nie jesteśmy sami, oprócz nas jest kilku Amerykanów i Anglików. Rozbijamy namioty, szybko przygotowujemy nasze obozowisko tak, by po powrocie z safari móc rozkoszować się nocą w buszu. Przyjeżdża nasz przewodnik z jepeem i wyruszamy w busz ścieżkami znanymi tylko wtajemniczonym. Od razu na samym początku napotykamy stado bawołów, za chwilę dość niespodziewanie natykamy się na słonia, którego podobno nie powinno tam w ogóle być, bo to nie jego teren. Droga zmienia się co chwilę – w górę, z góry. Jedziemy wyschniętymi korytami rzeki, gdyby nie doświadczenie naszego przewodnika i ostrzeżenia, by się mocno trzymać, pewnie nie raz musielibyśmy wypychać jeepa z przepaści. Zjeżdżamy

na polanę, by trochę odpocząć i tam naszym oczom ukazuje się stado słoni, w środku te mniejsze ochraniane przez starsze osobniki. Stoimy w bezruchu obserwując je ze zdumieniem i podziwem. Są bardzo dostojne. Zmierzch zapada błyskawicznie, słychać śpiew ptaków układających się do snu, w tle porykiwania hipopotamów nad rzeką. Busz pomału zasypia, staramy się zapamiętać te chwile pełne magii i uroku. Czas wracać na nocleg do obozowiska. Jak dobrze, że wcześniej przygotowaliśmy namioty i posłania. Teraz jedynym źródłem światła są latarniki naftowe pozostawione przy naszych namiotach. Ich blask wystarcza, by oświetlić miejsce u wejścia do namiotu, poza tym ciemno... Myjemy się w łazience przyświecając sobie latarniami, nagle Ola dostrzega olbrzymią jaszczurkę na ścianie. Jaszczurka jest zielona i szybko chowa się w zakamarkach łazienki. Więc jednak trzeba uważać.

Zapadła noc i niebo nad nami wygląda przepięknie, krzyż południa połyskuje na niebie, a wokół niego miliardy świetlnych punkcików. Stoję tak myśląc, że dla takiego nieba warto było pokonać tysiące kilometrów. Co chwilę rozlega się w ciszy głuchy pomruk, to hipopotamy zaczynają wychodzić z wody na brzeg. Ostrzegano nas, by nie wychodzić w nocy z namiotów. Nie traktowaliśmy tego serio, no bo jak my, z Polski, mamy się bać jakichś tam hipopotamów. Nawet historia opowiedziana przez ks. Czesia o japońskim turyście, którego hipopotam zaatakował, gdy ten





próbował zrobić mu zdjęcie błyskając fleszem po oczach, nie zraziła nas do tych zwierzątek. Noc upływa nam w miarę spokojnie, nie licząc paru incydentów, czyli tracania naszych namiotów przez hipopotamy, oczywiście nie wychodzimy by sprawdzić, czy to aby na pewno były hipcie.

Wczesnym rankiem, po śniadaniu, ks. Czesław odprawia dla nas mszę św. w jednym z namiotów. To naprawdę wzruszające, móc spotkać się o świcie z Panem Jezusem w buszu nad brzegiem rzeki. Około 9.00 rano wyruszamy łodzią na rzekę na spotkanie z jej mieszkańcami... Zaraz po wypłynięciu napotykamy sprawców nocnych hałasów – małą rodzinę hipopotamów. Te bardzo płochliwe stworzenia na nasz widok od razu nurkują pod wodę i tak właściwie za każdym razem, kiedy tylko próbujemy się do nich zbliżyć.

Wśród fauny i flory malawijskiej jest wiele wspaniałych okazów, które praktycznie występują już tylko w niektórych krajach Afryki, wiele z nich jest pod ochroną, ale i tak znajdują się amatorzy smacznego posiłku. O ile łatwo jest usprawiedliwić kłusowników łowiących ryby w rzece po to, by przeżyć, o tyle kłusownika łapiącego w sidła rzadkie okazy ptaków trudno usprawiedliwiać.

Wyglądiali po wspaniałej przejażdżce wracamy do obozowiska, tam szybkie pakowanie obozu i ruszamy w dalszą drogę. Następny etap naszej podróży to –

MONKEY BAY – FAT MONKEYS

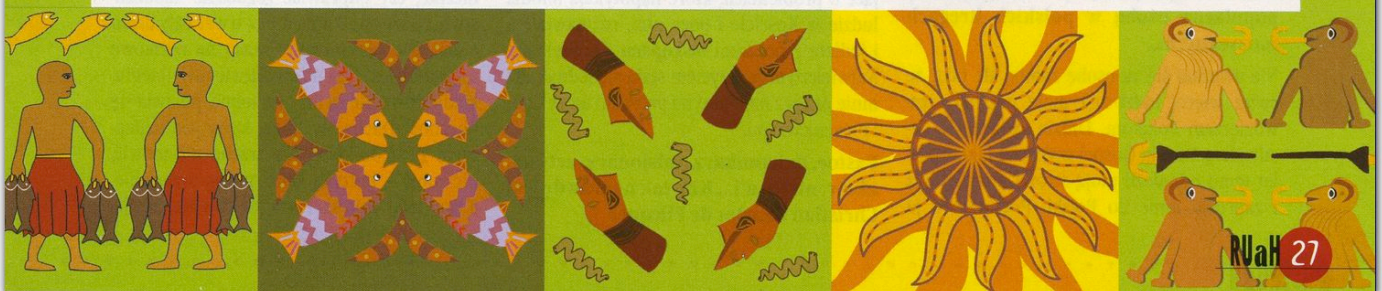
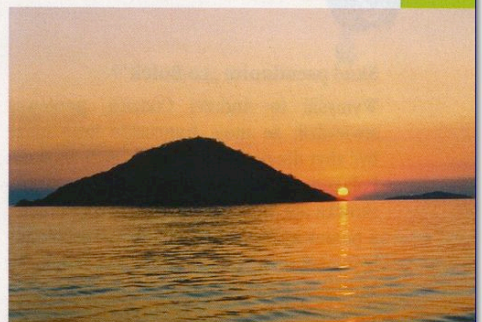
Wjeżdżamy w teren górzysty, gdzie obok skał i pagórków rozciągają się przepiękne polany porośnięte drzewami, gdzieniegdzie

widać dym unoszący się z chat rozrzuconych po wzgórzach. Wszystko to w blasku słońca wygląda jak na filmach National Geographic. Nie możemy uwierzyć, że jest tak pięknie. Zatrzymujemy się, by poczuć zapach tych gór i ciszę otaczającą nas dookoła. Ruch na drodze prawie żaden, cały czas w oddali, jakieś 2 km za nami podąża grupa Włochów. Trzymają dystans, by kurz z naszego samochodu nie wpadał im do środka. Mijamy mieszkańców okolicznych wsi leniwie podążających w sobie tylko wiadomym kierunku, czasem na rowerze. Ze strachem patrzą na pędzącego jeepa, zjeżdżają na bok po nierównej polnej drodze.

Fat Monkeys to osada nad jeziorem Malawi. Jest to jedno z trzech największych jezior Afryki. Osada, do której przybywamy, to miejsce, gdzie można przenocować nad samym brzegiem jeziora, zjeść coś i po prostu odpocząć. Rozbijamy obozowisko na plaży nad samym jeziorem. Piasek jest tak gorący, że nie możemy wytrzymać na bosaka. Spieszymy się z rozbiciem namiotów przed zmierzchem, by jeszcze w zachodzącym słońcu wykopać się w jeziorze. Kiedy wreszcie wykapani siadamy na piasku nad samym brzegiem jeziora, naszym oczom ukazuje się spektakl tysięcy barw. Słońce mieni się pomarańczą, a wokół niej błyskają wszystkie kolory tęczy. Słońce powoli chowa się za horyzont, blednie coraz bardziej, aż nagle robi się ciemno. Po chwili ze zdumieniem widzimy, że na jeziorze zapalają się małe ogniki. To rybacy, którzy zostali jeszcze na jeziorze, zapalają sobie lampki naftowe. Świerszcze rozpoczynają koncert, a nam mimo zmęczenia podróżą i wrażeniami nie

chce się iść spać. Z oddali dochodzą dźwięki muzyki i śpiewu. Postanawiamy sprawdzić, skąd dochodzi ta muzyka. Po paru krokach naszym oczom ukazuje się widok nader dziwny. Czterech chłopców gra na instrumentach, które sami zrobili. Jeden z instrumentów zrobiony jest z małego plastikowego pojemnika po oleju, do niego przytwierdzona jest długa deseczka, na końcu której zamocowany jest drut. Chłopiec przyciskając drut kawałkiem drewnianka, drugą ręką zmienia wysokość dźwięku. Drugi z chłopców gra na puszkach po konserwach, na które naciągnięta jest skóra kozy. Uderza pałeczkami zrobionymi z urwanych nieopodał gałęzi. Gdy któraś z pałeczek się złamie, zrywa następną. Późno w nocy, kładąc się w namiocie, czujemy, jak ciepły piasek grzeje nas od spodu. Następnego dnia czeka nas długa droga, wracamy na misję, choć chętnie pozostalibyśmy tu na dłużej, ale przed nami festiwal czterech krajów afrykańskich, do którego trzeba przygotować ośrodek w Lilongwe. CDN ■

tekst i zdjęcia: Rafał Boniński



umrę śpiewając gospel



Wielebny Christian Charles de Plicque, kaznodzieja, kompozytor, aktor, dziennikarz, misjonarz, człowiek czynu, entuzjasta i wykonawca muzyki gospel, obdarzony potężnym głosem. Wielu fanów bluesa zna go ze współpracy z takimi gwiazdami jak Janis Joplin, ZZ Top, Stevie Ray Vaughan, Johnny Winter. Jego aranżacje mają swoje korzenie w muzyce negro spirituals, black gospel, rhythm and blues i soul, głównym zaś źródłem jego działalności artystycznej jest wiara w prawdziwego i jedyne Boga. Pomimo 56 lat jest wciąż niezwykle aktywny, koncertuje, a na scenie porywa swoim entuzjazmem i pasją.



*z pastorem Christianem Charlesem de Plicque 'Lo-Bolkiem
rozmawia Małgorzata Cichońska*

Skąd pseudonim „Lo-Bolek”?

Wymyślił to Andrzej Cudzych, ponieważ stwierdził, że moje francuskie imię może być zbyt długie i trudne do wymówienia dla Polaków. Powiedział, że jest taka znana kreskówka dla dzieci w Polsce – „Lolek i Bolek”, a ponieważ jestem na tyle duży, że zmieściłbym obu, dlatego nazwał mnie Lo-Bolek. On zawsze miał świetne poczucie humoru...

Lo-Bolek wydaje się być coraz bardziej popularną osobą w polskich kręgach muzycznych...

Nie uważam się za osobę znaną, ale fakt, że coraz więcej ludzi zna moje nazwisko zadziwia Polaków. Ludzie związani z Festiwałem Muzyki Gospel w Osieku jakieś pięć lat temu odnaleźli moją stronę internetową i zaprosili mnie do Polski. Początkowo ja

i mój zespół śmialiśmy się – festiwal gospel w Polsce! Nie znaliśmy wówczas polskiej muzyki. Większość ludzi nie myślała nawet, że istnieje muzyka gospel w Finlandii, my także nie mieliśmy pojęcia, co dzieje się w Polsce. Gdy po jakimś czasie otrzymaliśmy bilety na samolot i zaproszenie na Festiwal w Osieku, zrozumieliśmy, że to nie żarty. Tak znalazłem się w kraju, o którym nic dotąd nie wiedziałem. Nagle spotkałem towarzystwo dyskutujące o problemach, które napotykają młodzi ludzie w Kościele i poza nim, rozmawiałem i jadłem z polskimi biskupami i politykami. Największym przeżyciem stała się jednak dla mnie praca z najlepszymi polskimi muzykami i piosenkarzami.

Pastor, dziennikarz, misjonarz, artysta, aktor, nawet d’j... Kim tak naprawdę jest Christian Charles de Plicque?

Większość ludzi myśli o mnie przede wszystkim jako o chrześcijaninie artyście. Bycie dziennikarzem czy dj'em to inna forma powołania do głoszenia Słowa Bożego. Muzyka może stać się szybszym sposobem dotarcia do ludzi, którzy nie doświadczyli jeszcze osobistego spotkania z Bogiem niż słowa. Gdy spotykam się ze swoją wspólnotą podczas niedzielnej modlitwy w kościele, możemy zdecydować, czy chcemy modlić się spontanicznie, czy odprawić regularne nabożeństwo. Nasze spotkania mogą trwać cały dzień i noc. Nie ograniczamy czasu na rozmowę z Bogiem. Jest czas na modlitwie-uwielbieniu, kiedy słowa nie są już potrzebne, pojawia się obecność Ducha Świętego, który jest najlepszym Pośrednikiem. Nie trzeba nic mówić, nic robić – muzyka sama niesie przesłanie, a Bóg tego dnia sam robi to, co chce. Nie je-

stem dobrym piosenkarzem, ale mam powód, dla którego śpiewam. Ten powód ma na Imię – Jezus Chrystus. Zawsze modłę się do Boga, gdy śpiewam, choć nie czuję się dobrym wokalistą. Mietek Szczesniak, Ewa Uryga, Marek Bałata są świetni i zawsze, kiedy ich słucham, myślę sobie, jak bardzo chciałbym tak śpiewać! No, ale Bóg daje wiele innych talentów!

Czy jest pastor szczęśliwy?

Nie cały czas, skłamałbym, gdybym twierdził, że tak. Jest wiele cierpienia w moim życiu, jak w każdym ludzkim życiu. Zwłaszcza, jeśli żyje się długo, doświadcza się go wiele. Wielkim przeżyciem była dla mnie śmierć mojego przyjaciela, Andrzeja Cudzicha, zmarłego w listopadzie 2003 roku. To złamało mi serce, ale mam świadomość, że on jest bardzo szczęśliwy w niebie i to mnie pociesza. Także śmierć mojej żony i większości członków mojej rodziny była dla mnie ciężkim doświadczeniem. To wszystko przyniosło mi wiele smutku, ale Jezus otarł moje łzy i dał mi siłę, by iść dalej. Ból i cierpienie dotknęły wprost także mnie samego, ponieważ żyję ze śmiertelną chorobą. Lekarze powiedzieli, że mogę umrzeć za rok, a to nie jest dobra wiadomość. Oczywiście zawsze pozostaje modlitwa i pragnę żyć tak długo, jak mi Pan na to pozwoli. Ludzie pytają mnie, czemu wciąż podróżuję i śpiewam, powinienem leżeć w szpitalu. Rzeczywiście, spędzam w nim 2-3 dni w tygodniu. Kiedy myślałem o przyjeździe do Torunia na Festiwal Song of Songs, lekarze powiedzieli, że nie jest to najmądrzejszy pomysł. Zdecydowałem jednak, że jeśli mam umrzeć teraz, umrę śpiewając gospel. Tego nauczył mnie Andrzej Cudzych, który grał na ukochanym basie do końca swoich dni. Wielu ludzi modliło się o jego uzdrowienie, ale Bóg zdecydował zabrać go do siebie. Zwykł mówić: wiem, gdzie idę! To wzmacniało moją wiarę! Co ciekawe, my nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, utrzymywaliśmy kontakt tylko przez e-maila.

Jak się poznaliście?

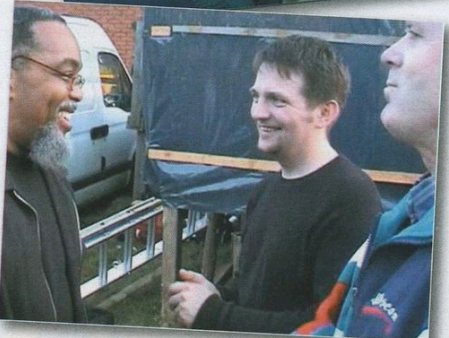
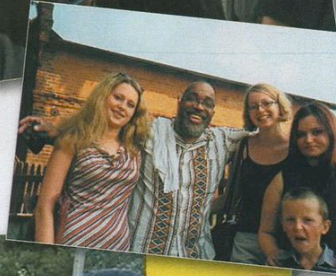
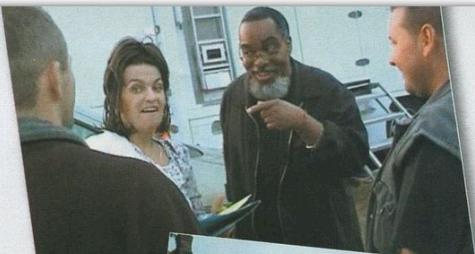
Pamiętam, że zwróciłem uwagę na grupę Amenband, gdy poszukiwałem polskiego wydawcy dla mojej płyty. Nie znałem wówczas polskiej muzyki, ale płytę Amenbandu przysłał mi kiedyś jeden z przyjaciół z Polski. Urzekły mnie ich kompozycje i aranżacje, i postanowiłem skontaktować się z ich producentem. Napisałem pierwszego maila do Andrzeja i w ten sposób zyskałem przyjaciela. To była najbardziej zadziwiająca znajomość w moim życiu, nigdy nie zawiązałem tak bliskiej relacji w tam krótkim czasie. Byliśmy z Andrzejem tak blisko duchowo, jak tylko ludzie, przyjaciele potrafią być. Gdy rozmawialiśmy przez telefon, czułem jakbyśmy znali się 50 lat. Wielu moich przyjaciół z Polski miało i ma ogromny wpływ na moje życie. Bardzo cenię sobie także przyjaźń z Tomaszem Wata, którego zwykłem nazywać swoim „synem”, oraz jego żoną Anią, którzy mieszkają w Grudziądzu.

No tak, ale obracał się pastor także w środowisku znakomych amerykańskich artystów bluesowych...

Przez te wszystkie lata spotkałem wielu wspaniałych muzyków, wzrastałem poznając wielu z nich, słuchałem dobrej muzyki, występowałem z Janis Joplin, ZZ Top i większością „dinozaurów” mojego pokolenia. Wszyscy dużo piliśmy i śpiewaliśmy. Wciąż Kocham bluesa. Zawsze ważne były dla mnie teksty piosenek. Nie chciałem nigdy śpiewać o mojej „baby”, która mnie zostawiła i dlatego piję tyle wódki, a może skoczę do rzeki itp. Chciałbym przekazać istotną wiadomość młodym ludziom, często układałem więc religijne teksty do bluesa i w ten sposób powstaje „happy blues”.

Choć z pochodzenia jest pastor Francuzem, urodził się w Teksasie, przemierzył pastor prawie cały świat, mieszka w Finlandii i kocha Polskę. Czy pastor nie czuje się kosmopolitą?

Nigdy nie przypuszczałem, kiedy byłem młodym człowiekiem, że Bóg powoła mnie do „międzynarodowych działań”. Bóg otworzył mi wiele drzwi. Nie myślałem też, że będę mieszkał w Anglii, czy Włoszech, to były marzenia. Ale dziś wiem, że Bóg działa na swój tajemniczy sposób. Mieszkam już od 20 lat w Finlandii, mówię po fińsku i jestem obywatelem tego kraju. Czuję się w jakimś stopniu obywatelem świata, ponieważ Bóg troszczy się o mnie, gdziekolwiek jestem. Finlandia jest jednak, faktycznie, moim domem, bazą. On posyła mnie w różne miejsca, np. wkrótce wyruszam do Mongolii, w której nigdy nie byłem. Tam wraz z piani-



stą i miejscowymi muzykami damy koncert w filharmonii i ambasadzie rosyjskiej w Ulan Bator, później udamy się do małych wiosek i kościołów. Wszędzie będziemy śpiewać gospel, głosić Ewangelię, mówić o kulturze i sztuce chrześcijańskiej, które w Mongolii nie są popularne.

Nie pozostaje mi więc nic innego, jak życzyć Wielebnemu wszystkiego dobrego na drogach głoszenia Dobrej Nowiny! ■

rozmawiała: M. Cichocka



SARUEL

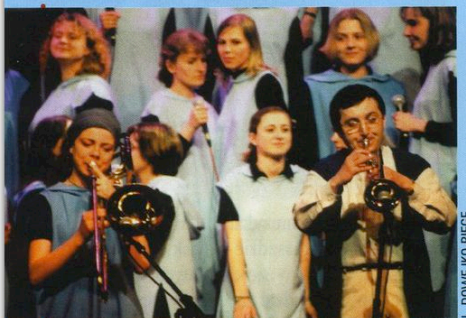
z ks. Cezariuszem Cieszyńskim sdb
rozmawia Patrycja Michońska

P: Przez kilka ostatnich lat o Saruelu było cicho. Wprawdzie były koncerty, występy w Telewizji, pojawiły się płyty z cyklu „Pieśni naszych ojców”, ale to właśnie teraz zespół szykuje się do wydania długo oczekiwanego albumu „Z Tobą”. Salezjański Ruch Ewangelizacyjny powstał ponad 10 lat temu jako odpowiedź na potrzebę nowej ewangelizacji. Czym ona właściwie ma być, skoro spotykamy się dzisiaj z różnymi interpretacjami tego hasła?

Ks.C: W 1983 roku na Haiti Jan Paweł II powiedział, że ma ona być: „nowa w swym zapale, w swych metodach i w swym wyrazie”. Nowa ewangelizacja jest więc próbą docierania do człowieka ze „starymi” prawdami ewangelicznymi w „nowy” sposób. Nowe musi być najpierw serce i nowa gorliwość, a później nowe środki. Takimi są m.in. media, i szeroko rozumiana sztuka.

Czy sądzi ksiądz, że kultura jest najlepszą możliwością ewangelizacji?

Chrześcijaństwo zawsze tworzyło kulturę i dzięki niej się rozwijało. Uważam, że dziś jest szczególny czas ewangelizacji przez kulturę. Trzeba przemyśleć słowa Papieża z Listu do artystów, że „Piękno zbawi świat”. Współczesny, myślący człowiek chętnie słucha muzyki, chodzi do galerii, czyta książki, w jakiś sposób, po swojemu szuka Boga, ale z Kościołem jest często „na bakier”. Chcielibyśmy bardzo docierać w te przestrzenie. Przez treści, które śpiewamy, próbujemy przypominać, że istnieje Bóg, który nas kocha. Każda nasza piosenka w jakiś sposób o tym opowiada.



Muzyka może w ukryty sposób przekazywać takie prawdy. Ale są też tacy, którzy wolą o swojej wierze mówić wprost, głosząc świadectwo.

Ja szanuję każdy sposób mówienia o Bogu i każdy jest dobry, ale my chcemy mówić wprost. Nie będziemy się ukrywać za określeniami Boga jako „Pierwszego Poruszyciela”,

czy za tzw. wartościami ogólnoludzkimi. My chcemy mówić o Bogu, który tak nas umiłował, że posłał swojego Syna Jezusa Chrystusa, abyśmy mieli życie. Ewangelizacja jest głoszeniem Jezusa, Zbawiciela człowieka i całego świata. Śpiewamy o tym, że Bóg się nami interesuje, a Jezus – Jego wcielenie – jest tego dowodem.

Przy takich założeniach, to chyba dobrze, że na czele Saruela stoi ksiądz?

Pewnie tak, u nas zawsze tak było... Choć nie oznacza to, że bez księdza nie można ewangelizować. Muzycy i chórzyci jednak często mówią, że opieka duchowa jest bardzo potrzebna. Ktoś musi być zwornikiem, wytyczać kierunki, inspirować... Dla katolików poprzez obecność księdza zespół daje pełniejsze doświadczenie Kościoła. Razem celebруем mszę świętą, jest czas na spowiedź i dni skupienia.

Kto właściwie zdecydował o założeniu zespołu – młodzież czy salezjanie?

My, jako młodzi salezjanie, chcieliśmy docierać do ludzi z Bożą prawdą, poprzez kulturę, szczególnie muzykę i teatr. Potem dołączyli do nas świeccy. Dalej robiliśmy wszystko razem.

Świeccy, którzy potrzebują nawrócenia, czy chcą nawracać innych?

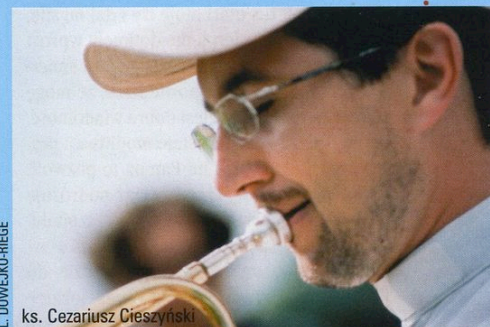
Pewną tajemnicą zespołu jest to, że on z jednej strony ewangelizuje, ale z drugiej – przeżywa coś w rodzaju autoewangelizacji. Ludzie wchodząc w nasz projekt, przygotowując materiał, grając i śpiewając, przechodzą pewną drogę: poznają Boga i uczą się Go od siebie wzajemnie. Przykładów mamy wiele...

A wszystko to widać na scenie, słyhać na koncertach, płytach. Czy tak też jest z najnowszą płytą?

Mam nadzieję. Ten album był od dawna oczekiwany – od ostatniej autorskiej płyty Saruela minęło 5 lat. W tym czasie przybyło wiele nowych twarzy. Oprócz znanej już dobrze Violi Brzezińskiej dołączyli do nas inni soliści: Karina Kalczyńska (laureatka Opolskich Debiutów, dziś studentka AM w Bydgoszczy), Magda Ptaszyńska (absolwentka wydziału muzyki rozrywkowej i jazzu w Katowicach) oraz Adaś Rymarz, znany chyba wszystkim chórom chrześcijańskim w Polsce. W tym czasie pojawiły się nowe pomysły muzyczne i kolejne doświadczenia. Na płycie jest 15 utworów, w bardzo różnorodnej stylistyce muzycznej: od popu i soulu, poprzez gospel aż do smooth jazzu. Znajdą się na niej elementy rocka i gitara akustyczna, akordeon, fortepiany... Nad produkcją muzyczną czuwał Marcin Riege (pianista zespołu), a wszystko pod okiem sprawdzonego i dobrego przyjaciela zespołu Edwarda Sosul-

skiego. Premierę planujemy na Wielkanoc. Jest to przecież najważniejsze wydarzenie roku liturgicznego – oto Chrystus umarł i powstał do życia! Po kilku latach ciszy – to będzie dobry czas, żeby Saruel na nowo się pokazał, jak Jezus po Zmartwychwstaniu.

Wielkanoc to czas radości, nadziei, rodzinnej jedności.



ks. Cezariusz Cieszyński

A tytułowy utwór „Z Tobą” zaczyna się od słów: Razem stajemy, by oddać Tobie cześć, w Duchu i Prawdzie, by chwaleć Ciebie nieść... Taki jest pomysł na płytę: stajemy w jedności, by wielbić Boga, ludzie z różnych środowisk muzycznych i wyznaniowych (nawet z różnych stron świata) – i to daje płycie wymiar ekumeniczny. Stajemy, by zaświadczyć, że Kochamy tego samego Boga, że o tym samym Bogu chcemy mówić światu. Razem.

Do wspólnych nagrań zaprosiliście gości – pojawia się sporo ciekawych nazwisk.

Około dwudziestu, a wśród nich wokaliści: Ruth Lynch z Wielkiej Brytanii, Amerykanin Greg Walton, Mate.O, Magda Anioł, Tomek Kamiński, Adaś Krylik z Chily My, Piotrek Gogol. A do naszych instrumentalistów dołączyli m.in.: Krzysztof Herdzin, Marcin Pospieszalski, Michał Kulenty, Robert Majewski, Dariusz Plichta, Piotr Iwicki, Sebastian Urban, Tomek Kałwak, Adaś Szewczyk. Będzie znakomita sekcja dęta, akordeon, bas. Śmiejemy się, że cała Polska (i nie tylko) gra i śpiewa z Saruelem.

Czy po premierze ruszacie w promocyjną trasę koncertową?

Takie mamy plany, to zależy w dużej mierze od organizatorów wydarzeń, na których Saruel mógłby się pojawić. Za niedługi czas szczegóły będzie można znaleźć na naszej stronie internetowej: www.saruel.pl. Dodam tylko, że oprócz koncertów w Polsce, w sierpniu wyruszymy w trasę do Włoch, oraz pojawimy się w kilku programach radiowych i telewizyjnych. ■

rozmawiała: P. Michońska

ZAGRAJMY KSIĘDZU JERZEMU



Ks. Jerzy Popiełuszko – poświęcono mu już setki artykułów prasowych programów telewizyjnych i radiowych, kilkadziesiąt książek. To dużo, ale wciąż zbyt mało, by historia księdza Jerzego dotarła do wszystkich, przede wszystkim do tych, którzy nigdy Go nie poznali. Właśnie startuje produkcja filmu fabularnego pt. „Popiełuszko”.

Czy warto dzisiaj robić film o księdzu Jerzym?

Trudno wyobrazić sobie lepszy moment. W Polsce znowu toczy się batalia o prawdę i uczciwość. Ale pogubiliśmy azymuty, często nie odróżniamy dobra od zła, albo dla własnej wygody, mieszamy je ze sobą, zadowalamy się miernością. Ksiądz Jerzy odważnie nazywał zło, czynił dobro, a ofiarą swojego życia potwierdził wielką wagę rozróżniania tych rzeczy.

Ale jak to pokazać, by nie zraził ludzi młodych, nie posługujących się tym językiem, choć są im bliskie takie ideały? I jak zainteresować postacią ks. Jerzego również tę młodzież, która rzadko przekracza progi kościoła?

To jest bardzo proste. Nie trzeba nic wymyślać, tylko przedstawić Go takim jakim był: człowiekiem dowcipnym i głębokim, pasjonatem ludzkich potrzeb i technicznych nowinek, kolekcjonerem solniczek i narodowym kaznodzieją. Ksiądz Jerzy skupiał wokół siebie młodzież, bo był autentyczny we wszystkim co robił. Przeszedł niezwykle rozwój. Jako zwykły chłopak z podlaskiej wsi przemknął przez szkoły nie wyróżniając się niczym - do tego stopnia, że teraz mało kto z kolegów czy nauczycieli pamięta Go z tamtych czasów. A potem wzrósł do roli wielkiego duchowego przywódcy dającego nadzieję narodowi i stał się męczennikiem za Chrystusa. Czy nie jest ciekawe jak to się stało?

Niepowtarzalną szansą na pokazanie prawdziwej postaci ks. Jerzego jest film fabularny. Scenariusz już jest, ale nie ma dobrego filmu bez dobrej muzyki.

Nie wiemy jeszcze, kto będzie pisał muzykę do filmu, ale marzę o tym, żeby postać Księdza Jerzego zaistniała w muzyce młodzieżowej. Jest to chyba prawdopodobne - Jego historia, Jego słowa, charakter, duchowość zainspirowały już wielu artystów. Dlaczego nie śpiewać o kandydacie na ołtarze i np. o tym, jak w świetle Jego osoby odbija się nasza rzeczywistość. W związku z tym chcemy ogłosić konkurs. **Zapraszamy wszystkich twórców, by spróbowali zmierzyć się z tym, co pozostawił nam ksiądz Jerzy. Chcielibyśmy, by powstawały utwory nawiązujące do Jego życia, powołania, działalności, spotkań z ludźmi, kazań. Piosenki muszą być współczesne, wykorzystujące muzykę, której słucha młodzież, nowoczesne brzmienia. Spośród wszystkich wybierzemy najlepsze, które zostaną profesjonalnie nagrane w studiu i wydane, a muzyków zaprosimy do udziału w koncertach przy okazji premiery i pokazów filmu.**

Gdzie i do kiedy muzycy mogą zgłaszać swoje propozycje?

Zdaję sobie sprawę, że dobre piosenki nie powstają na poczekaniu. Chcemy dać artystom kilka miesięcy. Wszystkie szczegóły, także **regulamin konkursu**, będzie można znaleźć na stronie internetowej filmu: www.popieluszko.pl. O postępach prac będziemy na bieżąco informować także czytelników RUaH-a.

Z reżyserem filmu Rafałem Wieczyńskim rozmawiała
Patrycja Michońska – Dynek.

KONCERT PAMIĘCI ANDRZEJA CUDZICHA



14 stycznia o godz. 18.00 W Krakowie, w studenckim klubie ROTUNDA (ul. Oleandry 1) odbył się niezwykle koncert pamięci Andrzeja Cudzicha. Zagrali: Amenbend (w nowym składzie), ASAF oraz NLM z Basią Włodarską. Koncert zgromadził licznych przyjaciół Andrzeja, a także – po raz pierwszy chyba w historii – przedstawicieli i duszpasterzy wspólnot krakowskich. Koncert zakończył się wspólnym uwielbieniem i modlitwą. Pomysłodawcą i DOBRYM DUCHEM spotkania był Piotr Jankowski.

(pj)

GOSPEL

na warsztacie



David Daniel



Młodzińcy warsztatów gospel w Polsce z pewnością doskonale znają śpiewającego pastora Davida Daniela. Gościł on kilkakrotnie w naszym kraju przy okazji warsztatów w Krakowie (2002), Przemyślu (2003 i 2004) oraz Bytomiu (2004), a już 19 marca br. wystąpi wraz z chórem People's Christians Fellowship na festiwalu „Gospel nad Wartą” w Koninie. Tym, którzy dotąd nie spotkali się z nim - warto przybliżyć jego charyzmatyczną postać.

Rodzina Danielów wywodzi się z wyspy Montserrat (archipelag Małych Antyli w basenie morza Karaibskiego), skąd na przełomie lat 50-tych i 60-tych ubiegłego stulecia jej członkowie przybyli do Wielkiej Brytanii. Ojciec Davida, pastor Joseph Daniel, założył w Londynie kościół The People's Christian Fellowship, który z czasem stał się miejscem uwielbienia i głoszenia Słowa Bożego przy pomocy pięknej i profesjonalnie wykonywanej muzyki gospel.

David Daniel przyszedł na świat w 1964 roku. Jak sam wspomina, muzyka była zawsze obecna w jego domu. Cała rodzina często śpiewała przy stole, siostra Davida grała na pianinie, a on sam mając osiem lat już śpiewał w chórze kościelnym. Ojciec zadbał o to, by w całym domu rozbrzmiewały piękne dźwięki: sam wybierał muzykę, która wydobywała się z głośników zamontowanych w każdym pomieszczeniu. W domu Danielów słuchało się nagrań Edwina Hawkinsa, Andraé Croucha oraz grupy The Five Blind Boys Of Alabama.

Młody David uczył się gry na trąbce w londyńskiej Royal School of Music. W wieku 15-16 lat grał muzykę spod znaku

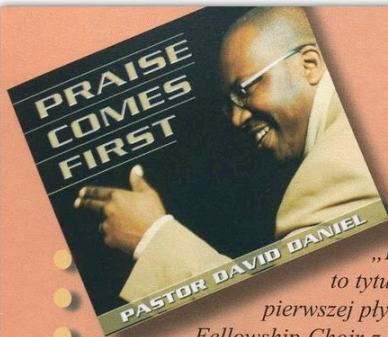
gospel-jazz-funky w zespole „Clarity”. Była to grupa młodych, energicznych i bardzo zdolnych muzyków, która szybko zdobyła sobie uznanie i renomę w środowisku. Chłopcy często dawali koncerty, a jako sidemani uczestniczyli w sesjach nagraniowych wielu brytyjskich artystów gospel. Podczas jednej z takich sesji David Daniel poznał Lawrence'a Johnsona - jednego z założycieli słynnego do dziś London Community Gospel Choir. Johnson zaproponował mu dołączenie do tworzącego się dopiero zespołu chóralnego i tym sposobem na przełomie lat 70-tych i 80-tych pastor David zaczął śpiewać w pierwszym składzie LCGC. Przez jakiś czas współpracował także z Grahamem Kendrickiem, Andraé Crouchem i Stevie Wonderem w charakterze wokalisty wspomagającego. Niedługo przed tym, gdy został pełnoetatowym pastorem (kończąc jednocześnie współpracę z London Community Gospel Choir), stworzył swój własny projekt „David Daniel & Friends”. Była to niewielka grupa wokalistów i instrumentalistów, którzy wspólnie koncertowali w Anglii, Norwegii i Holandii, głosząc przez swoją muzykę Ewangelię.

Sukcesy i zaangażowanie muzyczne młodego Davida wskazywało na to, że swoją przyszłość zwiąże ze śpiewem, jednak on sam przez cały ten czas miał silne przekonanie do tego, by zostać pastorem. Już jako nastolatek rozmawiał z nauczycielami i kolegami o Jezusie, a także wielce angażował się w organizację spotkań modlitewnych w szkole. Był bardzo mocno związany z kościołem The People's Christian Fellowship, gdzie m. in. prowadził chór posługujący na nabożeństwach (warto w tym miejscu nadmienić, że pierwszą dyrygentką młodzieżowego chóru PCF była Helena Lynch - ciocia Davida i zarazem mama Ruth, znanej z prawie każdego warsztatów gospel w Polsce). Później opiekę nad zespołem chóralnym przekazał swojej żonie Donnie oraz wspomnianej przed chwilą młodzieńczej Ruth Lynch. Sam natomiast zajął się nadzorowaniem całej działalności muzycznej w kościele. Po ukończeniu 3-letnich studiów w London Bible College zakończonych dyplomem z teologii, David Daniel został pastorem pomocniczym kościoła the People's Christian Fellowship. W swojej pracy doskonale łączy posługę głoszenia Słowa ze śpiewem na chwałę Pana. Prywatnie David jest szczęśliwym mężem i ojcem długo oczekiwanych córeczek - 6-letniej Tehillah i 3-letniej Karar. Zapytany o muzyczne inspiracje, pastor Dave wskazuje przede wszystkim amerykańskiego artystę gospel - Daryla Coley'a, a także legendarnego Jamesa Clevelanda.

Magda Florek

Współpraca: Adam Rymarz

Autoryści składają gorące podziękowania Lei Kjeldsen ze Stowarzyszenia Gospel w Krakowie za pomoc w przeprowadzeniu rozmowy z pastorem Davidem Danielem.



„Praise Comes First”
to tytuł i główne przesłanie
pierwszej płyty People's Christian
Fellowship Choir z Londynu, na którego
czele stoi pastor David Daniel.

Celem, który przyświecał powstaniu tego
krążka jest sianie ziaren Bożego Słowa
i Objawienia w życie ludzi oraz doprowadzenie
ich do uzdrowienia osobistej relacji z Bogiem.
”To CD to dopiero początek, zaczyn, okazja do
głoszenia nadziei” - mówi Daniel. „Naprawdę
wierzę, że są ludzie, którzy słuchając tego nagrania
otrzymają od Pana objawienie, które pogłębi
ich wiarę, wyzwoli duszę oraz zapoczątkuje ich
emocjonalne, mentalne i fizyczne uzdrowienie”.

PCFC śmiało można nazwać wielką i nietylko
muzyczną rodziną. Na bębnach gra brat pastora -
Courtney, w chórze śpiewają: żona Donna Daniel
i jej brat Lawrence Johnson, a także kuzynki Ruth
i Tula Lynch wraz ze swoją bratową Vernetą Meade-
Lynch. Mąż Vernetty - Samuel Lynch jest z kolei
basistą PCFC. Produkcję debiutanckiego albumu
nadzorował drugi szwagier pastora Dave'a - Marcus
Johnson, który do współpracy zaprosił dwóch
młodych muzyków i aranżerów: Wesley'a Muoria-
Chaves i Nathaniela Ledwidge. Na płycie ponadto
usłyszymy znakomitych wokalistów takich jak Tony
Mommelle, Priscilla Jones-Campbell, Peter Francis,
Hildia Campbell, którzy blisko przyjaźnią się
z rodziną Danielów.

Album został nagrany na żywo 7 września 2002
roku, ale ukazał się dopiero w połowie zeszłego roku.
W Wielkiej Brytanii zebrał bardzo pochlebne recenzje.

Płyta zachwyca swoją różnorodnością, oprócz
współczesnego gospel pobrzmiewają na niej rytmy
z Czarnego Łądu („African Medley”), reggae („Let It
Be”), funk („The Word”) oraz popularne latino („It's
Oper”). Jest także znakomita „gospelowa” przeróbka
brytyjskiego hymnu „How Great Thou Art”. Kilka
utworów z tego albumu nie będzie obco brzmieć
również polskim słuchaczom: piosenka „Let Praises
Go First” była wykonywana podczas Warsztatów
Gospel w Krakowie i Łodzi (2004), gorący „African
Medley” śpiewali uczestnicy warsztatów w Krakowie
i Łodzi (2003) oraz w Gdańsku (2004), natomiast
przepiękną modlitwę „Holy is the Lord” wykonywała
osobiście jego autorka - Ruth Lynch - podczas
warsztatów i jesiennych koncertów w naszym kraju.
Więcej informacji o zespole PCFC oraz ich płycie
„Praise comes first” można szukać na stronach
www.praisecomesfirst.org.uk

Adam Rymarz
współpraca: Magda Florek

Niech uwielbienie pójdzie przodem



LET THE PRAISES GO FIRST MARK BESWICK

1. Czasem czuję się jak król Jehoszafat w obliczu wroga.
Chcę dać za wygraną, odwrócić się...
Wtedy Duch mnie przenika ze Słowem,
które przynosi pociechę mojemu światu.
To najśladza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem
2. Czasem czuję się jak Daniel i jego towarzysze w piecu ognistym
To wtedy wołam: Panie, kiedy to się skończy? Jak na to zasłużyłem?
Wtedy słyszę Jego głos, jak szepcze mi do serca
te same słowa, które słyszałem od początku

Ref.:

Niech uwielbienie pójdzie przodem w złym czasie
gdyż bitwa nie jest twoja. Należy do Pana!
Jeśli uwielbienie idzie pierwsze
niezależnie od rodzaju próby
Twoja wiara będzie odbudowana
I zwycięstwo będzie twoje...

To jeden z najpiękniejszych i najgłębszych tekstów, z jakimi się
spotkałam we współczesnej muzyce gospel. Prawdziwy, głęboki,
uczuciwy. Nim usłyszałam utwór, tylko czytając słowa na okładce CD już
miałam łzy w oczach. To jest też utwór otwierający nagranie koncertu
finałowego VI warsztatów w Krakowie (także znany z Łodzi); śpiewanie
go było silnym przeżyciem dla uczestników.

Pomysł napisania tej pięknej piosenki powstał w związku z projektem
kościół People's Christian Fellowship – nagrania pierwszego CD chóru
kościół. Pastor David Daniel poprosił Marka Beswicka o zupełnie
nową, specjalnie w tym celu napisaną piosenkę. Tytuł urodził się właśnie
w czasie tej pierwszej rozmowy z pastorem Davidem; tę początkową
inspirację autor rozwinął później w oparciu o Słowo, jak i własne
osobiste zmagania w życiu chrześcijańskim.

Mark Beswick podzielił się ze mną: „moim pragnieniem jako twórcy
piosenek jest wyrażenie tych samych przeżyć i odczuć, jakim wielu
z nas stawia czoła, niezależnie czy odczuwamy je jako pozytywne czy
negatywne, i chciałbym wnieść silne poczucie nadziei dzięki prawdzie,
że przez cokolwiek przechodzimy w życiu nasz Bóg zawsze jest z nami
by nas wybawiać – jak mówi Ps. 34:19 („Bliski jest Pan tym, których
serce jest złamane, a wybawia utrapionych na duchu.” BW)

**Nagranie znajduje się na płycie dołączonej do tego numeru RUah,
trzeba tylko znaleźć odtwarzacz CD i prosię czytać dalej!**

- Prosię przesłuchać utwór

Tekst bezpośrednio nawiązuje do dwóch historii biblijnych: o królu
Jehoszafacie, który w pierwszym szeregu armii posłał muzyków
i śpiewaków chwalejących Pana, oraz o młodzieńcach w piecu ognistym.

- Prosię przeczytać te historie: **2 Kron 20, 2-30** oraz **Dan 3, 1-33**
Chyba każdy może odnaleźć w nich siebie. Ale to, że moja bitwa jest
w istocie Pańska – to stwierdzenie wymaga ode mnie odwagi, zaufania
i opuszczenie barier serca. Muszę zaufać, że jestem Jego, więc ON
czuwa, ON zadba. Zaufaj serce moje odporne, zaufaj!

- Nowy Testament wtóruje: **Filip 4:6-7, 1 Tes 5:16-18.**
(Prosię tam zajrzeć, to ważne!)

Serce, naucz się czegoś o miłości, tak niewiele rozumiesz...

Uwielbienie to nie tylko oczekiwanie na wybawienie, to już jest pierwszy
owoc wybawienia. Wolność od strachu: przed życiem i bólem, który
przynosi, przez ludzi, przed stratą...

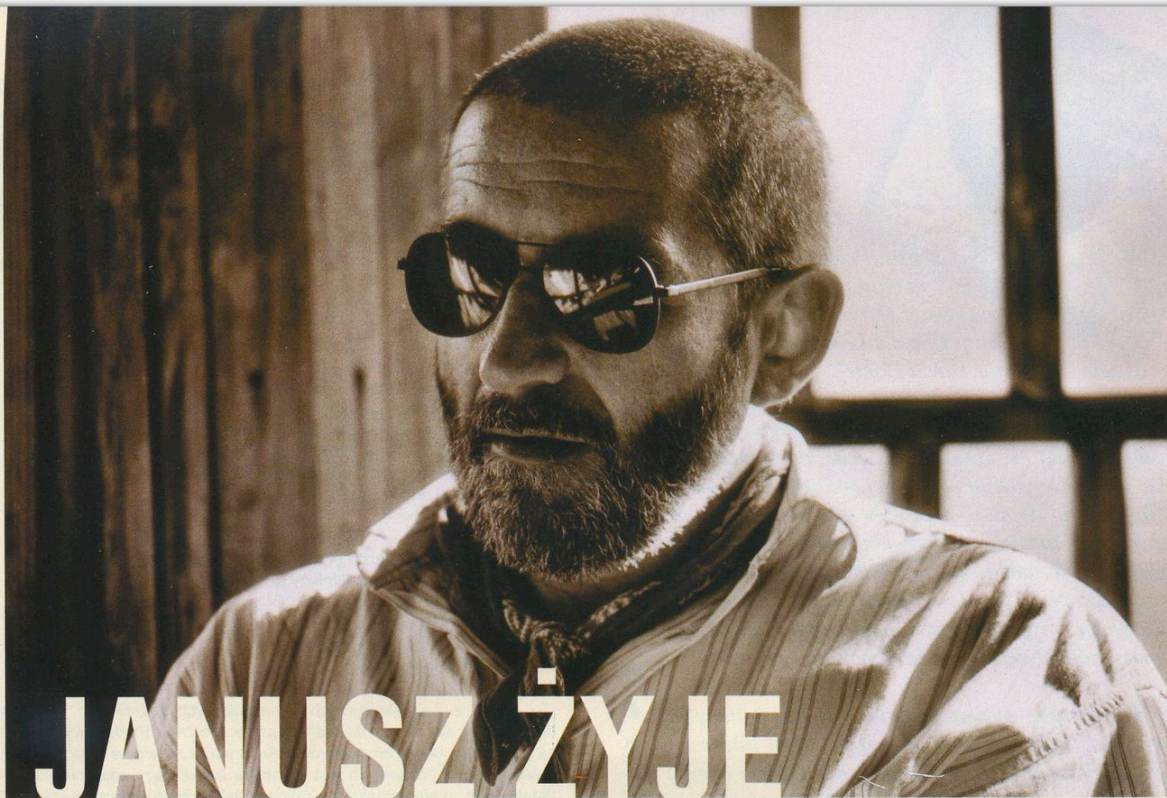
Lękimy, że nie możemy prowadzić życia w wolności. Czasem mamy
poczucie świętego wymiaru życia i naszej własnej duszy w jej związku
z Mistrzem, nami samymi i innymi. Złe czasy mogą tę pewność zachwiać
a nawet wydrzeć. Strach, że to, co zewnętrzne przekona nas, iż ziemia
nie jest Pańska.

Moc muzyki gospel bierze się z jej korzeni w pieśniach ludzi żyjących
w niewoli – wolność i przetrwanie, godność i odwaga, zawierzenie
i oddanie Panu. „Czy żyjemy, czy umieramy, Pańscy jesteśmy.” (Rzym.
14:8b BW)

- Prosię przesłuchać jeszcze raz ten utwór.

Pomyślmy o naszych bitwach i oczekując na ratunek – chwalmy Pana!

Alina Krajewska



JANUSZ ŻYJE

o. Augustyn Pelanowski OSPPE

Teologia ośmieliła się nazwać śmierć skandalem na świecie. Śmierć nami wstrząsa, rani, śmierć wydaje się być przekreśleniem nie tylko tego, czego człowiek dokonał, ale też samego człowieka.

I w jakimś sensie tak było, dopóki nie pojawił się Chrystus. On to zmienił. Przeszedł przez śmierć, jak przechodzi się przez ciemny tunel. Przez trzy dni nie był widoczny, dotykalny, nie było słycać jego wdzięcznych mów, ani nie dokonywały się cudowne wydarzenia. Ale po trzech dniach pojawił się na nowo, udowadniając, że śmierć niczego nie przekreśliła w życiu i samego życia nie zniszczyła. Życie Boga przewyciężyło śmierć człowieka. Nie tylko w to wierzymy, ale po prostu tak jest.

Tak jest też z życiem Janusza.

Kiedy Jezus zmartwychwstał po trzech dniach, uczniowie witali się słowami: „Jezus żyje”. Minęły już dwa lata, odkąd Janusz odszedł i możemy śmiało sobie powiedzieć, że ...Janusz żyje!

Jest inaczej obecny, jest obecny w inny sposób. Jest obecny duchowo, ale wierzymy, że jego ciało też zmartwychwstanie. Na to dopiero czekamy. On sam jednak żyje! Jest obecny tu duchem, żywym duchem. Jego oblicze nie jest smutne, lecz radosne, bo nas kocha i jest poza zasięgiem cierpienia ciała, poza bólem choroby.

Nie widzimy go, ale on nas lepiej widzi, widzi nas w duchu. Czujemy go. Nie będziemy też mówić, że on „był”, ale, że „jest”. Janusz nie odszedł, on przyszedł do nas, wszedł w nas głębiej, stał się bardziej obecny, głębiej zaistniał.

Zwykle w takich chwilach wymienia się zasługi kogoś, kto przeszedł przez śmierć. Jest ich mnóstwo i wśród nas jest wielu, którzy mogliby ich również wiele wymienić. Nie czuję się na siłach, by je wszystkie wspomnieć. Wielu ludzi wiele Januszowi zawdzięcza, ale paradoksalnie: Janusz uczynił najwięcej w ostatnim okresie swej drogi doczesnej. Może to kogoś zdziwi, ale to jest najważniejsze, co najbardziej zbliża do Jezusa! A nie wiem, czy kiedykolwiek był Janusz tak blisko ukrzyżowanego Chrystusa jak w ostatnich miesiącach życia! Co Jezus uczynił najważniejszego w swym życiu doczesnym? Każdy to wie... Każdy wie, co Jezus uczynił dla nas najważniejszego... On umarł! Jego śmierć jest dla nas początkiem zupełnie nowego życia...

Co było największym dziełem Jezusa? W czym był największy? Czy wtedy, kiedy głosił słowo Boga? Czy wtedy, kiedy wskrzeszał córkę Jaira, czy młodzieńca z Nain? Czy wtedy, kiedy rozmnażał chleb lub przemieniał wodę w wino? A może wtedy, kiedy prorokował lub odpuszczał grzechy? Nie! Jezus najwięcej uczynił, kiedy już nic nie mógł uczynić, kiedy wisiał na krzyżu, był przybity, umierał. Jego głowa skłaniała się na piersi i oddawał swego ducha Ojcu... Właśnie tę chwilę nazywamy zbawieniem! Żaden cud nie jest ważniejszy niż zbawienie, a żaden cud nie był takim rodzajem bezsilności jak umieranie na krzyżu! Kiedy Janusz najwięcej uczynił? Kiedy się ofiarował. W ostatnich miesiącach

chciał bardzo się ze mną widzieć. Spotkaliśmy się. Miał tylko jedno zasadnicze pytanie: „Czy to już teraz?” Pan dał mi jasno poznać, że tak, że to jest ta chwila, kiedy tęsknota Boga Ojca postanowiła wyjść naprzeciw swojemu dziecku, swojemu synowi. Bóg zateknił za swoim dzieckiem tak bardzo, że zabrał Go do siebie.

Janusz żyje. Jest u Ojca. Jest w Jego ramionach i być może jedynym smutkiem Janusza jest to, że my się smucimy. Bo być w ramionach Ojca, który jest w Niebie, to szczęście. Janusz uczynił wiele, ale najczęściej wtedy, gdy położył swoje życie na ołtarzu.

Kiedy byłem u Janusza, gdy już leżał na swoim tapczanie owinięty kocem, osłabiony, ale radosny, rozmawialiśmy długo o sensie życia, śmierci i wieczności. Wiedział, że Bóg już za Nim tęskni, że Ojciec pragnie mieć go już przy sobie, w niebie, w domu wieczności, w szczęściu! Patrzyłem na jego ciało ułożone jak ciało baranka na ołtarzu. Nie mogłem się oprzeć, by tego mu nie powiedzieć. Biblia opowiada, że Baranek ofiarny, choć był zapewne pożyteczny dla właściciela, nigdy nie czynił dla niego tak wiele, gdy był ofiarowany na ołtarz.

W życiu najważniejsze jest nie to, co uczynimy, czego dokonamy. Tylko ten moment, kiedy już nic nie możemy uczynić, ale za to możemy ofiarować się Bogu. Kiedy już nic Z SIEBIE nie dajemy, tylko dajemy SIEBIE! To jest ważniejsze niż wszystko inne. Oddanie się Bogu jest ważniejsze niż oddanie się czemukolwiek. Janusz przyjął to sercem, zrozumiał, że właśnie leżąc i nie mogąc już nic dobrego zrobić dla innych, czyni najwięcej, oddając siebie całego Bogu. Później modliliśmy się, było już ciemno, ale jakoś radośnie. On był taki radosny. Zawsze, we wszystkim odkrywał radość. Jak mówi psalm 89: „Szczęśliwy lud, co umie się radować: chodzi, o Panie, w świetle Twego oblicza”.

Szczęśliwy, kto posiada umiejętność radowania się ze wszystkiego.

Potrafił się uśmiechać nawet przez łzy. Był tamtego wieczoru szczęśliwy, że idzie do Ojca i bolało go to, że już nie będzie ojcem tu, na ziemi, że nie będzie już mężem, tu, na ziemi.... Janusz taki był – potrafił znaleźć szczęście w nieszczęściu, radość w smutku.

Wychodząc z pokoju zobaczyłem jakąś fotografię wiszącą na ścianie. Był to krajobraz z Grecji, a potem Małgorzata pokazała mi fotografię z wakacji. Na tym zdjęciu, Janusz leżał z tym swoim radosnym uśmiechem na starożytnym, świątynnym ołtarzu, w jakichś ruinach greckiej świątyni.

Pomyślałem, że jakiś Anioł wtedy przyjął już jego ofiarę z życia dla Boga. Przecież Janusz taki był, że dla Jezusa wszystko w życiu czynił i teraz, jakby wieńcząc dzieło swego życia - dla Jezusa dał siebie, już nie mógł dać więcej.

Dał z siebie wszystko... Dał siebie.... Gdy już wszystko dał Bogu!

Jezus żyje i Janusz żyje!



Wkładam dłoń w niebo i chwytam rękę Janusza

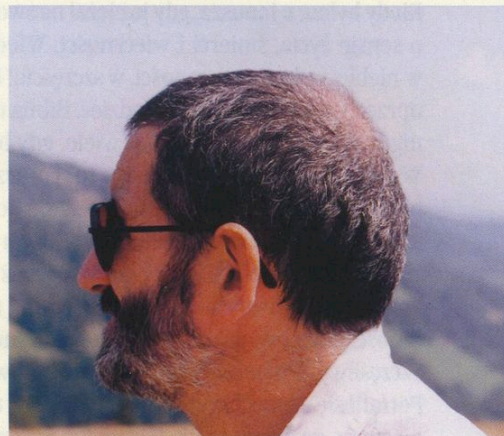
O odejściu Janusza Kotarby z jego żoną, Małgorzatą rozmawia Marcin Jakimowicz

Wiem, że mocno przeżyłaś „Pasję” Gibsona... Łączyłaś ją ze śmiercią Janusza...

Cała choroba Janusza była jakby kopia drogi krzyżowej. Od chwili Ogrójca, gdzie Jezus zмага się, walczy, waha się czy przyjąć wolę Ojca, aż po wędrownkę i pokorną zgodę na śmierć.

Dla mnie film Gibsona był rzeczywiście powtórką z drogi Janusza, drogi, jaką my przeszliśmy razem z nim. Przymykaliśmy się jak Maryja, dawaliśmy odczucie naszej obecności i... nic nie mogliśmy uczynić... Tylko być i całować jego stopy. W tym filmie wszystko jest prawdziwe... Trwoga i zgoda na przyjęcie.. I obrona przed bólem i przyjmowanie bólu... I wędrownka ponad siły i znajdowanie tych sił tak długo, aż się wypełni. Nic krócej!!! Mam zdjęcie Janusza na dwa dni przed śmiercią. Wygląda jak... Chrystus po zdjęciu z krzyża. Myślę, że nie popełniam świętokradztwa.

Janusz odszedł nagle. Był rozpedzony, zanurzony w tysiące spraw, tysiące projektów i nagle dowiedział się, że ma raka wątroby. Wiedzieliśmy, że jeśli nie stanie się jakiś cud, to niewiele czasu zostało. Niewiele mówił o tej całej sytuacji, pracował właściwie do końca. To jego niezwykle pogodzenie się z chorobą i spokój, którym nas obdarzał bardzo zmieniły i mnie i nasze dzieci. Przeżycie śmierci kogoś najbliższego, towarzyszenie jego ostatnim dniom sprawia, że już nic odtąd nie jest takie samo. Wielu ludzi się za nas modliło. Odczuliśmy to na własnej skórze. Namacalnie, fizycznie... Od jego śmierci wydaje mi się, że już jestem porwana na obłok naprzeciw Pana.... I tak zawieszona. Na jakimś zastępstwie tu na ziemi. Robię, co On mi każe. Jak prorok Habakuk.

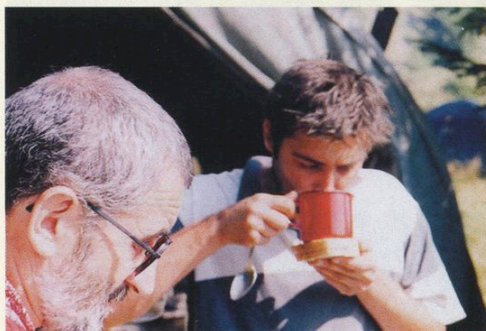


W czasie pogrzebu, kapłan powiedział, że Janusz zrobił najwięcej dla nieba nie wówczas, gdy wydawał RUaH, czy rozprawdzał tysiące płyt, ale gdy jak bezbronny baranek leżał na białym prześcieradle i... nic nie mógł uczynić. Mówił, że odtąd już zawsze odprawiając Mszę widzi na ołtarzu... leżącego Janusza, umierającego Chrystusa. Nie potrafi już odprawiając Msze spoglądać na zegarek...

Tak. Ja też zrozumiałam istotę Eucharystii. Gdyby Janusz rozpaczal, przeklinał los, wpadł w depresję – a przecież miał do tego prawo – zupełnie by nas to załamało i rozbiło. A rozegrał to inaczej – oddał swoje cierpienie Bogu – i przez to uwolnił nas od trwogi i oddał w bezpośrednią opiekę Ojca w niebie.

Czy przypuszczałaś, że śmierć męża zbliży cię tak mocno do Boga? Sądziś, że to trochę jego zasługa? On już widzi, jak TAM jest...

Bóg realnie wkroczył w nasze życie, otoczył nas miłością, ciepłem. Czujemy Jego pomoc, dodaje nam siły. Czy możemy być tacy sami? Każdy z nas był kiedyś zakochany i wie, że to kompletnie zmieniało jego życie. A co dopiero, gdy jest to sam Bóg! Kiedy Jezus dotyka, to jest to miłość. Fascynujące odczucie otulenia miłością, spełnioną, pełną, gorącą, uskrzydlającą...



Przejęłaś firmę, mimo, że wcześniej kompletnie nie miałaś o tym pojęcia.

To zapisek, jaki zrobiłam w niespełna dwa tygodnie po śmierci Janusza:

Czuję się jakbym była otulona obłokiem, może sama nim jestem. Dzieci też nie mają lęku – tylko pokój i miłość. Żyję realnie: zakupy, pranie, przytulić Jasia, dentysta – Piotrek, wypełnić PITY, autorzy do RUaH – sporządzić umowy, trzeba załatwić rejestrację



samochodu, pismo do sądu w sprawie zmiany nazwy, zawieźć RUaH do św. Stanisława, zrobić paczki w firmie, umyć okno, dzisiaj będą należniki, dlaczego ten Janusz nie zmienił żarówki, o... urwały się drzwiczki do szafki w kuchni, kot nie ma kamyczków do kuwety, porozmawiać z wyd. „m” na temat płyty Tosi, nie obrazić o. Pelanowskiego, żeby skończył książkę. Nie mam pojęcia jak załatwia się hologramy. Zapłacić podatek, rachunek za prąd – 1000 zł – koniec świata. Janusz, co ty w takim przypadku robiłeś? Idę do Kościoła na 6.00. Będę miała siłę, żeby to rozkiwać..

I tak rzeczywiście było. Wkraczałam w sprawy, których nigdy nie znałam, a wszystko się jakoś układało. Czułam, że Janusz (dzięki swojej przezorności, bo wszystko zostawił na swoim miejscu) czuwa i opiekuje się nami, może nawet lepiej i skuteczniej niż za życia. Na przykład kilka miesięcy temu. Wybieramy się na targi książki katolickiej do Warszawy. Stoisko opłacone, wszystko przygotowane. Jest auto Peugeot – ale nie mamy kierowcy, bo nasz zdaje maturę. Rozpytujemy wokoło, kto miałby ochotę i czas pojechać. Wierzymy, że ktoś się znajdzie. Ale robi się niebezpiecznie, bo jutro zaczynają się targi, a kierowcy nie ma. Nagle zjawia się Teresa. Nie widziałyśmy się wieki. Jutro wraca do domu, do Warszawy pociągiem. – Masz prawo jazdy? Mam. Jest naszym kierowcą i przewodnikiem. Targi trwają trzy dni. Pierwszego dnia odpuszczam, ale drugiego idę od stoiska do stoiska i pytam, czy ktoś nie ma wolnego kierowcy, który chciałby z nami wygodnie wracać do Krakowa. Kompletny kryzys kierowców. Pod koniec dnia trafiam na stoisko Saletynów. Młody, ksiądz patrzy na mnie i mówi, że właśnie przyjechał do Warszawy Peugeotem, ale niestety musi go tu zostawić i zastanawiał się jak wróci. Lubi Peugeoty.

Śmieje się, słysząc naszą opowieść o poszukiwaniu kierowcy... I puszcza oko. Wie, o co chodzi! Niby to wszystko mieści się w statystycznym rachunku prawdopodobieństwa... ale Janusz był przecież matematykiem.

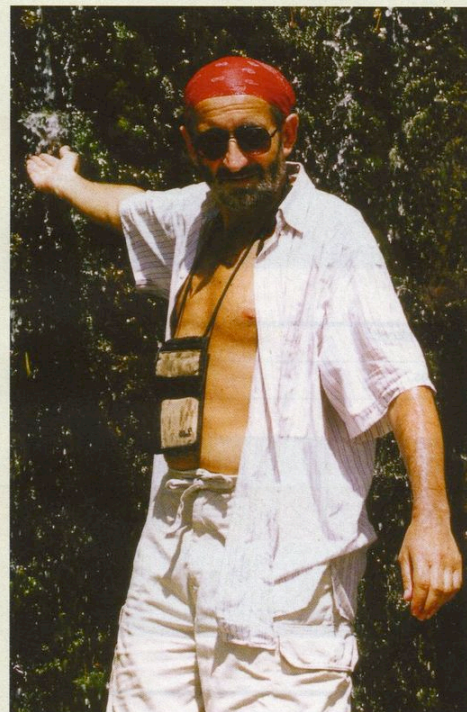
Janusz był osobą energiczną, absorbującą. Często się denerwował, że coś nie idzie po jego myśli. Taki Jego obraz nosisz w sercu?

Pan Bóg uwolnił moje serce od obrazu „Janusza wkurzonego”. Od czasu odejścia do nieba, Janusz śni mi się czasem. Najczęściej była jakaś fabuła, ale powtarzało się to, że jest jakiś niezadowolony. Miałam wrażenie, że nie akceptuje tego, co my tu na ziemi robimy z jego dziełem. Wiedziałam, że to projekcja mojej podświadomości, ale nic nie mogłam z tym zrobić. Kiedyś podczas Mszy św. nagle przyszło światło i oczywiste zdanie, że Janusz jest w niebie i wcale już tak nie myśli.

Nawet, jeśli na ziemi był krytyczny w stosunku do nas, do mnie, teraz jest czysty. Jego myśli są czyste i dobre. To było tak, jakbym włożyła rękę do Nieba i dotknęła jego czystej dłoni. Czuję jedno: rodzące się dziecko musi przejść ciemną, bolesną drogę, zanim wydostanie się na świat. Człowiek rodzący się dla nieba też musi przejść przez taki ciemną dolinę. Po drugiej stronie jest jasność.

Kiedy przyjeżdżamy do Janusza, na cmentarz do Świątnik, to mam takie wrażenie, że go tam nie ma.

(fragment rozmowy, która ukazała się w „Gościu Niedzielnym” w listopadzie 2004 r.)



Fotografie: Jan, Andrzej Bujnowscy, Marcin Jakimowicz, archiwum rodzinny

KSIĘGA ŻYCIA

JANUSZOWI

muz., sł. Jerzy Reiser

Dg7+D De GA GD

1.

Przychodzimy na ten świat któregoś ranka, /D/g7/D
 Uśmiechamy się do słońca i księżycy; /e
 Potem czeka już codzienna układanka, /G/A
 Czasem tylko coś naprawdę nas zachwyca. /G/D
 Tak niewiele wokół siebie dostrzegamy /D/g7/D
 Pochłonięci powszedniego dnia gonitwą /e
 I w ofierze coraz częściej się składamy, /G/A
 Nim wieczorną ukorzymy się modlitwą. G/D

ref.: Ty wędrujesz po niebieskich połoninach /G/A/D
 Szlakiem, którym wędrowało już tak wielu, /G/A/D
 Tam, gdzie wszystko się dopełnia i zaczyna - /h/e
 Kiedyś na nim się spotkamy - Przyjacielu. /G/A/D

2.

Wciąż pędzimy ze spotkania na spotkanie
 Wśród natłoku spraw z pozoru niemożliwych;
 Ty się wspinasz na niebiańskich Gorców granie
 I przeglądasz się w potoków lustrach krzywych.
 Przewracamy nowe karty w życia księdze,

Tylko Bóg wie, ile jeszcze ich do kresu;
 Przyjdzie czas, by kres położyć tej włóczędze
 W naszym domu malowanym bez adresu.

ref.: Ty wędrujesz...

Księga życia - najtrudniejszy kanon świata -
 Jest w niej wszystko, co nam tylko jest pisane;
 Są kolejne nasze wiosny, całe w kwiatach
 I marzenia nigdy niewypowiedziane.

g7+D De GA GD Dg7+D De GA GD

ref.: Wędruj dalej po niebieskich połoninach
 Szlakiem, którym wędrowało już tak wielu,
 Tam, gdzie wszystko się dopełnia i zaczyna -
 Kiedyś na nim się spotkamy - Przyjacielu.
 Księga życia - najtrudniejszy kanon świata -
 Jest w niej wszystko, co nam tylko jest pisane,
 Więc wyjednaj nam tę łaskę, by po latach } bis
 Móc przeczytać na ostatniej stronie - amen.

Jacek Kowalski

8

SARMACJA WNIEBOWZIĘTA

PIEŚŃ DOMOWA

Moja Prababca po kądzieli mieszkała w małym, śródmiejskim gospodarstwie (żeby było jasne – pozbawionym ganków i „facjatek”) w podpoznańskim Kórniku. Mimo to jedna z jej ulubionych piosenek wydawała się – przynajmniej na pierwszy rzut oka – zaprzeczeniem małomiasteczkowej i chłopskiej tradycji, do której tak ochoczo przyznawał się mój Dziadek:

*Witaj domku mój rodzinny,
Dworku biały z facyjatką,
W tych to ścianach wiek dziecinny
Przepędziłem z ojcem, matką.*

*Biały domku ukochany,
Každy kącik sercu drogi;
Mile sercu cztery ściany,
Dziś całuję twoje progi.*

*Tu mi matka życie dała,
Moja dobra matka droga,
Tu mnie matka wychowała
I uczyła kochać Boga.*

*Tu mnie ojciec mój poczytiwy,
Dobry ojciec, choć surowy,
Czcic nauczył wiek sędziwy,
Słodkiej sercu uczył mowy.*

A jednak skłonność Prababci ku tej piosence nie miała w sobie nic osobliwego.

Za jej czasów oczywistym było, że jeśli ktoś jest Polakiem, to jego idolem musi być Pan Wołodyjowski lub Knicic, a za ideał życia rodzinnego – winien uznawać życie we dworze, na wsi. Dziwny zaiste upór wykazywany przez mieszkańców miast i miasteczek, którzy nawet jeśli pochodzili ze szlachty, to dawno o wiejskim życiu zapomnieli. A jednak wieszali sobie nad łóżkiem landszaft z dworkiem i z samozaparciem czytali „Pana Tadeusza”. Nawet jako „straszni mieszczanie” wierzyli – jak w tej piosence – że z dworu wywiodło się wszystko, co dobre: wiara, patriotyzm, ogląda, staropolska serdeczność i gościnność.

Łatwo przyjdzie nam zrozumieć ten paradoks, gdy przypomnimy sobie, że my, Polacy, nie mamy innej tradycji niż szlachecka. W dawnej Rzeczypospolitej szlachta trzymała władzę, a jej obyczaje naśladowali mieszczanie i chłopi. Szlachta żyła na wsi, a każdy dwór był sobie osobnym „państwem”. Trwał w symbiozie z otoczeniem – gospodarstwem, polami, lasami. Był otwarty i gościnny, nawet za bardzo. Co prawda nie wszystkim działało się tam dobrze; wystarczy

wspomnieć o chłopach – bywało różnie. Ale w pojęciu ziemianina głównym nieprzyjacielem jawiło się życie miejskie, w tłoku, ścisku, brudzie i nieładzie tak materialnym, jak duchowym. Powiadano:

*Pojechałem do Warszawy, miałem tyle w zysku:
Koniem stracił, francy dostał i kresy na pysku.*

Natomiast dwór – to nie tylko drewniany budynek z alkierzami i kolumnowym gankiem (zresztą, prawdę mówiąc, taki model dworu powstał dość późno, a istniał bynajmniej nie tylko w Polsce). Dwór oznaczał dla Sarmatów przede wszystkim „dom”, czyli rodzinę i domowników. Był zakorzenionym w głębi czasów symbolem



„siedziby dziadów i pradziadów”.

Przestrzenia, w której się mieszka, ale która ma swoją historię, jest „swoja”, „moja i nasza”. Pisał poeta Wespazjan Kochowski:

*Tu ojciec z dziady, krewnych gromady
I mali wnikowie
Dzieciństwa doszli; tu w zgodzie rośli
Przy swej starszej głowie,
Tu na pagorku, w drewnianym dworku...*

A przecież wiemy, że tak naprawdę ta „starodawność” dworu to po części fikcja. Mało kto mieszkał w domu swoich rodziców – co najwyżej jeden z synów, reszta musiała szukać nowych siedzib. Poza tym nasza szlachta, choć niby „osiadła” na roli, była niesłychanie ruchliwa: nawet ci biedniejsi nieustannie obracali ziemią, sprzedawali, kupowali, dzierżawili, przenosząc się z miejsca na miejsce. A jednak – pragnęli domu „zakorzenionego”, który daje spokój i harmonię, w którym mogliby żeglować przez ten świat ku Zbawieniu. Najstarsza ze znanych nam „ziemiańskich” pieśni polskich (z połowy XVI wieku) głosi:

*Spokojny kąt komu Bóg dał i myśl spokojną,
Ma więcej, aniż kto by wziął świat ręką zbrojną.*

„Spokojny kąć” był darem Boga. Nic bardziej oczywistego. „Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje” – tak śpiewał Kochanowski. „Pańska łaska, Boskie dzieło / To mieszkanie wydarzyło” – wtórował mu Kochowski. Boga chwalono w tym domu wspólnie: tutaj też kwitło swoiste życie kulturalne i religijne – „muza domowa”, czyli rodzina i sąsiedzka zabawa w literaturę. Pisano i przepisywano bezpretensjonalne modlitwy, wiersze na chrzciny, wesela i pogrzeby swoich bliskich i znajomych, rymowano pochwały ziemiańskiego żywota. Bohaterami tej ziemiańskiej literatury byli gospodarz i gospodyni, „żona dobra, żona poczciwa”; przedmiotem ich troski – uprawa roli i wychowanie dzieci. Tem – pory roku, sumiaste drzewa, zboże, stawy, zwierzęta.

Czy nie rysuję obrazu zbyt idealnego? Pewnie, że zajmuje mnie teraz jedna, jasna strona naszej tradycji. Ta ciemna zawsze istniała; w każdym ideale tkwi zarodek wykrzywien, jakim może podlegać rzeczywistość. Nie zamierzam jej idealizować – chcę tylko pokazać, jaki ideał podaje nam tradycja. Nasza tradycja. Żebyśmy wiedzieli, skąd u nas typowa dla dawnych Sarmatów „domowość” i „zaściankowość”, gościnność i otwartość – naprawdę większa, niż u innych narodów (nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale tak jest). Jeśli w pochwałę polskiego domu (to znaczy: dworku) sprzed lat stu pięćdziesięciu czytamy:

*Leđu człek by czasem wierzył,
Dom niewielki – utem gość wchodzi.
O i domek się rozszerzył,
I unet miejsce się gdzieś rodzi.*

*Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.*

*Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzież przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.*

– to każdy, kto pamięta przyjęcia czasów komuny, odbywające się w ciasnych, blokowych mieszkankach, przyzna, że taka tradycja „rozciągliwości” i rodzinności naszych domów została utrzymana. Zresztą Polak nadal żyje towarzysko, towarzysko chwali Boga i towarzysko chce żeglować ku wieczności, z domem w tle. Wiara w dom wciąż jeszcze u nas trwa. Czy przetrwa? ■

Jacek Kowalski



Bóg i ludzie

*Żyjemy
tylko chwilę
pracą
na wiecznym polu
siejemy
i zbieramy
- morze kąkolu*

*Trwa
odwieczna walka
o powszedni banal
w oceanie czasu
to kropla
wieczności
nasze wielkie życie
nasze wielkie plany*

*bez miłości?
na co to?
komu?
na nic...*

Michał Kulenty



S. KOSTRZEWA

To fragment niezwykłego programu, który **Michał Kulenty** zaprezentował w Sali Kongresowej w Warszawie w ramach Polish Jazz Festiwal. Nie było na widowni osoby, której nie poruszyłyby muzyka i słowo. Ten oryginalny projekt łączy w sobie współczesną muzykę jazzową inspirowaną polską nutą ludową i sakralną, jak i odważne świadectwo wiary i zmanifestowanie potrzeby pójścia za głosem Boga. Muzyka i słowo wzajemnie ze sobą współpracują, aby przekaz był jednoznaczny i poruszał do głębi. Na koncercie można usłyszeć zarówno dawkę współczesnego, dynamicznego grania, jak i doświadczyć podniosłych momentów, które buduje między innymi obecność Chóru. Słowo autorstwa Michała Kulenty w czasie koncertu recytuje Jerzy Zelnik. „Więcej Nieba!” to nie tylko wysokiej klasy projekt jazzowy. To także wielkie świadectwo i dyskusja z czasem, w którym przyszło nam żyć. To także, i przede wszystkim, kolejne świadectwo inspiracji Michała Kulenty i jego konsekwentnej, bezkompromisowej drogi jako artysty i jako chrześcijanina. Drogi, którą obrał wiele lat temu...

Michał Kulenty - kompozytor, instrumentalista (saksofony, fortepian, flet, klarnet, instrumenty ludowe).

Urodził się w 1956 roku. Ukończył dwie uczelnie: Uniwersytet Warszawski - filologia polska (1980) oraz Akademia Muzyczna w Warszawie - klasyka saksofonu (1985). Znaczną część swojego doświadczenia zdobywał podróżując po wszystkich kontynentach. Będąc otwartym na świat dźwięków różnych kultur, poznał wiele stylistyk muzycznych. Jego aktywność artystyczna jest wielokierunkowa. Współpracuje z orkiestrami symfonicznymi (w tym Filharmonia Narodowa), z paroma czołowymi grupami jazzowymi, wykonuje koncerty solistyczne, ma duże doświadczenie

studyjne jako „sideman” nie tylko jazzowy, jest autorem muzyki teatralnej i filmowej. Grał koncerty z takimi światowymi sławami jak chociażby Yo-Yo Ma. Przy tym jest doświadczone „człowiekiem radia”. Kilka lat pracował w Biurze Programowym Polskiego Radia, jest doradcą muzycznym i twórcą radiowym, w tym autorem muzyki ilustracyjnej wielu stacji radiowych. Bliskie są mu sprawy mass mediów. Prowadzi warsztaty na temat komunikacji społecznej. Jest także członkiem takich organizacji jak: ZAIKS, PSJ, SPAM, STO-ART, Rada Naukowa Fundacji dla Warszawy. Prowadzi również ożywioną działalność pedagogiczną, ma wielu uczniów z całej Polski w szkole o profilu jazzowym, gdzie utworzył własną klasę. Znany jest ze swojej wszech-

stronności, a zarazem ze specyficznego i rozpoznawalnego brzmienia. *Poeta saksofonu, polski Garbarek* - tak piszą o nim krytycy. Jego muzyka jest związana z ziemią Chopina, z folklorem polskim, który przenika stylistyka jazzowa. Jednak źródła inspiracji to nie tylko muzyka, o czym świadczą choćby tytuły kompozycji: „Przypowieść”, „Krzyż na rozstaju” czy wspomniany na wstępie „Więcej Nieba!”. Dlatego też nie bez racji krytycy napisali: *liryczne, pełne duchowej siły brzmienie jego saksofonu sopranowego należy do najpiękniejszych zjawisk w polskim jazzie*. Michał Kulenty często bierze udział w sesjach nagraniowych jako producent, kompozytor i solista u innych wykonawców reprezentujących różne gatunki muzyki.

Najważniejsze płyty w dyskografii Michała Kulentego:

Płyty autorskie (jazz):

Michał Kulenty Quartet – „Polska” (Polonia Records 1990). Skład: Wojciech Niedziela – fortepian, Jacek Niedziela – bas, Wojciech Kowalewski – perkusja, Michał Kulenty – saksofony, flety, okaryna, fortepian.



O płycie Marcin Kydryński napisał: *Kulenty odrzuca uprzedzenie wobec surowości polskiego folkloru i tworzy własny muzyczny język. Znam niewiele płyt tak bardzo osobistych, tak innych, tak charakterystycznych. ... „Polska” to dla mnie jedna z najpiękniejszych płyt nagranych w tym kraju*

Michał Kulenty Quartet – „Głos na Rozstaju” (Polonia Records 1996) Skład: Wojciech Niedziela – fortepian, Jacek Niedziela – bas, Wojciech Kowalewski – perkusja, Michał Kulenty – saksofony, flety, okaryna, instr. klawiszowe oraz programowanie dźwięków.

Krystian Brodacki: *Zwieńczeniem płyty jest „Głos”, utwór pierwotnie wykonywany z tekstem: „Mówi do nas Pan, To Jego Głos w mej duszy brzmi...” Podobnie jak w „Krzyżu na rozstaju”... syntezator, tenor, fortepian, kontrabas i perkusja głoszą Dobrą Nowinę. Na rozstajach, na jakich dziś wielu z nas znajduje się w Polsce, bardzo potrzebny jest ten Głos!*

Michał Kulenty to także współproducent, kompozytor między innymi takich pozycji jak:



- **Trebnie Tutki, Michał Kulenty i Krzysztof Ścierański** – „Podniesienie”
- **Saruel** – „Przyjdź”
- **Warszawski Chór Międzyuczelniany i Trebnie-Tutki** (muzyka ludowa – muzyka klasyczna – folk fusion)
- **Jazz Trio** – „Jazz Trio +”
- **Muzykoterapia** – „Śpiew wielorybów”
- **Muzycy**

ludowi i jazzowi – „Classic polo” – „Dance! Och Baby!” (folk) • **Koty** – „...i takich słów nas Panie ucz” • **Alina Mleczko** – „Muzyka klasyczna na saksofon” • **Piotr Szczepanik** – „Guziki” (poezja śpiewana)... i inne.

Udział w projektach takich, jak np:

• **Krzysztof Barcik** – „Orient Express” (jazz fusion) m.in. z U.Dudziak i K.Ścierańskim • **Wojciech Konikiewicz** – różne projekty (jazz) • **Włodzimierz Pawlik** – „Ptaki” (muz. filmowa) • **Jerzy Milian** – „Silesian Sketches” (jazz) • **Tomasz Kciuk Jaworski i Czesław Niemen** – „Little Wing” (jazz-rock) • **Ryszard Borowski** – „The Night of Flutes”, „Big Bands” (jazz) • **Acid Drinkers** – „The State of Mind report” (rock)

Udział w projektach muzyków chrześcijan:

• **Arka Noego** – „Daj na zgodę” • **Deus Meus** – „Mój Jezus”, „Chwała Barankowi”, „Jahwe” • **Festa/J.Mencel** – „Hosanna na Niebiosach” • **Saruel** – „Saruel” • **Saruel i Przyjaciele** – „Pieśni Naszych Ojców” • **Spotania Muzyków – Ludźmierz** – „Pan jest wśród nas” i „Zesłij ogień” • **Oweyo** – „No Na” • **Emmanuel** – „Emmanuel” • **Shomer** – „Shomer” • **2Tm2,3** – „Przyjdź”

Udział w projektach z muzyką ludową:

• **Maria Pomianowska** „Koledy polskie” • **Maria Krupowies** – „Matulu” • **Bob Bales z Camelot i Crosswind** – „Child of Faith” (folk – fusion) w zespole grali muzycy z Austrii, Australii, Nigerii, Irlandii, Holandii, Niemiec i Francji.

opracował: Tomasz Wienke

Kulenty w Internecie: www.mkulenty.kdm.pl

Więcej nieba! I do roboty!

z Michałem Kulentym

rozmawia Andrzej Bujnowski OP

Michale, jakie są źródła twojej muzyki – polski jazz lat 60., Chopin, czy po prostu – polski pejzaż? A może jeszcze inne, sporo przecież jeździsz po świecie...

Znamy się już bardzo długo, więc dobrze wiesz, że wszystko to ma swoje i to bardzo ważne miejsce w moim życiu, ale przede wszystkim najważniejszym źródłem jest dla mnie samo życie..., które jest po prostu piękne! Studiowałem długo przeróżne rodzaje muzyki, w wielu różnych, w tym także egzotycznych krajach i kulturach muzycznych. Dzięki temu, że miałem okazję poznać co nieco różnorodność kulturową świata, to wybór inspiracji naszą rodzimą tradycją był dla mnie zupełnie oczywisty. Dom ojczysty jest zawsze bliżej serca człowieka, niż bajecznie kolorowe pałace tego świata... Muzyka klasyczna, z którą wciąż jestem żywo związany, powinna być chyba dla każdego świadomego muzyka podstawą edukacji. Bez tej podstawy często budujemy naszą muzykę na zbyt kruchym gruncie. Przekonuję się o tym wielokrotnie w procesie kształcenia młodych jazzmanów. A Boża Sprawa, to już jest coś zupełnie innego. To wewnętrzna potrzeba, która jest darem Bożym. Pojawia się zupełnie niespodzianie i nie pozwala spać spokojnie, bo przecież larum grają...

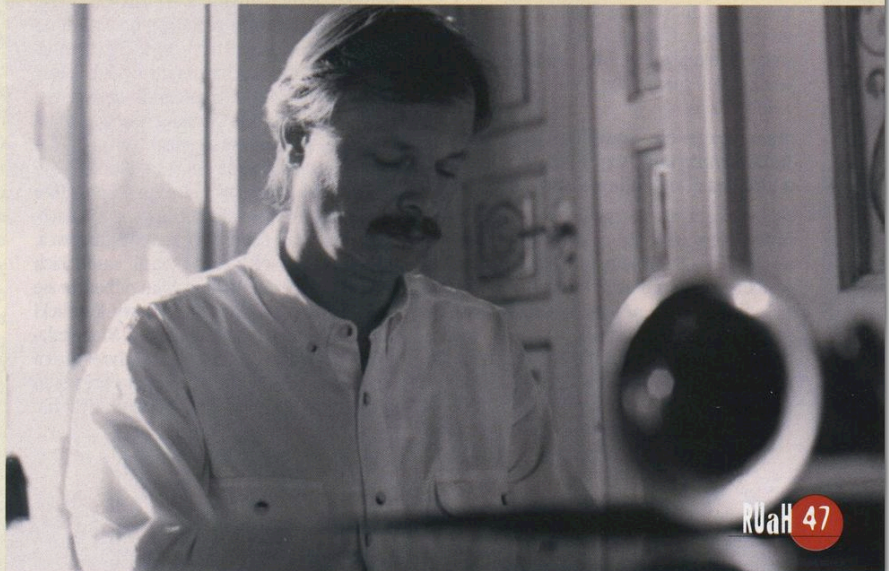
Skąd wziął się pomysł spektaklu muzycznego „Więcej nieba”?

To tylko jeden z wielu pomysłów na muzykę i słowo. Napisałem w życiu wiele muzyki, a przedstawiłem światu jedynie małą część mojej pracy. Wiąże się to z problemem zupełnie odmiennego stosunku do rzeczywistości. Piszę to, co musi zostać przede mną napisane! Nigdy nie kieruję się tym, czy to zostanie wykonane, czy też nie. Trudno, ale tak widocznie jestem stworzony... Piszę też na zamówienie, ale to coś zupełnie innego. Motywem mojej

pracy nie jest po prostu sukces, ani tak zwana kariera, ale wewnętrzna potrzeba wyrażenia tego, co dzieje się na tym zwiariowanym – pięknym świecie. Potem potrzebna jest już tylko okazja, abym mógł podzielić się ze wszystkimi tą swoją wizją rzeczywistości. Do tego jest potrzebny telefon typu: „Czy zechciałby pan zagrać coś pięknego tu i tam...?”. Wtedy i głównie wtedy mogą otworzyć moje archiwum, takie, jak np. projekt „Więcej nieba”. W tym przypadku był to telefon Pana S. Sobóli z Polonii Records.

Zaprosiłeś do tego projektu wielu znakomitych muzyków. Jak udało się połączyć w jeden organizm tak różne osobowości muzyczne?

To bardzo łatwe. To tego celu służą nuty... Zawsze dokładnie wiem, o co mi chodzi i dokładnie zapisuję to w aranżacji. Kompozycje są moje, więc wymagam jednoznacznie konkretnych dźwięków – to wszystko. Gdy zaś dochodzimy do momentu swobodnych improwizacji, to już obowiązuje inna zasada – braku dyscypliny, a jedyną rolę gra tu czyjaś osobowość i talent. Takim jest też cały jazz. Marcin Masecki to muzyk najwyższego formatu, wspaniała, dojrzała (mimo młodego wieku) osobowość muzyczna – niezwykle talent tego wszechstronnego pianisty jest już powszechnie znany. Darek Ziółek to wspaniały muzyk, człowiek i improwizator w jednej osobie. Jest jednym z najlepszych basistów w Polsce, a z całą pewnością fantastycznym „elektryczno-basowym” jazzmanem, co należy u nas do rzadkości. Grzegorz Grzyb, perkusista, to wirtuoz swojego instrumentu, a przy tym chodząca skromność i pokora. Czy to nie wystarczy za najlepszą rekomendację? Stanisław Hałat to perkusista, który gra nie tylko na tzw. „zestawie”, ale jest też wybitnym „klasykiem” na symfonicznych instrumentach perkusyj-





K. SŁOWIK

nych, świetne uzupełnienie całości aranżacji. Kochany Warszawski Chór Międzyuczelniany pod dyr. Janusza Dąbrowskiego to świetny nośnik treści dla mnie podstawowej, a więc muzycznego słowa. Jest to już nasze drugie po „Podniesieniu” nasze wspólne dokonanie muzyczne. Jerzy Zelnik, pełniący rolę narratora, to głos, który porusza każdego, wielki aktor i człowiek.

Czy projekt ten będzie jeszcze gdzieś wykonywany? A może pojawi się jakaś płyta?

To zależy od kolejnego telefonu... Z przyjemnością zagrałibyśmy znowu w szlachetnej intencji, ale to duże przedsięwzięcie organizacyjne. Czekam więc z nadzieją, aż ktoś wreszcie zrozumie, że warto inwestować w kulturę, a nie w powielanie głupich schematów. Jak na razie istnieje w naszej chrześcijańskiej rodzinie jedynie kultura młodzieżowa – dla mas. Z tego to między innymi powodu wielu potencjalnych odbiorców dobrego przekazu, oddala się od chrześcijańskiej sceny muzycznej. Cieszy mnie sam fakt masowości w krzewieniu Słowa Bożego, a martwi jednostronność i jednoznacznie komercyjne zabarwienie kolejnych propozycji muzycznych. Ewangelizacja przez dźwięki wciąż oczekuje na swoich, świadomych swojej wielkiej roli sponsorów, a mówiąc normalnie – dobrodziej.

Masz szczęście spotkania ciekawych ludzi i muzyków. Czy możesz zdradzić, z kim gra ci się najlepiej?

Najlepiej gra mi się zawsze po prostu z dobrymi muzykami. Rzecz ciekawa, im muzyk jest większego formatu, tym bardziej nie dba o zdanie ogółu i o swój własny tzw. wizerunek. Aby osiągnąć pewien, nie dla wszystkich dostępny poziom, trzeba wykonać wielką pracę, gdyż sam choćby największy talent nie wystarczy. To wszechstronnie rozwija i kształtuje osobowość najczęściej w dobrym kierunku – uczy pokory i szacunku dla innych oraz

samej muzyki. Tu dobre chęci nie wystarczą. Nawet najlepsze intencje, to jedynie potencjalna wartość, jeśli nie włożymy ogromnego wysiłku w nasze muzyczne starania. Zdarzyło mi się już być mocno zawiedzionym po występie, w którym brałem udział, a przeważały puste deklaracje, a nie rzeczywista uczciwość muzyczna.

Czy jazz można traktować jako muzykę religijną? Przecież większość kojarzy go raczej z klubami, rzeczywistością zupełnie świecką?

Każda dobra muzyka może zwracać uwagę słuchaczy na Boże sprawy i może ich też w aniołów przerabiać, jeśli o to w niej chodzi. To jest już jednak sprawa Ducha Świętego, który wie lepiej od nas, kiedy i jak zadziałać, by się stało... Jazz może stać się narzędziem w rękę naszego Stwórcy, a może też być nudnym i trywialnym medium restauracyjnym... To zależy od nas samych, a więc do dzieła! Jeśli mowa o projekcie „Blżej nieba”, postaram się, żeby był on wykonany właśnie na festiwalu jazzowym, dla publiczności zupełnie nieprzygotowanej na to, co się stanie. To było bardzo ryzykowne, ale warto było. Wielu, wielu fanów jazzu zupełnie jednoznacznie zrozumiało przesłanie i nagrodziło nasz trud dużym skupieniem i wytrwałością, choć nie było im zapewne tak łatwo zaakceptować tego typu formę całego przedsięwzięcia. Wierzę mocno w naszych słuchaczy, ale brakuje mi wiary w organizatorów. Ci mają słaby wzrok i widzą jedynie koniec swojego nosa... Świat zaś jest ogromny i taki różnorodny. Chwała Ci, Panie nasz, na wieki!

Czy można powiedzieć, że jazzmani, a znasz ich z codziennego doświadczenia, są ludźmi uduchowionymi?

Jest tak jak w życiu. Ludzie są różni i potrafią różnić się pięknie lub brzydko. Wielu moich kolegów to ludzie wiary, a wielu jeszcze nie odnalazło w sobie tej pierwotnej zarliwości. Wierzę w to, że to tylko kwestia czasu i oczywiście planu Bożego, który da im kiedyś wreszcie szansę na to Wielkie Spotkanie.

Jesteś od dziecka związany z Kościołem. Podobno twój ojciec był bardzo zaangażowany religijnie...

To prawda, od dziecka, ale znowu jak to w życiu, jestem jedynie grzesznikiem – często upadam i znowu powstaję, bo to jest po prostu proces, a nie stan – to bycie chrześcijaninem. A mój kochany tata był dla mnie zawsze prawdziwym wzorem do naśladowania. Jego niezłomna postawa wobec świata i ludzi, to był naprawdę ideał i to nie tylko dla mnie, ale dla wielu Polaków, którzy go po prostu bardzo kochali. Od samego początku był przy powstawaniu mediów katolickich, jako wieloletni nauczyciel zawodu filmowca. Współtworzył wiele organizacji katolickich w naszej ojczyźnie. W tym roku odbędzie się Jubileuszowy XX Międzynarodowy Katolicki Festiwal Filmów i Multimediów w Niepokalanowie. To jedno z jego dzieł, był dyrektorem tegoż Festiwalu, także wieloletnim prezesem Stowarzyszenia Filmowców Katolickich im. Św. M. M. Kolbego.

Co możesz uznać za swój największy muzyczny sukces?

To, że wciąż piszę i pracuję, mimo że, nie mam pojęcia, czy to kiedykolwiek ujrzy światło dzienne. Sytuacja kultury, jaka jest, każdy widzi. Mogłbym wielokrotnie zmienić swój wykonywany zawód, bo mam wiele innych możliwości, ale się nie poddaję, bo wiem, że właśnie takiego Pan Bóg mnie kocha i wciąż błogosławi. Inaczej po prostu nie da się wytłumaczyć tego, że wciąż, mimo niesprzyjającej aury dla sztuki w ogóle, udaje mi się od czasu do czasu zagrać to, co mnie w jakiś sposób wyraża i czego nie muszę się wstydzić. Wszystko jest jeszcze przed nami i zawsze możemy zrobić coś dobrego. To coś wspianego, taka perspektywa, prawda? Ważne dla mnie było w zeszłym roku zamówienie Jego Eminencji Prymasa J. Glempa. Napisałem muzykę do „Ballady o Świętyni Opatrzności Bożej”, która została wykonana w dniu poświęcenia Europy – Bożej Opatrzności. Uroczystość ta była wspianą, były obecne relikwie polskich świętych i czuło się doniosłość tej wielkiej chwili.

Czy to, że wspierasz różne muzyczne inicjatywy ewangelizacyjne w Polsce, to spontaniczna potrzeba serca czy raczej owoc twojego religijnego wychowania?

I jedno i drugie ma tu swoje znaczenie, ale mówiąc zupełnie bez przesady – taka jest chyba moja misja, którą mam do wypełnienia na tym leż padole...

A głoszenie Jezusa ze sceny przynosi, twoim zdaniem, jakiego skutki?

Tak, z całą pewnością tak! Zależy to jednak, jak zwykle, od darów Ducha Świętego, ale też i od tego, kto i jak to Dobre Słowo przekazuje. Kto i jak – tylko tyle i aż tyle... Nie zawsze forma jest odpowiednia i nie zawsze jest właściwy czas, ale próbować trzeba. Jeśli gramy dla siebie, po to tylko, by głosić chwałę swojego imienia, a nie na Bożą Chwałę, to po co komu takie granie? Bóg raduje się naszymi ziemskimi sukcesami, ale wie wszystko o czystości naszych intencji. Muszę tu stanowczo podkreślić jedno. Chodzi mi o muzykę, która rodzi się w czystości uczuć i nie musi wcale odwoływać się wprost do Świętego Imienia Pana naszego. Słyszałem nieraz beznadziejne piosenki, w których były jedynie puste słowa, słowa bardzo piękne, ale nie czuło się w nich rzeczywistej treści, a jedynie typowe zwroty stosowane w naszym środowisku. To za mało. Lepiej napisać coś od siebie, prosto z serca – do serc. Takie piosenki na szczęście istnieją i są śpiewane przez wiernych z wdzięczną radością.

Czy uważasz, że scena chrześcijańska w Polsce powinna bardziej przebić się i pokazać w mediach, czy raczej, tak jak dotąd, godzić się na trwanie w cieniu muzycznego rynku świeckiego?

Zawsze są dwie strony medalu. To swoiste odrzucenie rodzi postawy heroiczne, co mnie cieszy, bo powinniśmy dążyć do świętości. Z drugiej zaś strony masowy dostęp do dokonań muzyków chrześcijan mógłby zrewolucjonizować nasz showbusiness, a także samych twórców chrześcijan. Obserwuję już od dawna pewne spetryfikowanie określo-

nych wzorców i swoistą etykietę zachowań wśród naszego muzycznego środowiska. Tworzy się getto chrześcijańskie, a szkoda, bo świat potrzebuje naszej żarliwości na co dzień, a nie tylko między nami, gdzie jest nam dobrze. Odrobina Bożego szaleństwa pomaga ogromnie... Czego daj nam Panie.

Masz do czynienia z radiem. Czy to prawda, że radiowcy nie za bardzo chcą prezentować na antenie współczesną muzykę religijną, bo się jej boją? Boją się jej przesłania, może ono przecież zmienić kogoś na lepsze...

Tak się zdarza, bo istnieją te okropne szufladki, których ja tak bardzo nie lubię. Sam też do wielu z nich nie pasuję i to owocuje ciszą medialną. Kochani, róbmy swoje i nie demonizujmy innych! Niestety, pokutuje już od dawna przesąd, że chrześcijańska muzyka ma gorszą jakość. Tak też się zdarza, chociaż jest przecież wiele wspaniałych dokonań na naszej niwie. Zmienić to negatywne nastawienie możemy każdego nowego dnia i wiele od nas samych zależy. Więcej nieba! I do roboty.

Twoje najbliższe plany i projekty...

Nowa płyta, która powinna powstać już dawno temu. Mam zbyt dużo utworów nie zarejestrowanych nagraniem, ale to wciąż ten sam problem zaszufladkowania, braku chęci zmiany zastanej sytuacji, komercjalizacji i po prostu pieniędzy. Tak, ten brak potrafi przekreślić niejedną plan. Ale cóż - kocha się dalej i dalej i dalej... Muzyka i słowo, jeśli nawet jest jeszcze w mojej głowie, to jest... nie bądźmy takimi materialistami. Szkoda jedynie, że nie wszyscy mogą posłuchać, jak brzmi to, co już jest, albo na papierze, albo w komputerze, albo jeszcze hasa sobie po polu i do rytmu przypatuje, że hej ha! ■

rozmawiał: A. Bujanowski OP



K. SŁOW



XX.
Weltjugendtag
Köln 2005

KOLONIA 2005



Chrystus już tam na was czeka! – wołał w Toronto w 2002 roku Papież, myśląc już o kolejnych Światowych Dniach Młodzieży w Kolonii. Jeśli chcecie spotkać się z Janem Pawłem II, tysiącami radosnych, młodych ludzi i „naładować duchowe akumulatory” – to jak najszybciej zgłoś się na wyjazd do Kolonii.

Ojciec Święty nie odwiedzi w tym roku Polski, ale zapowiedział, że do Niemiec – na to szczególne spotkanie – przyjedzie.

Odnówić wiarę

– Nigdy wcześniej nie myślałam o takich wyjazdach. Nigdy też nie myślałam poważnie o Panu Bogu i o tym, Kim jest dla mnie. Na Spotkaniu Młodych w Wadowicach i podczas Dni Młodzieży w Rzymie w 2000 roku po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że On jest osobą – Kimś, kto zawsze przy mnie był i będzie. Tym, który mnie kocha, jak nikt inny na świecie. Zobaczyłam Go podczas adoracji Najświętszego Sakramentu – Eucharystii, którą odkryłam na nowo dzięki prawdziwej radości ludzi, których spotkałam – mówi Kasia Gierycz, 23. letnia studentka biologii UW.

Także w tym roku wyjazd do Kolonii poprzedzi duchowe przygotowanie w Wadowicach w dniach od 11 do 15 sierpnia organizowane przez Wspólnotę Emmanuel. Wypełnią je modlitwa, warsztaty, konferencje zaproszonych gości oraz liczne koncerty muzyczne. Bezpośrednio z papieskiego miasta młodzi pojadą autokarami na spotkanie z Ojcem Świętym w Kolonii. Światowe Dni potrwać do 21 sierpnia.

– Zapraszamy wszystkie osoby w wieku 16-30 lat. Niepełnoletni mogą jechać wyłącznie pod opieką kogoś dorosłego. Podczas pobytu zarówno w Wadowicach, jak i Kolonii, będziemy zakwaterowani w szkołach i salach gimnastycznych, dlatego trzeba wziąć śpiwór i karimatę. Przez wszystkie dni każdy ma zapewnione śniadania, obiady i kolacje, a na czas podróży do Niemiec otrzymuje dodatkowo paczkę żywnościową – informują organizatorzy ze Wspólnoty Emmanuel. – Bardzo przydadzą się małe radia ze słuchawkami, odbierające na częstotliwości 88-108 FM. Na tym paśmie będą puszczone tłumaczenia zagranicznych wystąpień w czasie obu spotkań – zaznaczają.

Siła „Młodego Kościoła”

Organizatorzy podkreślają, że ostateczny termin, do kiedy można się zgłaszać, upływa 15 maja 2005. Tego dnia strona niemiecka zamyka listy uczestników. Warto jednak zgłosić się do końca marca i skorzystać w ten sposób z obniżki kosztów (patrz ramka). Uczestnicy poprzednich SDM

opowiadają o wyjątkowym doświadczeniu „Młodego Kościoła” stworzonego przez ludzi z całego świata.

– Wyjazd na Światowe Dni Młodzieży w 1997 roku był przełomowy dla mojej wiary. Po raz pierwszy zobaczyłem, że tak dużo młodych ludzi też wierzy w Boga, że można chodzić po ulicach śpiewając pieśni, że wiara jest radością. Paryż 97. roku to dla mnie nie tylko wspomnienie, ale początek odnajdywania swego miejsca w Kościele – opowiada 25-letni Michał, dziś doktorant na UW.

Krzysztof Świątek

Na SDM można się zgłaszać na trzy sposoby:

- wypełniając formularz zgłoszeniowy ze strony internetowej: www.emmanuel.info.pl/sdm
- przysyłając ulotkę ze zgłoszeniem na adres Wspólnoty Emmanuel: Warszawa, ul. Barska 2
- telefonicznie – (0048) 22 668-70-84

Koszt całego wyjazdu (od 11-21 sierpnia) wynosi 450 zł + 132 euro. 100 złotych mniej zapłacą wszystkie osoby, które brały udział w którymś z dotychczasowych Spotkań Młodych w Wadowicach oraz ci, którzy zgłoszą się do 31 marca 2005 i przed tym terminem prześlą na konto Wspólnoty Emmanuel 350 zł.



Sponsor poszukiwany!

Przez Wadowice do Kolonii chcą z nami pojechać młodzi z Ukrainy i Białorusi. Większości z nich nie stać na pokrycie kosztów wyjazdu (450 zł + 100 Euro od osoby). Aby mogli oni pojechać z nami potrzebujemy Waszej pomocy! Jeśli możecie pomóc, prosimy o dokonywanie wpłat na konto:

Stowarzyszenie „EMMA-POL” ul. Filtrowa 83 m. 29, 02-032 Warszawa Numer konta: PBK S.A. XIV Oddział Warszawa 45106000760000401110000573 z dopiskiem: darowizna na SDM



silence

Cisza to akustyczny wymiar Prawdy. Im ciszej, tym prawdziwiej – bliżej Boga, bliżej drugiego człowieka i bliżej siebie.

Cisza nie jest pustką, przeciwnie – jest słuchaniem Pełni. Najpierw jest to pełnia własnego egoizmu, potem staje się Cud Oczyszczenia Świątyni (C.O.Ś): wylatują z niej stoły, stoiska i stoicy – wszystko, co jest potrzebne człowiekowi, by mógł się poklepać po brzuchu i powiedzieć: „Taa...” Wreszcie w ciszy zaczyna odzywać się Nowe Życie...

W każdym dźwięku jest refleksja i tajemnica.

My to nazywamy **ciszą.**

Z przedstawicielami zespołu

Silence

ks. Andrzejem Daniewiczem
i Witkiem Wilkiem

rozmawia Krzysztof Kiryczuk

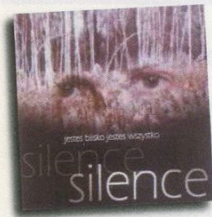
Krzysztof Kiryczyk: „Zawsze lubiłem historię choć nie lubiłem się jej uczyć. Przedz czy później i tak trzeba było coś wkuć na pamięć” – to jest cytat z Waszej strony internetowej. Czy ksiądz lubił historię?

Ks. Andrzej Daniewicz: Lubiłem słuchać różnych ciekawych historii, lubiłem czytać historię. Natomiast różnie bywało z „wkuwaniem na pamięć”.
KK: Jakie były początki zespołu SILENCE?

AD: Wyłowiliśmy z odmętów jedną datę, która może być uważana za początek istnienia naszego zespołu. To rok 2004, bo wtedy udało nam się nagrać naszą pierwszą płytę. Natomiast wcześniej już graliśmy przez parę lat w różnych składach, konstelacjach, przy różnych okazjach. I Wittek i Gosia, i Piotrek Szewczenko – gitarzysta, i ja też czasami grywałem w tzw. solowych projektach. Spotkaliśmy się przy okazji rekolekcji ewangelizacyjnych organizowanych przez księży pallotynów, przy okazji pielgrzymki, przy okazji różnych duszpasterskich inicjatyw i zaczęliśmy powoli razem grać. Pojawiały się koncerty, jakieś przedsięwzięcia, plany i w końcu skończyło się na pierwszej płycie.

KK: Stolicą zespołu Silence jest Otwock. Wittek Wilk – perkusista pochodzi z Bytomia, nie przeszkadza ci odległość pomiędzy Otwockiem, a Bytomiem?

Witek Wilk: No ostatnio już nie, bo się przeprowadziliśmy z żoną do Ożarowa Mazowieckiego, więc blisko do Warszawy, a do Otwocka nie mamy wcale tak daleko.



KK: A jak Ty znalazłeś się w zespole SILENCE?

WW: Przed 2000 rokiem spotkaliśmy się z ks. Andrzejem na takim graniu w Chorzwie, wzięli mnie jako zapasowego bębniarza., pamiętam, że na tamtych koncertach, bez żadnego wcześniejszego zapowiedzenia ksiądz

Andrzej wziął mikrofon wstał od klawiszy i zaczął coś śpiewać, a jedyną osobą która grała wtedy na jakimkolwiek instrumencie byłem ja więc powstał taki duet wokalny-bębniarski., trwało to około pięciu minut, ludzie oszaleli, my jeszcze bardziej, no i coś zostało zasiane wtedy w naszych sercach.

KK: Twój zespół pisze o Tobie tak: „potrafi zagrać w neogotyckim kościele, a na plenerowej scenie też nie ma problemu z usłyszeniem go” – prawda czy fałsz?

WW: Z tą sceną plenerową jest gorzej, bo ja tam za cicho gram, ale ... Na scenie można trochę podkręcić. Ćwicze, ćwicze, ćwicze – na siłowni może nie, ale na bębnach tak.

KK: Witku, grę na bębnach zawdzięczasz wypadkowi, przez który musiałeś zrezygnować z tańca. Tańczyłeś?

WW: Tak. Zaczęło się od folkloru w drugiej klasie podstawówki. Wcześniej, jako dziecko, zacząłem tańczyć w zespole Pieśni i Tańca Ziemi Bytomskiej, który przeobraził się w Zespół Śląsk. Potem zacząłem tańczyć tańce towarzyskie i tak doszło do break dance. No i tam już kręgosłup jest bardzo istotnym elementem. W wieku 15 lat, skacząc do wody z wysokości 10 metrów, przy jedenastym skoku mi nie wyszło, musiałem zmienić zawód, lekarz powiedział, że przydałby mi się osiadły tryb życia. Pomyślałem sobie, że bębniarz jak ćwiczy, to siedzi, jak gra koncert, to siedzi i jak jeździ na koncert samochodem, to też siedzi, więc jest to osiadły tryb życia, tylko że w różnych miejscach.

KK: Dominik Sławiński pochodzi z Chorzowa. Grywa z Magdą Anioł i z J.E.G.O. Bandem. Dlaczego ksiądz inwestuje w ludzi, którzy już z kimś grają, a po drugie nie pochodzą z Warszawy?

AD: To są więzy niemuzyczne, więzy przyjaźni

i wspólne doświadczenia duchowe. Jesteśmy związani z Ruchem Światło – Życie, modliliśmy się razem na Wigilię przed Zesłaniem Ducha Świętego w Krośniku. Dominik też był inicjatorem i głównym organizatorem oazowego projektu muzycznego KKO PROJECT. Krótko mówiąc: połączyło nas kilka fajnych Bożych przygód na chrześcijańskiej niwie muzycznej. Ale też jest prawda, że nie ma takich ludzi, co potrafia grać, a nigdzie nie grają.



KK: Dlaczego Gosia Bieńkowska znalazła się w zespole jako wokalistka?

AD: Ojej! Po prostu wystarczy posłuchać głosu Gosi – to pierwsze uzasadnienie. A drugie? Znamy się i przyjaźnimy od dawna, chodzimy razem na pielgrzymki, mamy pewne wspólne doświadczenia duchowe.

KK: Ksiądz w Otwocku buduje stolicę zespołu Silence?

AD: Powoli wykupuję tam wszystkie tereny i działki (hahahahaha).

KK: Skąd ksiądz czerpie pomysły, bo prawie do wszystkich utworów napisał ksiądz słowa i muzykę...

AD: Myślę, że to są jedynie załączki tego, co możemy później usłyszeć na płycie. Cały pomysł na piosenkę, tzw. aranżacja, to już jest nasze wspólne dzieło. A z tym czerpaniem pomysłów to jest tak, jak z „m-ruczkankami” Kubusia Puchatka: one same do mnie przychodzą.

KK: Gdzie powstawała płyta zespołu Silence?

AD: Wszędzie tam, gdzie się żyło i tęskniło. Warszawy i trochę Śląsk, i nasze przygody związane z tamtym terenem.

KK: Jakie przygody?

AD: Np.: Pewnego razu jedziemy nagrywać saksofon do studia w Wiśle, a studio znajduje się na wysokim wzgórzu. Była zima, bardzo dużo śniegu. Moja 206-stka na letnich oponach (można by powiedzieć: w letnich pantofelkach) dojechała do podnóża góry i dalej ani rusz. No to bierzemy instrumenty pod pachę, czapka na uszy i w drogę. Na górze, zanim „odkopaliśmy” studio nagrań, była taka fajna scena: pewien człowiek przecierał szlak pługiem śnieżnym i w którymś momencie o mało co nie „odśnieżył” malucha – bo się okazało, że w zaspie koło drzwi studia drzemał sobie smacznie snem zimowym prawdziwy, polski maluch, którego ktoś odpalał ostatnim razem 10 lat temu. Studio w Wiśle to bardzo uroczne miejsce...

KK: A gdzie były próby?

AD: Próby najczęściej odbywają się w Ożarowie Mazowieckim. Dzięki dobroci i otwartości moich współbraci-pallotynów możemy korzystać z jednej z salek przykościelnych. Bywa też, że ćwiczymy w Otwocku.

KK: Skąd pomysł na nazwę „Silence”? Czy jest to płyta pełna ciszy?

AD: Tak. Chociaż myślę, że nasz zespół jeszcze ewoluuje i, szczerze mówiąc, staje się coraz głośniejszy z koncertu na koncert – w sensie sposobu grania. „Silence” to nazwa, która oznacza coś innego: można ją przetłumaczyć jako „pokój ducha”. Chodzi o ten pokój, który rodzi się ze spotkania z Bogiem, a o którym wszyscy łowcy sukcesu mogą tylko pomarzyć... Zastanawialiśmy się nad nazwą twórczo i aktywnie, męczylimy się, kombinowaliśmy, aż ktoś powiedział: „SILENCE”. Jednak w pierwszym momencie pomysł upadł – trzeba było przecież wymyślić coś polskiego, oryginalnego... Więc nadal trwał swoisty casting nazw i przeżyliśmy wiele z tym związanych niepokojów. Kiedy już nadszedł czas decyzji, bo płyta „w ósmym miesiącu” i nie-

bawem urodziny, wróciło jednak „SILENCE”. I ta nazwa, dziś widzę to jaśniej, chyba rzeczywiście nas identyfikuje: chcemy, by nasze granie było modlitwą, bardziej wyciszało ludzi, niż wprowadzało w rożnużstane uczucia.

KK: Jak Ty, Witku, odnajdujesz się w zespole, który nazywa się „CISZA – SILENCE”? Przecież Ty lubisz pobębnić...

WW: No właśnie tak nie jest, okazuje się. Wolalibyśmy grać ciszej. Może dlatego, że na początku życia muzycznego startowałem w kapelach rockowych. Co prawda, nie jestem zadowolony z utraty słuchu, która następuje w ramach latych grania na scenach, ale zatęskniłem za czymś delikatnym. Jest jeszcze jedna strona zespołu Silence. Gramy czasami również w trio z Gosią, ks. Andrzejem, i mamy specjalny repertuar wielkopostny – Gorkie Żale, które wykonujemy w kościołach. Natomiast opinii ludzi po naszych koncertach są następujące: Dużo ciszy w Waszych koncertach, i można spotkać Pana Boga. I jak sobie przypominam ten czas wybierania nazwy zespołu – jak ktoś krzyknął Silence – to od razu skojarzyło mi się to z tym podprojektem wielkopostnym. Sądzę, że w naszej formacji cisza jest bardzo ważnym elementem. Spotykamy się przecież na adoracji Pana Jezusa.

AD: Najlepiej czujemy się w kościele, po prostu ciągnie nas do świątyni... Co do nazwy, to chodzi też o inspiracje biblijne: o ucieszenie burzy przez Jezusa, o uciekającego Eliasza i ten moment jego historii, kiedy usłyszał szmer łagodnego powiewu i wtedy wyszedł, aby rozmawiać z Bogiem. Nie boimy się ciszy.

KK: Ludzie boją się chyba ciszy...

AD: Tak, bo w dzisiejszym świecie rządy jest cisza, to nic nie wiadomo – więc lepiej od razu zrobić coś, co spowoduje, że będzie wiadomo...

WW: No tak, bo ciszę trzeba przyjąć, nie bać się jej. Po prostu podjąć decyzję, że chcę w niej trwać. Myślę, że po jakimś czasie można się do niej przyzwyczaić, ale w tym dobrym słowa znaczeniu. Główną jest tą jedyną przestrzenią, w której mogą wejść w głąb siebie.

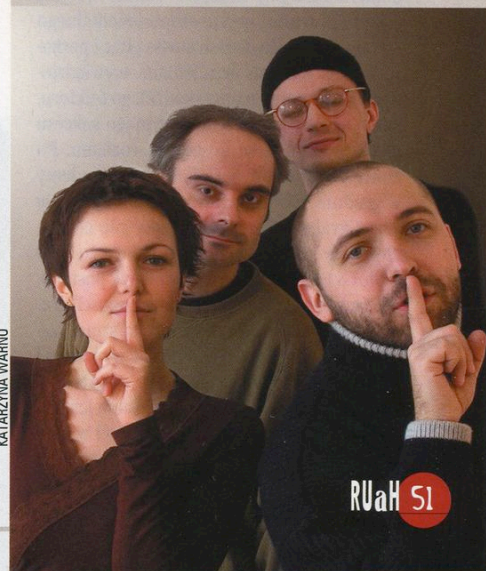
KK: Czy muzyka może być ciszą?

AD: Pewnie, że tak. Nie tylko może, ale i jest ciszą. W każdym dźwięku jest jakaś refleksja i tajemnica. My to nazywamy „ciszą”.

KK: Jakie są marzenia zespołu Silence?

WW: Chciałbym, byśmy radowali ludzi tą muzyką, żeby ona nie była tylko dla nas. My chcielibyśmy, żeby ludzie odkrywali głębie naszej muzyki. A ta głębia to Bóg!

AD: Marzy mi się kilka nowych płyt, wiele koncertów, a najwięcej chwały Bożej! ■



KATARZYNA WARNO

MAX CAVALERA

Paweł Gzyl

Jest jednym z tych muzyków, który wywarł największy wpływ na współczesne oblicze ciężkiego rocka. Zdecydował o tym nie tylko jego oryginalny sposób gry na gitarze i charakterystyczny wokal, ale także wierność wyznawanym zasadom.

Mroczne wizje

Brazylijska grupa Sepultura rozpoczęła karierę w połowie lat 80. Jej muzycy, w tym lider, wokalista i gitarzysta Max Cavalera, zafascynowani rodzajem się death i black metalem, wykonywali brutalną muzykę z mrocznymi, satanicznymi tekstami, inspirowanymi dokonaniami Black Sabbath. Nie było w tym wiele autentycznego zafascynowania złem – satanistyczna retoryka wydawała się młodym muzykom czymś nierozdzielnie związanym z metalem. Taką zawartość prezentują dwie pierwsze płyty zespołu – „Bestial Devastation” (1985) i „Morbid Visions” (1986). Z czasem przekaz formacji zaczął się zmieniać – w muzyce pojawiły się elementy thrashu i hard core punka, a w tekstach – problematyka społeczna i polityczna. Kulminacją tych trendów okazał się album „Chaos A.D.” z 1993 r. Opus magnum Brazylijczyków stał się jednak dopiero następny krążek – „Roots” (1996) – który przyniósł porcję eksperymentalnego metalu, łączącego ciężkie partie gitar i perkusji z akustycznymi brzmieniami wywiedzionymi z południowoamerykańskiego folkloru. Mimo artystycznego i komercyjnego sukcesu płyty, w Sepulturze doszło do rozłamu. Po koncercie w londyńskiej Brixton Academy w grudniu 1996 r., z zespołem pożegnał się Max Cavalera. Pozostali muzycy nie chcieli, aby menedżerką zespołu była nadal jego żona – Gloria Bujnowski. Urażony muzyk postanowił zachować wierność rodzinie i opuścił grupę. – Czternaście lat z Sepulturą to szmat czasu, olbrzymi kawał mojego życia – wspominał Cavalera w jednym z wywiadów. – Ogromnie ciężko było mi uwierzyć, że nie jestem już częścią zespołu, że nie będę uczestniczył w jego działalności. Chciałem powiedzieć wszystkim

„odpieprzcie się!”, zrezygnować z muzyki, wrócić do Brazylii i zapomnieć. Ale przemyślałem wszystko i stwierdziłem, że byłoby to tchórzostwem. Dlatego doszedłem do wniosku, że nadal będę grał.

Duchowy synkretyzm

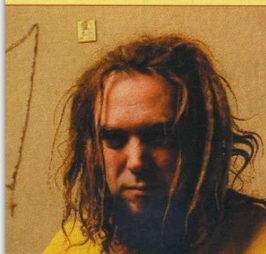
I rzeczywiście: w 1997 r. brazylijski muzyk powołał do życia nową formację – Soulfly. Już jej nazwa wskazywała, że Cavalera postanowił poświęcić się poszukiwaniom o charakterze duchowym. Podobnie jak ostatnia płyta Sepultury, pierwszy album nowej grupy – zatytułowany po prostu „Soulfly” – artysta zadedykował Bogu. – *Wierzę, że siła, bez*

której nie byłoby mojej muzyki, pochodzi od Boga – tłumaczył Cavalera. – Mam za sobą trudny czas. Ciężko było wystartować po Sepulturze raz jeszcze, z zupełnie nowym zespołem. Ale Bóg dał mi drugą szansę. Nigdy tego nie zapomnę. Dedykacja to forma podziękowania. Założenie Soulfly było dla artysty swego rodzaju powtórniemi narodzinami. Mówił o tym dobitnie otwierając debiutancki krążek formacji utwór „Eye For An Eye”: *Urodzić się na nowo/ znowu powstać/ Wierzę, że to jedyna droga.* Mimo iż były muzyk Sepultury żywił do swych dawnych kolegów (w tym i do brata – perkusisty, Igora Cavalery) żal i gniew, zdawał sobie sprawę, że są to destrukcyjne uczucia. Mając tego świadomość, zwracał się do Stwórcy o pomoc w wewnętrznym oczyszczeniu. Opowiada o tym utwór „Prejudice”: *Korzenie nienawiści sięgają głęboko/ Wyrwij ten chwast, bo niszczy plany pokoju, którego wszyscy pragniemy! (...) Zabić szatana i oddać chwałę Bogu!* Pamiętając o tym, iż człowiek jest ze swej natury słaby, Cavalera poszukiwał siły w wierze: *Znam Boga – toruje mi drogę/ Modlimy się każdego dnia* („Bumba”).

Zwrot Cavalery w stronę duchowości nie dziwił tych, którzy znali jego rodzinę. Matka muzyka była bowiem kapłanką obrzędu Candoble, bardzo charakterystycznego dla brazylijskiej religijności ze względu na egzotyczne przemieszanie elementów chrześcijaństwa, dawnych wierzeń indiańskich i pogańskiego ubóstwienia natury. Cavalera, wychowany w duchowym synkryzmie, nie deklarował się jako wyznawca konkretnej religii, ale czerpał duchową siłę z kilku różnych źródeł: od judaizmu, przez chrześcijaństwo, do rastafarianizmu. Takiej postawie artysty



RA



Padam
na kolana
Rece
wyciągnięte
ku niebu
Chryste,
tak ciężko
żyć z tym
cierpieniem

odpowiadała eklektyczna muzyka Soulfly – będący kontynuacją rozwiązań z „Roots” plemienny metal, flirtujący zarówno z reggae i dubem, jak i z hip-hopem czy world music.

Droga cierpienia

Drugi album zespołu Cavalera – „Primitive” – był efektem współpracy zespołu z całą plejadą zaproszonych gości: Fredem Durstem z Limp Bizkit, Coreyem Taylorem ze Slipknot, Chino Moreno z Deftones, Tomem Araya ze Slayera oraz Seanem Lennonom, synem Johna, słynnego Beatlesa. Mimo iż każde nagranie miało swój odrębny wymiar, całość mieściła się w formule nowoczesnego metalu. W warstwie tekstowej zauważalne było zdecydowane zbliżenie się Cavalery do chrześcijańskiej duchowości. W utworze „Pain” po raz pierwszy w twórczości artysty pojawia się bezpośrednie wezwanie skierowane do Chrystusa: *Padam na kolana/ Rece wyciągnięte ku niebu/ Chryste, tak ciężko żyć z tym cierpieniem/ Nie wypełniaj mego serca miłością/ Ogarnij je zawzięcie/ Powinieneś dostrzec nasze cierpienie/ Słowa prawdy muszą zostać powiedziane*. Ból, o którym nie mógł zapomnieć artysta, wynikał nie tyle z rozstania z Sepulturą, co z pamięci o skrytobójczym zabójstwie jego pasierba – Dany Wellsa. Ponieważ sprawcy nie zostali schwytani, muzyka drażyła pałace pragnienia zemsty. Na wkładce do płyty Cavalera pisał: *Mordercy, każdy dzień waszego życia zbliża was do osądzenia. Kod milczenia został złamany*. Przybliżenie się artysty do chrześcijaństwa sprawiło, że zaczął on odczuwać żądzę zemsty jako ciężar nie pozwalający mu wznieść się na kolejny etap duchowego rozwoju. *Prosiłem Boga o opanowanie/ Prowadź mnie przez ten p*** świat/ Pokonaj ten niepokój du-*

chowo/ (...) Czuje Twoją obecność każdego dnia/ (...) Składam Bogu dzięki i chwałę/ Pozwól mi być tym, kim Bóg chce, abym był („Flyhigh”).

Trzeci album Soulfly – „3” – okazał się kolejnym krokiem Cavalery w kierunku urozmaicenia oferty muzycznej grupy. Centralnym utworem z płyty była rozbudowana kompozycja „Tree Of Pain”, w której bezkonfliktowo łączyły się odmienne estetyki: gospel, hip-hop i metal. Merytorycznie była to opowieść o cierpieniu, które kształtuje osobowość człowieka, dając mu siłę do codziennego odradzania się. Cavalera śpiewał: *Nie umarłeś na próżno/ Twoje myśli powracają do mnie/ a Twoja dusza daje mi siłę/ (...) Znow odnajduję siebie/ Pod drzewem krzyża/ Gdzie wyryliśmy nasze imiona*. Wykorzystanie gospelowej wokalizy i czytelne odwołania w tekście do ofiary Chrystusa wpisywały coraz mocniej poszukiwania Cavalery w chrześcijański kontekst. Artysta nie miał już wątpliwości. Wołając do Stwórcy – *O Boże daj mi siły/ I prowadź mnie do końca („L.O.T.M.”)*, wiedział, że wobec zła tkwiącego w człowieku i w otaczającym go świecie tylko *Wiara jest bronią* („Enter Faith”). Przysłowiową „kropką nad i” było zdjęcie zdobiące okładkę płyty: promieniejący krzyż wyrzyty na ciemnej skale. W kontekście nowotestamentowych refleksji o odkupieniu poprzez cierpienie z płyty „3”, ostatni, wydany w 2004 r. album Soulfly „Prophecy”, zgodnie z rastafariańskim wizerunkiem Iwa na kopercie krążka, odwoływał się przede wszystkim do starotestamentowych opisów upadku ludzkości. Cavalera roztaczał w większości utworów apokaliptyczne wizje Armageddonu, z którego ocaleje jedynie grupa wybranych. Aby znaleźć się wśród nich, artysta wołał w utworze „Moses”: *Mojżeszu, Mojżeszu, gdzie jesteś?/ Ukaż się proszę, powiedz dzieciom co czynić./ Ojcie stworzenia/ Daj mi natchnienie (w czasie Armageddonu)/ (...) Z miłością Boga ludzkość przetrwa*. Najważniejszy utwór na płycie – „I Believe” – był czytelnym wyznaniem wiary: *Wierzę w Boga aż po nieskończoność/ (...) Wierzę w Boga przekraczając śmiertelność/ (...) Wierzę w Boga, nieśmiertelność/ Nie możesz zabić wiary/ Nie możesz zabić Boga*.

Chrześcijańska teologia zmartwychwstania uzyskiwała tu czytelny wyraz, przeciwstawiając się modnym w rockowym świecie, a zaczerpniętym z filozofii Nietzschego teoriom o „śmierci Boga”. „Prophecy” przyniosło również pewne nowinki muzyczne: Cavalera, nie rezygnując z mocnego hard core’a, powrócił w kilku utworach do niemal klasycznego thrash metalu, zabawiał się w eksperyment z industrialnym rockiem, zagrał niemal czyste reggae, a zakończył całość... folkiem w wykonaniu serbskich cyganów.

Iść pod prąd

Soulfly to Cavalera. Nikogo zatem nie dziwią ciągłe zmiany składu zespołu. – *Należy zmieniać współpracowników, aby muzyka była*



cały czas interesująca – wyznał gitarzysta. – *Lubię przedstawiać nowych członków zespołu publiczności. Myślę, że to inny i bardziej rewolucyjny sposób prowadzenia zespołu, który jest jak plemię. A w plemienu, jak wiadomo, zachodzą zmiany*. Cavalera jest jednym z tych muzyków, którzy mieli największy wpływ na obecny kształt ciężkiej muzyki. Jego sposób gry na przesterowanej gitarze i gardłowy, bliski dramatycznemu krzykowi wokal, zainspirowały całą rzeszę młodych zespołów tworzących nu metalową scenę. Niemal obowiązującym stał się image brazylijskiego artysty: długie dready, wojskowe barwy ubrań, szerokie spodnie, sportowe obuwie. Wszystko to miało tak ogromną siłę oddziaływania na młodzież, ponieważ Cavalera okazał się kimś niezwykle rzadko spotykanym w show-biznesie: wiernym sobie i swoim ideałom, potrafiącym iść pod prąd i potwierdzającym głoszone przez siebie przesłanie własnym

Paweł Gzyl
fot. z archiwum „Roadrunnera”



Historia Breakdance (3)

Capoeira

Maciej Syka **um jogo de corpo e alma**
{gra ciała i duszy}

Morze. Nad horyzontem czerwone zachodzące słońce. Na białym piasku plaży grupa chłopców w białych spodniach. Stoją w kole. Grają na instrumentach, klaszczą. Przede wszystkim jednak wyśpiewują „Zum, zum, zum, capoeira mata um!”. W pewnym momencie dwójka z nich, w środku kręgu, zaczyna tańczyć. Powoli wykonują nad sobą płynne ruchy rękami, po chwili także nogami. Ich taniec zaczyna nabierać tempa i dynamiki. Ich dziwne ruchy są jakby spojeniem kultu, tajemnicy i walki. Są formą sztuki, która łączy w sobie właśnie ruch, muzykę oraz życiową filozofię. Dookoła żywej duszy. Tylko plaża, oni i ich „misterium tańca”.

Pochodzenie

Sprawa narodzin capoeiry wcale nie jest prosta i jednoznaczna, a jej współcześni badacze stoją wciąż przed licznymi towarzyszącymi zjawiskami kontrowersjami. Najczęściej przyjmuje się, iż narodziła się ona w Afryce, a dokładnie w Angoli, zaś jej prawdziwy rozwój nastąpił w Brazylii. Początki tego ogromnie popularnego na całym świecie dziś tańca wiązać należy ze środowiskiem czarnych niewolników, ściąganych na Nowy Kontynent z Afryki. Znane powiedzenie mówi: wszystko, co piękne i wspaniałe, musi się rodzić w ogromnych bólach. Wiemy, że w XVI wieku Portugalczycy szukając taniej siły roboczej przewozili do Ameryki Południowej tysiące Afrykanów. Byli oni ładowani na ogromne statki, na których w bardzo ciężkich warunkach przewożono ich przez Atlantyk. Po wykańczającej podróży czekała na nich trudna praca na plantacjach trzciny cukrowej. Tu rzeczywistość była jeszcze gorsza i bardziej nieludzka niż na statku. Jedną z teorii dotyczących capoeiry przypisuje jej początki działaniom zbiegłych z plantacji niewolników, chroniących się w dżungli, w tzw. quilombos. Miejsca te były jakby azylem, gdzie wymieniali się oni swymi doświadczeniami, szeroko pojętą kulturą przywiezioną z Afryki, muzyką, tańcem, wierzeniami, wszystkim, co mieli wyryte w swoich sercach. W kręgach tych na czoło zainteresowań stosunkowo szybko wysunęły się sztuki walki, niewolnicy szukali przede wszystkim sposobu

obrony przed uciskiem Portugalczyków. Wielu z nich było wprawionymi graczami w afrykańskim swat, inni znali techniki dalekowschodniego boksu zwanego karate i taekwondo, jeszcze inni dodawali do tego grę na bębnach. Z próby połączenia tych wszystkich sztuk powstała i rozwijała się na brazylijskiej ziemi capoeira. Rodziła się ona głównie w dwóch ośrodkach. O ile w Recife i Rio de Janeiro przyjęto agresywną jej odmianę, o tyle w Bahia asymilowano i stworzono formę, która była połączeniem rytuału, tańca, gry na instrumentach, śpiewu, walki i gry. Na początku XIX wieku Portugalczycy stanowczo zakazali niewol-



nikom uprawiania capoeiry i w kraju rozpoczęły się prześladowania jej zwolenników. Każdego, kto sprzeciwiał się władzy, aresztowano i zabijano. Gdy w 1888 roku w Brazylii zniesiono niewolnictwo, sytuacja capoeiristas (tzn. uprawiających capoeirę), jeszcze bardziej się jednak pogorszyła, bo wyzwoleni czarni, dumni dotąd ze swojej tożsamości, jaką dawała im capoeira, nie potrafili odnaleźć się w nowym systemie

społecznym. Wybierali najczęściej opcję określaną dziś mianem „thug life”. Pełni pewności siebie, dynamiczni, schodzili na drogę przestępczą i terroryzowali mieszkańców miasta. W Rio de Janeiro i Recife capoeiristas gromadzili się w grupach zwanych maltas, które toczyły ze sobą krwawe walki, zwykle podczas zabaw karnawałowych, uroczystości religijnych i wieców politycznych. Najsprawniejsi z nich, traktowani jak malandros (rozbójnicy), stawiali się często w tamtym czasie narzędziami manipulacji w rozgrywkach politycznych prowadzonych między monarchistami i republikanami. Podsumowując ten okres trzeba powiedzieć, iż capoeira z tamtego czasu miała niewiele wspólnego z dzisiejszą. Był to przedział w historii, kiedy osiągnęła szczyty brutalności i przyniosła wielką liczbę ofiar.

Czas mestres.

Nowa capoeira.

Nowy rozdział historii capoeira wyznaczyli – już w XX wieku – jej legendarni nowi mistrzowie, zwani mestres: Bimba i Pastinha. Pierwszy z nich założył swą szkołę w Salvadorze mając zaledwie 18 lat. Capoeira była wówczas zakazana brazylijskim prawem, toteż Bimba opowiadając się za filozofią „umysł ponad siłą” opracował własny system szkolenia i uporządkował znane dotąd techniki. Chodziło mu o zdjęcie z capoeiry „ulicznego brudu” i nadanie jej wymiaru sztuki, łączącej sport i taniec.

Owocem tego nowego do niej podejścia był udany pokaz dla brazylijskiego rządu, po którym Bimba, zyskując jego aprobatę, w 1932 roku otworzył już legalnie pierwszą na świecie akademię opartą na stworzonym przez siebie systemie zwanym „regional”. Nazwa Capoeira Regional przyjęła się do dziś na dobre, a capoeira od tamtego czasu stała się sportem narodowym Brazylii. Bimba i jego uczniowie odnosili duże sukcesy, występowali na pokazach w Sao Paulo, Rio de Janeiro i innych dużych miastach.

Drugim legendarnym mistrzem XX wieku był Mestre Pastinha. Urodził się on w 1889 roku. Jak twierdził, capoeiry uczył się od Benedito – Afrykańczyka z Angoli. Zasłynął z powiedzenia „capoeira e para homen, menino e mulher, so nao aprende quem nao quis (capoeira jest dla mężczyzn, kobiet i dzieci; jedynymi, którzy się jej nie uczą są ci, którzy nie chcą)”. Myślę, że te słowa mówią same za siebie. Jak na dłoni wynika z nich, że Pastinha traktował capoeirę jako sztukę możliwą do opanowania przez każdego. Swoją pierwszą szkołę otworzył zaledwie kilka lat po Bimbie. Ludzi, którzy chcieli się stać jego uczniami, było coraz więcej, gdyż styl o nazwie Capoeira Angola, którego nauczał, był w tamtym czasie dla wszystkich innowacyjny. Pastinha pozostawił po sobie wielu uczniów, a wśród nich dwójkę najsłynniejszych: Mestre Joao Pequeno, a także Mestre Joao Grande, który uczy obecnie w Nowym Jorku. Rola wyżej wymienionych, Mestre Bimba i Mestre Pastinha, w upowszechnianiu capoeiry była ogromna. Kto wie, czy gdyby nie oni, byłaby dziś tak popularna na całym świecie.

Czym jest capoeira dzisiaj...?

Jest ona przede wszystkim tańcem, a także najbardziej harmonijną ze sztuk walki. Jest brazylijską grą, która jest połączeniem boksu, tai-chi, samby i południowoamerykańskiej muzyki. Capoeira jest jednak przede wszystkim dobrą zabawą. Jest to ta sztuka, w której pięknie nie ma miejsca na banały i tracenie czasu. Ludzi, którzy ją ćwiczą, charakteryzuje harmonia, spokój. Dawne niewolnicze naleciałości poszły w odstawkę. Jednakże były one potrzebne jako fundament (kopnięcia, ruchy itp.). Dużą rolę w docenieniu sztuki capoeiry odegrało moim zdaniem wspomniane wyżej jej zalegalizowanie (w 1932 roku) i to, że stała się ona tańcem narodowym ogromnego kraju, jakim jest Brazylia. Nie trzeba było już odtąd praktykować jej w ukryciu, a przede wszystkim stała się ona elementem kulturotwórczym, reprezentującym ten kraj na arenie międzynarodowej. Dziś każdy, kto ją tańczy, utożsa-

mia capoeirę właśnie z Brazylią. Niektórzy jednak żalują, że masowa turystyka, która zalała ten kraj zamieniła ją, tak jak wiele innych wartości, z rytuału w show, z formy buntu skierowanego przeciw niesprawiedliwości społecznej w dyscyplinę sportową rządzoną sztywnymi regułami.

Od jakiegoś czasu capoeira jest obecna również w Polsce. Początkowo na Górnym Śląsku, gdzie w 1995 roku powstała grupa CAGD (Capoeira Artes Das Gerais) – działająca w Katowicach, Chorzowie, Bytomiu, Krakowie i Będzinie. Obecnie także w Warszawie, w której od 2000 roku istnieje polska filia brazylijskiej grupy Beribazu, licząca ok. 300 uczniów. Działają tam rdzenni Brazylijczycy, a młodzi poznają w niej oprócz samej sztuki walki i tańca język portugalski, uczą się gry na instrumentach (berimbau!), tańczą sambę. Komuś, kto wchodzi w tę grę po raz pierwszy, nieodparcie kojarzy się ona z breakdancem i dalekowschodnimi sztukami walki. Nie jest to jednak dosłownie walka, bo gra jest tu niemal bezkontaktowa, jej tempo wyznacza rytm muzyki, a wszyscy, którzy w danym momencie tańczą i śpiewają, wprowadzają grających wewnątrz kręgu w stan jakby transu. Grający (jogadores) nie są przeciwnikami, są partnerami, nie ma kategorii wiekowych ani wagowych, nie urząda się turniejów.

Osobiście przypominam sobie chwilę, kiedy w Gnieźnie, latem, podczas spaceru w parku mogłem podziwiać dwóch młodych chłopaków. Mieli najwyżej po 15 lat, ale stroje, które nosili, a przede wszystkim ruchy i figury, które wykonywali świadczyły, że ich taniec wpływał prosto z nich. I byli przy tym naprawdę dobrzy technicznie. To wspaniałe i budujące, że chłopcy nie tracą czasu siedząc beczynnie na ławce przed blokiem, tylko ciężką pracą i treningiem rozwijają swoje umiejętności.

(...)

W moich trzech odcinkach przeszliśmy przez breakdancę i dotknęliśmy choć trochę capoeiry. Nasze rozważania na temat tych sztuk tanecznych domagają się zakończenia i wyciągnięcia głębszych wniosków. Uczynimy, to w następnym numerze RUaH, w oparciu o słowa Jana Pawła II, wypowiedziane w Watykanie do breakdancerów po ich słynnym występie: „Talent artystyczny to jest Boży dar i kto odkrywa go w sobie, odkrywa zarazem pewną powinność: wie, że nie można go zmarnować, ale trzeba rozwijać (...) po to, aby służyć bliźniemu i społeczności, w której przychodzi mu żyć”...

Maciej Syka

niektóre pojęcia związane z capoeirą:

ABADA – białe spodnie do ćwiczenia capoeiry, wykonane z elastycznego materiału, naszyty jest na nich emblemat grupy.

CAMISA – biała koszulka z logo grupy.

CORDA – sznur, który wiąże spodnie, świadczy także o stopniu gracza.

RODA – krąg, koło, wewnątrz którego odbywa się taniec – walka.

BERIMBAU – najważniejszy instrument w capoeirze, składa się z kija, napiętej na niego struny i pudła rezonansowego. Gra na nim nadaje charakter tańcowi-walce w roda.

ATABAQUE – jest to duży bęben ustawiany zwykle na stojaku i uderzany rękami.

PANDEIRO – to odpowiednik polskiego tamburynu.

AGOGO – dwa dzwonki umocowane na jednym uchwycie, uderzane drewnianym kołkiem.



20

dobrych
płyt

odcinek 1

W kolejnych tekstach poświęconych techno wskazywałem na wielorakie niebezpieczeństwa związane z odbiorem tego gatunku muzyki. Dzisiaj odwrotnie – pokusiłem się o wybór 20 DOBRYCH płyt, które w mniejszym lub większym stopniu związane są z electronic dance music. DOBRYCH – nie oznacza dla mnie jedynie wysokiego poziomu wykonawczego. DOBRYCH, tzn. dotykających piękna i przez to uwznioślających odbiorcę. Płyty, o których za chwilę przeczytacie, są dla mnie wcale nie tak odosobnionymi przykładami techno-sztuki przez wielkie S.

Dzisiaj pierwsze 10 pozycji (ułożonych alfabetycznie):

Adam F „Colours” F-Jams / Positiva 1997

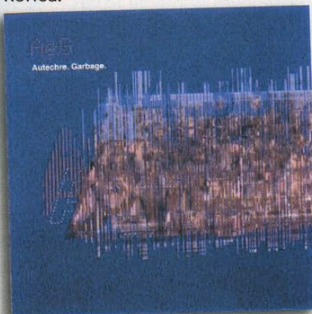
Jedna z najbardziej zróżnicowanych, a jednocześnie niezwykle spójnych płyt gatunku drum'n'bass. Adam F zaserwował – bodaj jako pierwszy z takim rozmachem



– syntezę elektryzujących rytmów, wysmakowanego popu, jazzu, hip-hopu i ambientu. Płyta od początku do końca trzyma dramaturgię, kilkakrotnie wysoko podnosi poziom adrenaliny, żeby zaraz ukoić słuchacza delikatnym jazującym tematem lub „miejską” plamą ambientalną. W ogóle wydaje się, że autor doskonale rozumie przestrzeń wielkowiejską. Być może z tego powodu muzyka zawarta na „Colours” ułatwia słuchaczowi odnalezienie się w cywilizacyjnym zgiełku bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym...?

Autechre „Garbage EP” Warp 1996

Trochę przewrotnie wybrałem z przebogatej twórczości Seana Boothy i Roberta Browna trwającą ok. 40 minut epkę. W moim zestawieniu nie pojawia się ani (skądinąd przełomowe dla gatunku ambient techno) „Amber”, ani „Tri Repetae” – płyta, która przetarła ścieżki nowej fali eksperymentatorów muzyki elektronicznej. Jest za to skromny minialbum „Garbage” (z ang. – śmieci) – cztery hipnotycznie piękne utwory, nawiązujące w równym stopniu do minimal music, jak i do trzeszczącej stylistyki nowobrzmiowej. Płyta niesie w sobie wielki ładunek emocji i niemal zmusza do zadawania trudnych pytań. Szczególnie mocny jest ostatni w zestawie utwór „VLETRMX21”, który mógłby trwać w nieskończoność pomimo tego, że pojawiają się tam raptem... 4 akordy. Ciarki na plecach od początku do końca!



Biosphere „Substrata” All Saints Rec. 1997

Definicja wysmakowanego ambientu. Płyta, od której wieje mrozem. Nie dlatego, że jest to muzyka bezduszna. Wręcz przeciwnie – chodzi raczej o autentyczną inspirację krajobrazem i klimatem koła podbiegunowego. Norweg – Geir Jenssen – muzyk, który z wykształcenia jest archeologiem, na tej płycie stworzył coś więcej niż muzykę tła, propagowaną przez Briana Eno. Dominuje tu muzyka spokojna, doskonale skomponowana. Każdy utwór tworzy kolejną część arktycznej podróży – pozornie monotonnej, a w istocie niezwykle wciągającej. Nasycone barwy, niepowtarzalny nastrój, przejmujące i niebanalne melodie – oto „Substrata”.



Carl Craig „Landcruising” Blanco Y Negro 1995

Mamy przed sobą jedną z klasycznych płyt wczesnego techno. Wielu mówi o Craigu jako wielkim romantyku gatunku. Zresztą mogłaby się tutaj znaleźć jakakolwiek inna płyta tego artysty, bo wszystkie są doskonałe. „Landcruising” stanowi hołd

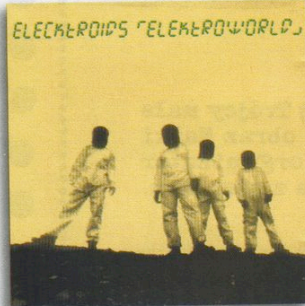
złożony przez jednego z „ojców chrzestnych” Detroit techno gigantów z zespołu Kraftwerk. Płyta nawiązuje do motywu podróży, pojawiającego się kilkakrotnie na płytach Niemców. Słychać tu charakterystyczny dla szkoły Detroit funkujący rytm i przestrzenne brzmienia. W efekcie dają one niemal godzinną



opowieść, która ani przez chwilę nie nuży (mimo ewidentnie koncepcyjnego charakteru całości). Ponadto prezentuje ona wyczerpujący przegląd tego, co najlepsze w kolebce techno.

Electroids „Electroworld” Warp 1995

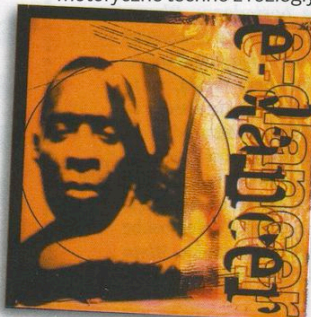
Cztery zamaskowane postacie w kombinizonach ochronnych na jaskrawo żółtym tle. Na płycie żadnych informacji o muzykach, tylko tytuły utworów i podziękowania... „Thanks To God”. Płyta nawiązuje do tradycji Underground Resistance



(jednej z pierwszych wojujących formacji techno) – pełna anonimowość, oszczędność aranżacyjna i... nieśmiertelne electro. Energetyczne, dynamiczne i mechaniczne! Świetne, przebojowe kawałki, wciąż inspirują kolejne pokolenia hip-hopowców i twórców muzyki elektronicznej. Właściwie zupełnie nieskomplikowane, ale za to z jaką mocą!

E-Dancer „Heavenly” KMS 1998

Kolejna w zestawie klasyczna płyta Detroit techno. Tym razem autorstwa **Kevin Saundersona** (znanego szerzej z przebojowego duetu Inner City). Płyta interesująca co najmniej z dwóch powodów – po pierwsze prezentuje ona to, co najlepsze u samego Kevina – funkowe, głębokie, motoryczne techno z rozległymi plamami

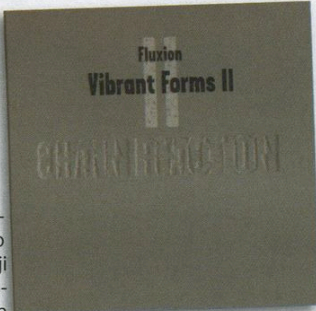


syntezatorowymi, po drugie – stanowi owoc współpracy z Carlem Craigiem, Kennym Larkinem

i Juanem Atkinsem – innymi kluczowymi postaciami sceny amerykańskiej. Każdy z gości operuje własnym stylem, a wszystko i tak współgra ze sobą idealnie. Słowem – wielka prehistoria techno w pigułce.

Fluxion „Vibrant Forms II” Chain Reaction 2000

Jedyna na mojej liście płyta z legendarnej berlińskiej wytwórni Chain Reaction. Nie dlatego, żeby nie powstały tam inne arcydzieła (do historii gatunku weszły przecież także płyty Porter Ricks czy Veinquer). Chodzi raczej o to, że grecki producent Soublis na tym dwupłytowym albumie



wydobył wszystko, co najbardziej charakterystyczne i wartościowe w berlińskim dubie. Jest to muzyka niezwy-

kłe oszczędna, żeby nie powiedzieć ascetyczna, jeśli chodzi o środki wyrazu. Ale – uwaga! Ta płyta – trwająca w sumie przeszło 2 godziny – zaprasza słuchacza do obcowania z przestrzenią muzyczną w niespotykany dotąd sposób. Charakterystyczne dubowe powtórzenia i echa w połączeniu z dosyć powolnym rytmem i „podwodnym” ambientem, dają efekt najzupełniej oryginalny.

Marcus Guentner „In Moll” Kompakt 2001

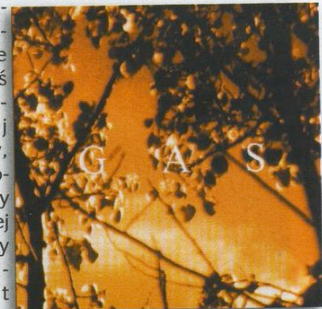
Kolejna płyta utrzymana w stylistyce techno-dubowej. Właściwie na wszystkie pojawiające się tu pomysły ktoś wcześniej już wpadł. Jest jednak na tej płycie coś, co każde do niej wracać. Może jest to szczególnie „bajkowa” atmosfera obecna w niemal każdym utworze?

A może tak silne wrażenie wywierania na słuchacza zagospodarowana w 200% przestrzeń muzyczna? Jedno jest pewne – muzyka **Guentnera** pobudza wyobraźnię. Sekwencje rytmiczne są tu jak fale odbijające się od brzegu. Każda na początku wydaje się podobna do siebie, a jednak gdzieś głęboko różni się od następnej... To soundtrack rodem z sennego marzenia, gdzie wszystkie dźwięki wydają się nam znane, a jednocześnie zaraz odkrywamy, że są zupełnie nowe...



GAS „Königforst” Mille Plateaux 1997

Prezentowana wcześniej płyta Marcusa Guentnera niewątpliwie najwięcej (jeśli chodzi o inspirację) zawdzięcza **Wolfgangowi Voigtowi** (aka GAS). Autor świadomie lokuje się w tradycji niemieckiego neoromantyzmu. Na swych płytach tworzy śmiałą syntezę minimal-dubu z monumentalnymi tematami inspirowanymi twórczością Ryszarda Wagnera. Jest to muzyka niezwykle ciężka. Nie w sensie braku



komunikatywności, ale jakiejś przytłaczającej zadumy, która towarzyszy tej leśnej podróży (Königforst – z niem.

królewski las). Bez wątpienia rzecz niebanalna, o wielkim ciężarze gatunkowym.

Global Communication „76:14” Logic Rec. 1994

Kolejna – po „Substracie” – kluczowa pozycja gatunku ambient. Tytułem płyty jest jej total time. Każdy utwór nazwany jest własnym czasem (np. „9:25”). A muzyka? Tutaj nie ma słabej kompozycji. Przeważają często bezperkusyjne, długie utwory oparte o syntezatorowe melodie. Melodie urzekające i niebanalne – aranżacyjnie przemyślane – raz oszczędne, raz skomplikowane.



Na pięknej okładce widnieje logo Global Communication – litery G i C, tworzące kształt ucha. W tle pojawia się powiększone zdjęcie ludzkiego narządu słuchu. Tak, na tej płycie panowie Tom Middleton i Mark Pritchard (skądinąd postacie kluczowe dla europejskiego techno, znane pod innymi pseudonimami) okazują najwyższy szacunek dla skołatanego cywilizacyjnym zgłębieniem ludzkiego ucha. ■

Marek Horodniczy
homar242@wp.pl



R. KULIŚ

Setka i do przodu

czyli setny koncert Bartka Jaskota

Kilku franciszkanów zapala wokół ławek gdańskiego kościoła Świętej Trójcy małe lampki. Gaśnie światło. Tylko blask świec i promieniujący jasnością obraz Matki Bożej Miłosiernej przesywa ciemność. O. Roman Ziola, znany m.in. jako organizator kwidzyńskiego Festiwalu Kerygmat, zapowiada gościa: Bartka Jaskota z zespołem. To już setny koncert młodego artysty w tym roku.

Rozpoczyna się występ, który przede wszystkim jest uwielbieniem, modlitwą. Kameralna atmosfera służy zadumie i skupieniu nie tylko muzyków.

Bartek Jaskot: *Nawracam się dzięki ludziom, których spotykam. Druga strona też decyduje o klimacie koncertu. Zdarza się, że napotykam na beton w sercach i dopiero po jakimś czasie on się kruszy. Częściej jednak jest otwartość. Uwielbiać to także dziękować. Zapraszam ludzi, aby dziękowali Bogu za wszystko, co jest im dane. Mnie to bardzo pomaga.*

Uwielbienie Stwórcy to według Bartka czystość intencji i miłość w każdej wykonywanej czynności. *Polacy posiadają charakterystyczny wyraz ekspresji. Do tego dochodzą słowiańskie cechy, hierarchia wartości. W ten sposób wytwarza się nasz styl modlitwy. Muzyk miał okazję porównać polski grunt z amerykańskim. Spędził czas w USA ucząc się języka angielskiego i... Poznałem Amerykę również od strony duchowej, spotkałem chrześcijan, którzy nieco inaczej patrzą na życie. Ich myślenie pomogło mi zrozumieć i docenić profesjonalizm w tworzeniu muzyki. Pokazali, że nie można dać się zepchnąć do „getta chrześcijańskiego”. Przebywając w tym środowisku zauważyłem, że niebezpieczeństwo zaszufładowania*

pojawia się nie tylko ze strony odbiorców, ale i samych wykonawców. Trzeba być otwartym.

O otwartości muzyka świadczy m.in. rosnąca wciąż liczba koncertów. Wczoraj Gdynia, dziś Gdańsk, jutro Elbląg, potem Poznań. To tylko „wycinek” z trasy Bartka Jaskota. Jak sam mówi, 70% występów organizowanych jest przez „sieć”. W tym też tkwi jego siła. Artysta posiada bardzo dobrą stronę internetową, którą wciąż aktualizuje (www.bartekjaskot.pl). Chce również w taki sposób mieć kontakt z odbiorcami swojej twórczości. *Niedługo umieścimy wywiad przeprowadzony nad morzem w czasie burzy. Pomysł ciekawy i zarazem intrygujący...*

Koncerty dla Bartka są nie tylko występami, kontaktem z ludźmi, modlitwą. To jego



Bartek Jaskot
i Wittek Góral
(gitarzysta)

życie. Jak pory roku kształtują ludzką egzystencję, tak kalendarz liturgiczny Kościoła Katolicki. Nasz repertuar można podzielić na 3 bloki: początek roku to kolędy plus kilka nowych utworów. Gramy je w klubach, kościołach, itp. Dalej, mamy program pt. „z nadzieją na ZmartwychPOWSTANIE”. Jest to cykl pieśni pasyjnych, które wykonujemy głównie w kościołach, gdyż one potrafią stworzyć odpowiednią scenografię. Potem przychodzi wiosna i gramy koncerty z naszymi kompozycjami. Pojawiamy się wszędzie tam, gdzie nas zapraszają.

Jaskot często sięga po muzyczny dorobek przeszłości, chociażby we wspomnianym programie „z nadzieją na ZmartwychPOWSTANIE”. *Ważny jest powrót do korzeni. Ludzie często nie zdają sobie sprawy z bogactwa, jakie posiadamy. Okazuje się, że oryginalne utwory w nowych aranżacjach również mogą fascynować. Zdarza się, że słuchacze myślą, że to nasze nowe kompozycje, a nie utwory ze starych, zapomnianych śpiewników.*

Na razie organizacja koncertów spoczywa na Bartku. Jest to bardzo ciężka i zajmująca praca, dlatego też muzyk chce powiększyć skład zespołu o jeszcze jedną osobę – menedżera, którego wciąż szuka. *Mimo że wszystko dobrze się układa, dajemy*

sobie radę, to manager jest niezbędny. Zbyt dużo energii poświęcam sprawom organizacyjnym, a powinienem ten czas poświęcić na pisanie nowych utworów i doskonalenie warsztatu. Lubię mieć rękę na pulsie, być na bieżąco, ale potrzebuję kogoś, kto w tej kwestii powalczy w imieniu całego zespołu. Każdy z muzyków coś do niego wnosi i kolejna osoba także będzie dla nas bogactwem. Ale musi pokochać to, co robimy, identyfikować się z tym. Wielu muzyków modli się o dobry management, taki, którego nie zaślepią pieniądze, materializm, bo granica jest tu bardzo cienka.

W chwili obecnej projekt nazwany BARTEK JASKOT to: wokalista Bartek Jaskot, gitarzysta Witek Góral, basista Mateusz Cudzych i perkusista Radek Kuliś.

Zawsze marzyłem, aby zespół był rodziną. W tym składzie grają dopiero dwa miesiące (choć z niektórymi muzykami dłużej). W zespole króluje wolność. To bardzo ważne, aby mieć tego świadomość. Są oczywiście zobowiązania, ale każdy może w dowolnej chwili odejść, robić to, co czuje, czego potrzebuje. Tak jak w rodzinie. Marzenie Bartka spełnia się, choć czasem jest ono bolesne. Potrzeba dużo modlitwy, aby ponad ludzkimi słabościami górowała Miłość. Nie sposób jej nie odczuć: podczas koncertu, rozmowy, chwili ciszy. Bartek Jaskot chce być posłańcem Miłości. Przynosi światu to, co zaniedbane, zagubione. Uczy swoich słuchaczy otwierać serca, ścierać kurz z zapomnianych pól ludzkiego odczuwania, pokazuje stronę, w którą trzeba iść: stronę Światła rozpraszającego wszelkie ciemności, Miłości, w której się tonie... Bez emanującej z muzyka wrażliwości nie byłoby takich lekcji życia. *Wrażliwość jest piękna: widzisz i czujesz więcej. Ale to też ciężar. Dzisiejsze czasy są bardzo cie-*

kawe i jednocześnie niezmiernie trudne. Poczawszy od relacji z najbliższymi ludźmi, niezrozumienia, a kończąc na tym, co dzieje się na świecie. Gdyby nie wiara, nadzieja i miłość – człowiek tylko by cierpiał. On pozwala żyć i cieszyć się tym, co nam ofiarowuje.

Rozmawiamy o Bartku Jaskocie sprzed wielu lat. Muzyk z uśmiechem cofa się o 11 wiosen, kiedy po raz pierwszy wystąpił publicznie. *Miałem 17 lat i zaśpiewałem psalm w kościele. Byłem wtedy zakompleksiony i zamknięty w sobie. Jeśli śpiewałem to w domu, w ukryciu.* Ale pokonał swoje słabości i lęki. Zaczęły pojawiać się różne zespoły, amatorskie projekty muzyczne. Z grupą Bracia Najmniejsi nagrał swoją pierwszą płytę. Nie uważa jej jednak za swój debiut. Takim nazwie dopiero solowy projekt „Posłuchaj”. *Pierwsza płyta nagrana była na tzw. setkę. Przygotowywaliśmy się pół roku i nagraliśmy materiał najlepiej, jak wówczas mogliśmy. Zrobiliśmy to nie tylko dlatego, że sami chcieliśmy, ludzie pytali po koncertach, gdzie można kupić naszą płytę. „Posłuchaj” to było szaleństwo, wielu rzeczy nie przemyśleliśmy do końca. Potem powstał projekt „z nadzieją na ZmartwychPOWSTANIE”, który graliśmy przez dwa lata, zanim zarejestrowaliśmy go na krążku, również na prośbę słuchaczy. Przez ostatni rok grałem w duecie z gitarzystą Witkiem Góralem. Chcieliśmy udokumentować ten etap naszej współpracy. Tak powstało „żyweDOBRESpotkanie”.*

Jak zmienia się muzyk z płyty na płytę? *Uczę się pokory. Fascynuje mnie to, że im głębiej uchodzę w to wszystko, tym mniej wiem, czuję się coraz mniejszy.* Rok 2004 zaowocował dwiema płytami. Jaki będzie 2005? *Chcielibyśmy wydać ko-*



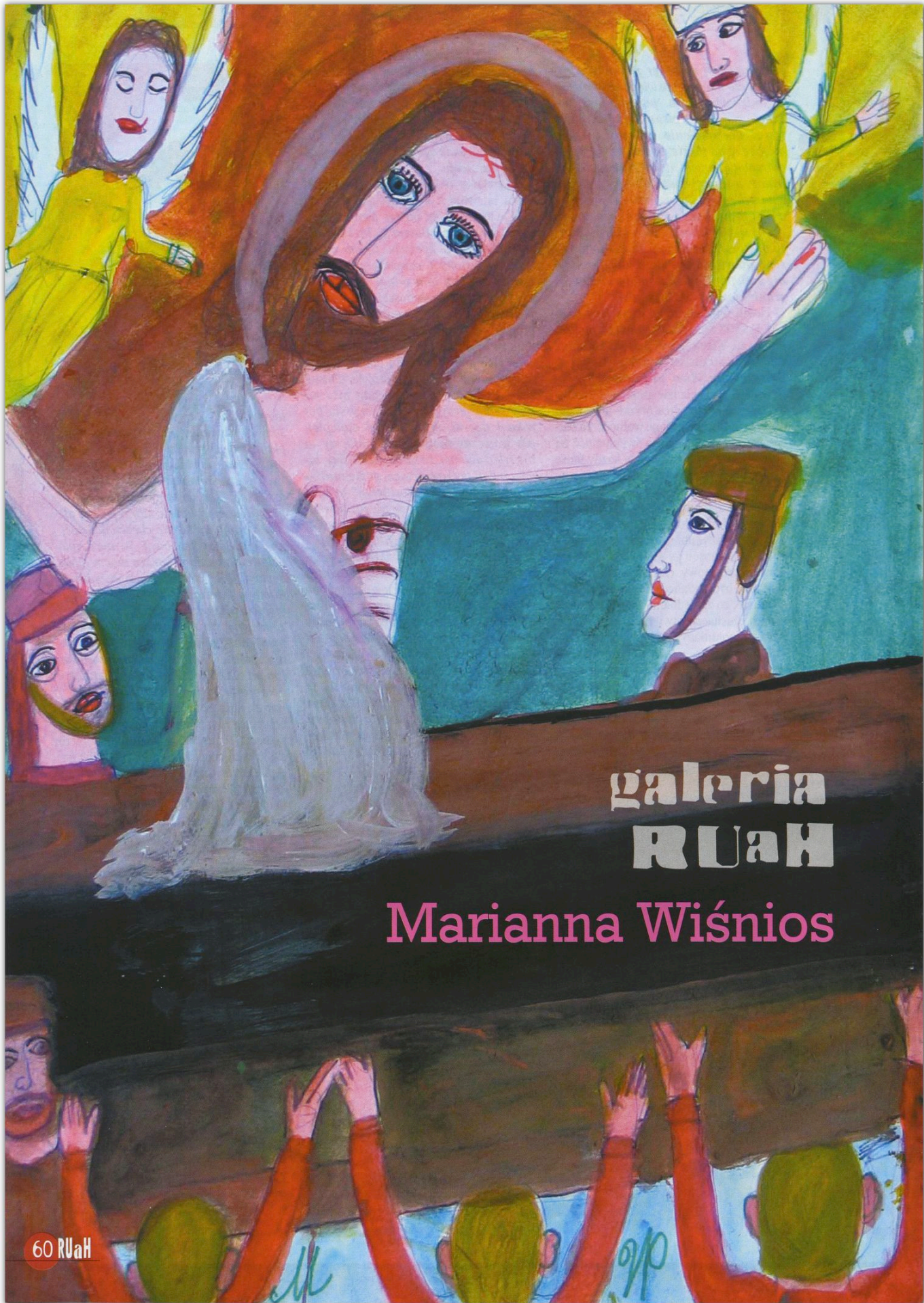
lejny krążek. Mamy nowe utwory, część starych, na nowo przeżytych. Nagranie planujemy w składzie, w jakim obecnie pracujemy, powiększonym o zaproszonych gości. Pojawiliby się też saksofon, fortepian. Zamierzamy zaprosić wielu muzyków, m.in. takich, którzy jeszcze nie funkcjonują na scenie chrześcijańskiej, np. Agnieszkę Szupował. To niezwykle dziewczyna dająca bardzo mocne świadectwo. Śpiewała w Teatrze Muzycznym Roma w Warszawie. Zostawiła wszystko i wróciła do rodzinnej miejscowości, aby zajmować się dziećmi niepełnosprawnymi. Komponuje świetne utwory, pięknie śpiewa. Zaczęliśmy współpracować i mam nadzieję, że to dopiero początek naszej wspólnej muzycznej drogi.

Bartek idzie tą drogą już 3 lata i otwiera ona przed nim nowe perspektywy. Jednak sytuacja sceny chrześcijańskiej dopiero się krystalizuje. Według kilkunastu badań Darka Ciszewskiego, współtwórcy audycji „Muzyczne dary” (www.muzyczne-dary.niedziela.pl), 1/3 Polaków słucha tej muzyki. To wielkie wyzwanie. Teraz trwa okres oczyszczenia. Okaże się, kto traktuje to tylko jako rynek, a kto jako życie, służbę i pracę. Przyszłością są w naszym kraju kluby i kawiarnie prowadzone przez chrześcijan, którzy chcą, aby taka muzyka u nich się pojawiała. W chwili obecnej możemy roztaczać różne wizje przyszłości tzw. muzyki chrześcijańskiej, jedno jest pewne: *Jeżeli Kościół nie będzie mecenasem tej sztuki, to ona zagnie. Spójrzmy na listę zespołów widniejącą na www.kdm.pl. Jest długa, ale tylko nieliczni faktycznie funkcjonują.*

Wychodzimy z kościoła. Mile spędzony czas jest szczególną łaską, wspólne chwile codzienności wiodące ku spełnieniu w Miłości. Niebawem każdy z nas pożegna dzień po swojemu, być może w ten sam sposób, w jaki zakończyliśmy koncert: wspólnym wołaniem wśród świec „Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje”... ■

Ilona Pliszka





galeria
RUaH

Marianna Wiśnios

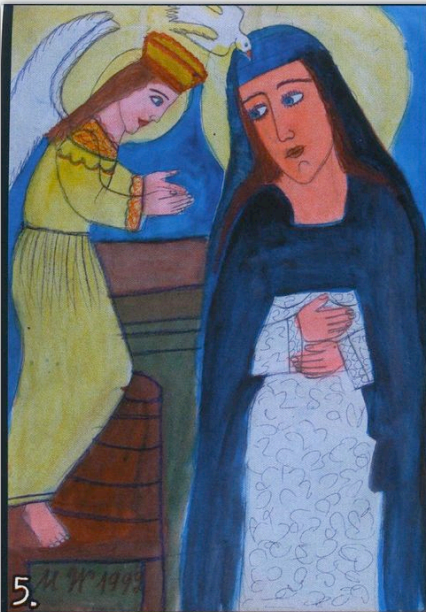
Byc może nikt spośród polskich artystów nie stworzył tak wielu obrazów przedstawiających „Ukrzyżowanie” jak Marianna Wiśnios – wybitna ludowa malarka, która mieszkała we wsi Rataje koło Wąchocka na Kielecczyźnie. Jest autorką setek prac przedstawiających Chrystusa na krzyżu; to był jej najważniejszy temat, ale czasami przedstawiała też inne sceny pasyjne (Chrystus w grobie). Wracała do tych tematów nieustannie, przez lata. Sceny te rysowała najpierw ołówkiem, a potem kolorowała akwarelą; czasami używała pasteli, wcześniej różnych farb, które były w gospodarstwie. Odkąd owdowiała, spędzała tak przy pracy noce – malowała w świetle naftowej lampy w swojej niewielkiej chacie na skraju wsi. Forma jej obrazów jest naiwna, a jej wyobraźnię i duchowość ukształtowała tradycyjna kultura ludowa. Głęboka kultura duchowa, która stworzyła wzory niemal mistycznego przeżycia religijnego, ale też dawała wiarę w porządek świata, optymizm, pogodę ducha, mądrość – mimo doświadczeń losu i ciężkich warunków życia. Świadectwem związków jej sztuki z przekazywaną ustnie tradycją są zapisywane niekiedy na odwrocie obrazów ludowe wiersze, pieśni i piosenki, których znała wiele; te obrazy ilustrowały ich treść.

Marianna Wiśnios zmarła w 1996 roku, zaledwie 9 lat temu, ale już teraz wydaje się, że jej życie upłynęło w odległych czasach. Nie jest pewne, w którym roku się urodziła, podawała, że w czasie wojny – w 1914.; opowiadała, że rysowała i malowała już w dzieciństwie, ale wróciła do malowania w 1947, kiedy pomagała synowi w rysunkach. Ani mąż, ani otoczenie nie akceptowali jej malowania i przez lata kryła się ze swoją pasją. W 1972 roku po raz pierwszy jej prace znalazły się na wystawach sztuki ludowej, w Ilży i Szydłowcu, zainteresowali się jej malarstwem kolekcjonerzy i Muzeum Narodowe w Kielcach. Starala się naśladować jedyne znane jej obrazy z kościoła i dewocyjne oleodruki (dla niej piękne, dla nas kiczowate), nie potrafiła ich jednak powtórzyć i forma pozostawała naiwna; ale przeżycie twórcze i religijne, które tej pracy towarzyszyło, na pół mistyczne, głębokie i prawdziwe, kolorystyka, niekiedy ostra, to znów oparta na niezwykle subtelnym zestawieniach, świadcząca o wielkim talencie – decydowały o wyjątkowości tych obrazów, ich sile i prawdzie.

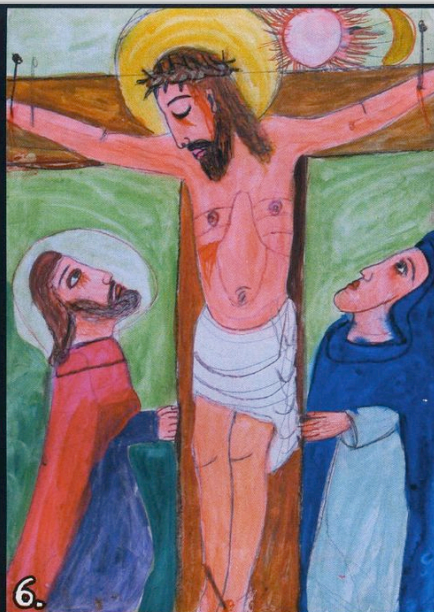
Otrzymała najbardziej prestiżowe nagrody, jakie mógł dostać twórca ludowy: im. Brata Alberta, im. Jana Pocka, im. Oskara Kolberga. Jej wystawy indywidualne odbyły się w Muzeum Narodowym w Kielcach w 1976 i w 1988 r. – tam pokazywano jej obrazy jako prace ludowego twórcy, ale w 1994 r. jej wielką wystawę (ponad 250 obrazów) zorganizowało Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, które nie zajmuje się w ogóle sztuką ludową – w ten sposób wskazując sztukę wybitnego artysty.

Prezentowane tutaj prace Marianny Wiśnios pochodzą z ostatniego okresu jej twórczości, najmniej znanego, z lat 90. – należą do prywatnej kolekcji. Chociaż malarka nieustannie powtarzała te same tematy, nigdy nie zabrakło jej inwencji i każdy obraz jest inny, żaden nie jest powtórzeniem wcześniejszego. W tych ostatnich pracach

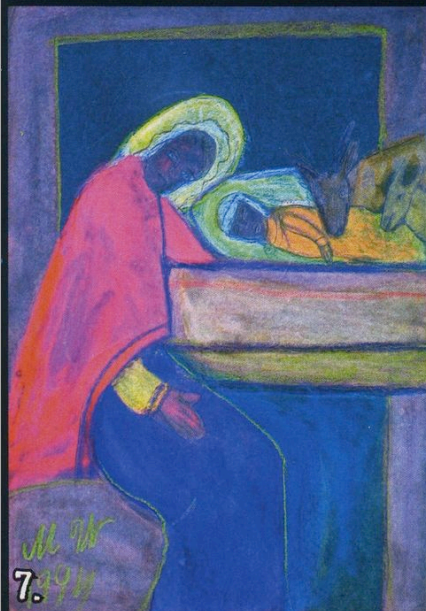




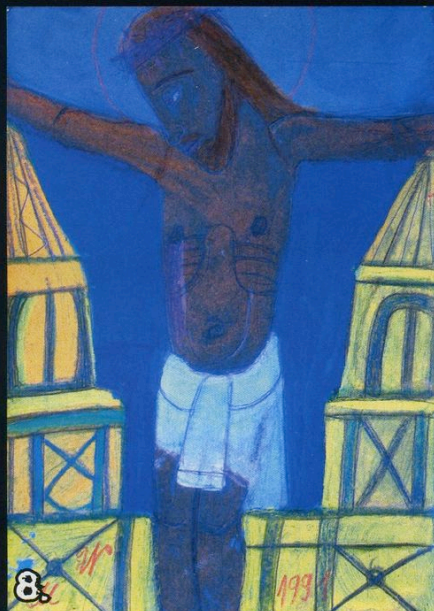
5.



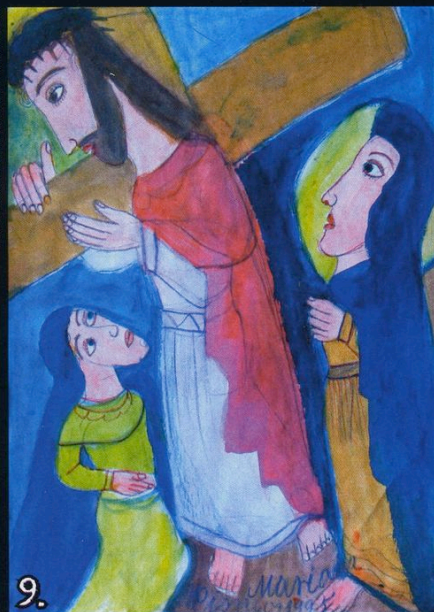
6.



7.



8.



9.

rysunek wydaje się czasem mniej pewny (a może bardziej swobodny), za to rozwiązania ikonograficzne niekiedy zdumiewająco odkrywcze; wydają się świadectwem głębszego odczytania i zrozumienia malowanej przez nią męki Chrystusa. To nieustanne powracanie do tego tematu – jak w modlitwie – jest najbardziej niezwykłą cechą jej sztuki.
Mieczysław Szewczuk

Tytuły prac:

1/ Zmartwychwstanie, 2/ Chrystus w koronie cierniowej z aniołem, 3/ Chrystus złożony do grobu z dwoma aniołami, 4/ Bez tytułu, 5/ Zwiastowanie, 6/ Ukrzyżowanie, 7/ Boże Narodzenie, 8/ Chrystus ukrzyżowany, 9/ Chrystus dźwigający krzyż i Maria.

FOTOGRAFIE PRAC: ZBIGNIEW KAMIENSKI

Co z tą bombą? albo o tym, jak rozbrajałem

U2

Michał Nolywajka

O tym, że czterej panowie z Dublinu pracują nad nową płytą wiadomo było już od dawna. Fani czekali z niecierpliwością, a sceptycy zastanawiali się, czy po tylu latach wspólnego grania można jeszcze pokazać coś interesującego. Dyżurni kpiarze wyśmiewali zespół, oskarżając U2 o odcinanie kuponów zgromadzonych we wczesnych jego latach, a nowego krążka jak nie było, tak nie było. I oto wreszcie pod koniec zeszłego roku na półki sklepów trafił jedenasty studyjny album grupy: „How to dismantle an atomic bomb”.

No i zaczęło się! Kupiłem szybko płytę, jak na skrzydłach wróciłem do domu, włożyłem do odtwarzacza, usłyszałem i... zamurowało mnie. Nie podobała mi się! Początkowo nie bardzo byłem w stanie określić, co mi nie pasuje, co sprawia, że jakoś nie jestem w stanie zachwycić się muzyką i podpisać dwoma rękami pod każdym z tekstów. Najpierw pomyślałem, że po prostu mam zły dzień, co już samo w sobie było niepokojące, bo jako zagorzały zwolennik U2, po wysłuchaniu ich płyty powinienem raczej doznać nagłej i jakże oczekiwanej poprawy nastroju. Po kilku dniach doszedłem jednak do wniosku, że to nie sprawa niskiego ciśnienia atmosferycznego i wyjątkowo dołującej pogody. Brakowało czegoś, co zawsze uważałem w U2 za najciekawsze i najistotniejsze – niekonwencjonalnego i intrygującego sposobu podejmowania dialogu na temat spraw dla mnie, i – wyraźnie też dla zespołu, najważniejszych. Powoli zacząłem się jednak uspokajać, w końcu U2 to nie Iwan i Delfin (przy całym szacunku dla delfinów i ostatecznie też dla Iwana), nie nagraliby płyty o niczym, to nie w ich stylu! Uznałem więc, że i tym razem Bono i przyjaciele zakodowali w swojej muzyce i słowach coś ważnego i wartego głębszego zastanowienia. A że tytuł płyty brzmi „Jak rozbroić bombę atomową”, postanowiłem **postępować jak rasowy saper** i cierpliwie pracować nad rozwikłaniem irlandzkiej zagadki. Mój pierwszy trop związany był nie tyle z muzyką, co z samą okładką i książeczką dołączoną do CD. Czarno-białe zdjęcia są niewątpliwie ciekawe artystycznie, ale nie do końca wiadomo, do czego nawiązują i z czym powinny się kojarzyć. Iście księżycowy krajobraz z bliżej nieokreślonymi fabrycznymi budynkami w tle każe się zastanawiać, gdzie jesteśmy. Pustynia? Odludzie? Pogorzelnisko? W środku folderu Bono i the Edge toczą ze sobą pojedynek na aparaty, najprawdopodobniej cyfrowe. Może to tylko za-



bawa, ale może symbol czegoś więcej? Być może zestawienie nowoczesnej techniki z pustynną równiną ma wskazywać na to, że coraz więcej wokół nas supernowoczesnych urządzeń i nośników informacji, a coraz mniej zawartych na nich treści? A jeśli tak, to gdzie tych treści, o ile jeszcze istnieją, szukać?

Album rozpoczyna się bardzo mocnym uderzeniem. Unos, dos, tres catorce! – tak brzmią pierwsze słowa „Vertigo”. Chociaż zawsze byłem przeciwnikiem analizy dzieła w myśl zasady – co poeta chciał przez to powiedzieć?, myślę, że warto posłuchać komentarza Bono do tego właśnie utworu.

„Strach, paranoja, tego typu sprawy – właśnie o to nam chodziło w „Vertigo””. Album kończy się dość ekstatycznie, dlatego chcieliśmy, by zaczynał się czymś w rodzaju kuracji elektrostrząsami. To coś w stylu bycia w klubie, powinieneś bawić się na całego, a tu nagle masz ochotę się powiesić... (śmiech). To taka prosta piosenka. Mamy teraz bardzo nerwowe czasy, na serio. Włażasz wiadomości i zastanawiasz się „Wow, kto będzie następny? Brat, siostra, wujek, ciotka?... nerwowe czasy”.

Vertigo to przedwzrostowe uczucie, jakby nagle zebrało cię na młodości. To tak, jakbyś wspiął się na coś wysokiego i miał tylko jedną drogę powrotu – to nie jest definicja słownikowa, tylko moja. Wyobraziłem sobie taki klub, który nazwałem „Vertigo”. Grają tam muzykę, której wcale nie chcesz słuchać i przyszli ludzie, których nie miałeś ochoty spotkać. I nagle zauważasz ją, na piersi ma zawieszony krzyżyk, więc wpatrujesz się w niego, bo nie ma nic innego, na czym mógłbyś skupić uwagę. W tym momencie odnajdujesz małe dziecko znak zbanienia. Poczulem ulgę. Pierwszy trop odnaleziony. **Kluczem do płyty może okazać się krzyż**, być może przypadkiem zawieszony na szyi dziewczyny tańczącej do szaleńczej muzyki w jakimś zwariowanym klubie. Krzyż, głupota dla Greków, zgrozzenie dla Żydów, dziś element najwyraźniej niepożądany w tak zwanej Zjednoczonej Europie, którego ponoć panicznie boją się dzieci... Krzyż, który faktycznie staje się bezsensu, jeśli nie jest oglądany przez pryzmat miłości. Połączenie zaiste karkołomne i wyjątkowo wymagające. Do zrozumienia tylko i wyłącznie na kolanach. Ostatnie słowa „Vertigo” brzmią: Twoja miłość uczy mnie, jak klękać.

Po elektryzującym wstępie przychodzi czas na chwilowe uspokojenie. „Miracle Drug” jest kawałkiem zainspirowanym wyjątkowo przejmującym wspomnieniem Bono z czasów szkoły średniej. W jego sąsiedztwie mieszkał całkowicie sparaliżowany chłopak, który mógł poruszać tylko oczami. Jego mama wierzyła, że potrafi się z nim porozumiewać i ufala, że kiedyś uczeni wynajdą tytułowe cudowne lekarstwo, które przywróci zdrowie jej synowi. Trop drugi wiedzie mnie

zatem do miłości trudnej, jakże dalekiej od tego, o czym słuchamy w większości komercyjnych przebojów. Przypominam sobie opowiadanie mojej siostry, która jako wolontariuszka pracowała we wspólnocie „Arka”. Razem ze swymi upośledzonymi podopiecznymi cała wspólnota wybrała się na wakacje do Francji. Jednym z punktów programu było zwiedzanie Paryża. Magda wspominała, że ich pojawienie się w centrum tej europejskiej metropolii budziło u wielu ludzi wyraźne poczucie niesmaku. Najwidoczniej choroba ciała nie mieści się w standardach... Na szczęście **trudna miłość ma inne zasady**. Przyjmuje także i tych, którzy prawdopodobnie nigdy nie będą mogli wyrazić siebie tak, jakby tego chcieli. Próbuje słuchać i rozumieć. „Chciałbym być na moment w twojej głowie, spędzić tam dzień, słuchać słów, których nie wypowiadasz, widzieć to, co być może widzisz [...] Piosenki są w twym spojrzeniu, widzę je, gdy się uśmiechasz, to mi wystarcza. Nie poddaję się i nadal czekam na cudowne lekarstwo”. Taka postawa nie zostaje niezauważona. „Pod warstwą hałasu, przykryty zgiełkiem, słyszysz ten głos szepejący poprzez naukę i medycynę – byłem obcy, a przyjąłeś mnie”. Na trzeci trop wpadam znowu podczas lektury ostatniej strony informacyjnej książeczki. Okazuje się, że **cała płyta jest poświęcona pamięci Brendana Roberta Hewsona, ojca Bono**, zmarłego w 2001 roku. Na pogrzebie syn zaśpiewał mu na pożegnanie „Sometimes you can't make it on your own”, trzeci z kolei utwór albumu. Oto jak Bono wspomina ojca: „To był prawdziwy twardziel, stary Irlandczyk, prawdziwy Dublińczyk z północy miasta, bardzo cyniczny w stosunku do świata i ludzi, a jednocześnie bardzo czarujący i zabawny w tym wszystkim. Zawsze uważał, że nie wolno marzyć, bo gdy marzysz, zawsze się rozczarujesz. Myślę, że to chciał mi przekazać. Nie użył takich dokładnych słów, ale o to mu chodziło, a jest to najlepszy przepis na megalomanię. Mnie interesowały tylko wielkie idee, nie tyle same marzenia, ale wprowadzanie ich w życie. Robienie rzeczy, które zakiełkowały mi w głowie, stało się dla mnie bardzo ważne. „Sometimes you can't make it on your own” jest poświęcone mojemu ojcu, jest to jego portret. Był doskonałym śpiewakiem, tenorem, robotnikiem, który słuchał opery i dyrygował nagraniami z płyt za pomocą drutów do robotek mojej mamy. Uwielbiał operę i dlatego w utworze umieściłem taką operową wstawkę, która, mam nadzieję, by mi się spodobała”.

I tu dochodzimy do bodaj najważniejszego tropu – klucza do rozszyfrowania całego albumu. Wszystkie dotychczasowe płyty U2 miały tytuły dość jednoznacznie określające ich najważniejsze motywy. W miarę łatwo można było odgadnąć, przed czym chcą nas ostrzec, na co zwrócić uwagę, co wykipie lub do czego zachęcić. Czy podobnie jest i w przypadku „How to dismantle an atomic bomb”? Niby dlaczego warto wiedzieć, jak roz-

broić atomową bombę? A właściwie, to po co to robić?

Kto doszukiwał się w tytule albumu metafory, miał oczywiście rację. W jednym z wywiadów Bono przyznał, że jego relacja z ojcem nie należała do najłatwiejszych. Często się kłócili i byli w stanie małej wojny. Dla Paula, bo tak brzmi prawdziwe imię Bono, tata był prawdziwą bombą atomową, do której nie dało się zbliżyć bez uprzedniego rozbrojenia. Okazuje się, że zadziorny syn znalazł na to nawet po latach jedyny i niezawodny sposób. Zdradził go w rozmowie z Michaeliem W. Smithem, tak, tak, tym Smithem. Pewnego dnia zaptał go, czy wie, jak rozbroić atomową bombę. Gdy popularny i utytułowany twórca muzyki CGM odparł, że nie ma pojęcia, Bono oznajmił: miłością, tylko miłością!

Nie mam zamiaru odbierać wam przyjemności powolnego rozbrajania wyjątkowo inspirującej bomby znaczeniowej skonstruowanej przez ostatnich poetów rock and rolla. Cała przyjemność tkwi bowiem w trudzie poszukiwania i radości odkrycia. Podpowiem tylko, że z całą pewnością warto wsiuchać się w muzykę i tekst „Love and Peace or Else” oraz „Man and a Woman” („nigdy nie zaryzykowałbym utraty miłości dla znalezienia romansu”). Kto zaś nie widzi niczego złego w modlaniu się nie tylko słowami Liturgii, ten może śmiało włączyć utwór „Yahweh” do swojego prywatnego modlitewnika.

YAHWEH

Weź te buty
Człapiące po jakiejś ślepej ulicy
Weź te buty i spraw, by pasowały
Weź tę koszulę
Polyesterowy biały śmieć zrobiony nie wiadomo gdzie
Weź tę koszulę
I uczyni ją czystą, czystą
Weź tę duszę
Uwięzioną w skórze i kościach
Weź tę duszę i spraw, by śpiewała
Yahweh, Yahweh
Zawsze ból przed narodzeniem dziecka
Yahweh, Yahweh
Wciąż czekam na poranek
Weź te ręce
Naucz je, co mają nosić
Weź te ręce
Nie czyni z nich pięści
Weź te usta
Tak skore do krytykowania
Weź te usta
Ucałuj je
Yahweh, Yahweh
Zawsze ból przed narodzeniem dziecka
Yahweh, Yahweh
Wciąż czekam na poranek
Wciąż czekam na poranek, słońce wschodzi
Słońce wschodzi nad oceanem
Ta miłość jest jak kropla w oceanie
Ta miłość jest jak kropla w oceanie
Yahweh, Yahweh
Zawsze ból przed narodzeniem dziecka
Yahweh, Yahweh
Dlaczego ciemność poprzedza poranek?
Weź to miasto
Miasto powinno jaśnieć na wzgórzu
Weź to miasto
Jeśli taka jest Twoja wola
Czego nikt nie może posiadać, nikt nie może odebrać
Weź to serce
Weź to serce
Weź to serce
I złam je.

p.s.

Do zobaczenia na koncercie w Chorzowie. Będę szalał pod sceną.

Michał Noliwajka



Koncert w Kościele Garnizonowym w Kaliszu Październik 2004

Miłosierdzie Boże

„Dzienniczek” – ponad 500-stronicowe dzieło słynnej mistyczki, siostry Faustyny Kowalskiej, powstałe w latach 30. XX wieku zna wielu ludzi w Kościele nie tylko w Polsce. Nikomu dotąd nie przyszło chyba na myśl, by do tego typu literatury komponować specjalną muzykę. Wśród zapisków wizjonerki znaleźć jednak można piękne wiersze, które stały się motywem inspiracji poznańskiego kompozytora Zbigniewa Małkowicza. Postanowił on dołożyć małą cegielkę do popularyzacji objawień Faustynty pisząc do nich melodie. W ten sposób powstało oratorium „Miłosierdzie Boże”, którego premiera odbyła się już rok ponad temu w stolicy Dolnego Śląska – Wrocławiu. Wykonawcami koncertu byli wówczas: zespół Lumen, chór „Gaudium” Uniwersytetu Wrocławskiego i orkiestra kameralna pod batutą Alana Urbanka, partie solowe zaśpiewali – Dariusz Tokarzewski z grupy Vox, znany wokalista jazzowy Marek Bałata oraz Marzena i Aleksandra Małkowicz – żona i córka kompozytora.



Po raz pierwszy muzyką religijną zajmowałem się przed 20. laty – mówi Zbigniew Małkowicz. – W duszpasterstwie akademickim przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim wraz z przyjaciółmi założyliśmy zespół muzyczny, w którym swe pierwsze kroki stawiali m.in.: znana później ze współpracy z Budką Suflera słynna – Urszula, przyszły wokalista Voxu – Darek Tokarzewski oraz moja żona Marzena. Wykonywaliśmy popularne wówczas piosenki religijne. W aranżacjach, które robiłem dla potrzeb zespołu, obok gitar akustycznych wykorzystywałem instrumenty smyczkowe i flet. Opracowywałem też wokale. Nasze

koncerty były zawsze przyjmowane gorąco. Po studiach na Uniwersytecie Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie Zbigniew przeniósł się do stolicy, gdzie ukończył dyrygenturę symfoniczno-operową na Akademii Muzycznej. Przez 8 lat pracował w Warszawie jako dyrygent w Teatrze Muzycznym „Roma”, współpracował ze scenami muzycznymi w Poznaniu oraz Wrocławiu. Realizował wiele premier, m.in. słynny musical „Sztukmistrz z Lublina”. Od ponad 11 lat działa również za granicą jako kierownik muzyczny i aranżer największej agencji koncertowej w Europie „EURO-Studio Langraf”. W moim odczuciu, obecny świat, także ten muzyczny, nie

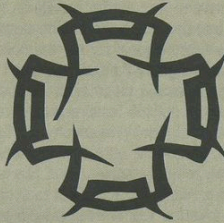
zmierza w dobrym kierunku. Przez cały czas pracy na scenach świeckich towarzyszyła mi narastająca tęsknota za muzyką sakralną. Gdy ukończyłem 40 lat, usłyszałem w sercu wyraźne ponaglenie, by zająć się bliżej sprawami Bożymi. Było ono tak niepokojące, że z wielką determinacją zacząłem komponować muzykę religijną. Wtedy też na mojej życiowej drodze pojawiła się Siostra Faustyna. Pomysł stworzenia pop-oratorium zrodził się dwa i pół roku temu, gdy sięgnąłem po znajdującą się na domowej półce wybór poezji z jej „Dzienniczka”. Chociaż wcześniej czytałem te teksty, dopiero teraz szczeroci i prostota

świętej, także jej bezgraniczne zaufanie do Stwórcy, tak mnie zachwyciły, że zapragnęłam podzielić się moimi odkryciami z innymi. Zafascynowały mnie i wzruszyły głównie słowa mówiące o Jego Miłosierdziu do wszystkich ludzi – wspomina kompozytor. Muzykę do wierszy wizjonerki Zbigniew pisał w autokarze, podczas tournée z wrocławskim „Skrzypiem na dachu” po Niemczech i Szwajcarii. *Wierzę mocno, że Faustyna była wtedy ze mną bardzo blisko i pomagała mi. Chociaż czuję, że muzyka do oratorium była wymodlona, nie oznacza to, że łatwo było zrealizować cały pomysł.*

Do stworzenia dużej formy muzyczno-słownej, która byłaby przystępna zarówno dla ludzi prostych, jak i tych bardziej wykształconych, zachęciły artystę zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia z krakowskich Łągiewnik. Siostra Elżbieta Siepak, (kierująca pracami upowszechniającymi dzieło św. Faustyny, przez Stowarzyszenie Apostołów Bożego Miłosierdzia „Faustinum”), opracowała specjalną narrację na podstawie tekstów „Dzienniczka” łączącą utwory wykonywane przez solistów i chór. Na potrzeby przedsięwzięcia Zbigniew założył zespół Muzyki Sakralnej „Lumen”, którego dużą część stanowi jego najbliższa rodzina: Michał Małkowicz – perkusja, Marzena Małkowicz – śpiew, Aleksandra Małkowicz – śpiew, Justyna Ponulak – skrzypce, Piotr Matusiewicz – skrzypce, Daniel Husak – perkusja, gitara, i sam kompozytor – instrumenty klawiszowe. Do grupy dołączył jego kolega Darek Tokarzewski, członek grupy Vox – śpiew i gitara. *Zaproponowałem też udział w oratorium Markowi Bałacie, z którym wielokrotnie wcześniej współpracowałem w kraju i za granicą – mówi Zbigniew. – Ten poprosił mnie, by zagrać mu jeden z utworów. Gdy to zrobiłem, nie mógł wystąpić do końca, tak się wzruszył. Teraz podobno nawet wśród swoich koncertów, bez akompaniamentu nuci słowa oratorium: „O mój Jezu, z ufności ku Tobie ufję wieńczy tysią-*

ce i wiem, że rozkwitną wszystkie, kiedy oświeci je Boskie słońce”. Przelomowym wydarzeniem dla zespołu był koncert w Dordach, gdzie miały swe spotkanie siostry przełożone i mistrzyni Zgromadzenia SMBM. Oklaskiwały nas gorąco i śpiewały razem z nami, zatwier-

m.in. cztery chóry i Orkiestra Symfoniczna Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Bardzo ciepło przyjęła dzieło Zbigniewa Małkowicza publika wakacyjnego Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Gospel „Camp Meeting” w Osieku. Później były kolejne wykonania. Pod koniec października 2004 roku w Koście-



**„O Wszchemocy Miłosierdzia Bożego,
Ratunku dla człowieka grzesznego!
Tyś Miłosierdzia i litości morze,
Wspomagasz tych,
co proszą Cię w pokorze!”**

dziły także melodię litanii do św. Sióstr Faustyny, którą napisałem na ich zamówienie. Przełożona generalna, s. Gracjana Szewc, napisała po koncercie: Czytając Dzienniczek siostry Faustyny odkrywa się wielką głębię, ale tak wyśpiewane treści ukazują jeszcze większe bogactwo Bożego orędzia, bo rzeczywiście czuje się w tej muzyce i wykonaniu inspirację Bożego Ducha.

Premiera pop-oratorium „Miłosierdzie Boże” odbyła się w lutym 2004 roku we Wrocławiu w 73. rocznicę pierwszego objawienia wizerunku Jezusa Miłosiernego. Dużych rozmiarów obraz ze słynną sentencją „Jezu, ufam Tobie!” zawisł nad sceną kina Oskar, na której zgromadzili się wykonawcy. Organizacją koncertu zajął się ks. Stanisław Stelmaszek, kapelan Policji na Dolnym Śląsku. Wśród publiczności znaleźli się wówczas specjalnie zaproszeni goście, duchowni i świeccy. Pop-oratorium pokazano następnie, tym razem dla szerokiej publiczki, w ramach IX koncertu Wielkopostnego (również we Wrocławiu) zorganizowanego pod honorowym patronatem rektorów uczelni wyższych Wrocławia i Opola. Wystąpiło wówczas około 200 wykonawców,

le Garnizonowym w Kaliszu odbył się koncert z udziałem Filharmonii Kaliskiej i pod batutą jej szefa, Tadeusza Wicherka. Został on zarejestrowany przez Piotra Madziara (MaDes), a producentem wykonawczym było Studio S Production Zbigniewa Szubińskiego ze Szczecina. Wydała je na płycie Agencja Artystyczna „Lumen” z Poznania. Pop-oratorium Zbigniewa Małkowicza „kroczy” przez Polskę sławiąc dzieło Miłosierdzia naszego Stwórcy okazywanego każdemu, kto o nie prosi. Dziękczynienia za nie – nigdy nie za dużo!

Andrzej Bujnowski OP

Najbliższe koncerty pop-oratorium:

1 kwietnia 2005 r., ponownie – w Kościele Garnizonowym w Kaliszu (z udziałem Filharmonii Kaliskiej), godz. 19.30;
3 kwietnia (Niedziela Miłosierdzia Bożego), w Kościele Seminarijnym w Warszawie, przy Krakowskim Przedmieściu, godz. 20.00;
10 kwietnia, w Kościele Bożego Ciała w Poznaniu, godz. 19.30;
Zespół Lumen wystąpi na centralnych uroczystościach 100-lecia urodzin sióstr Faustyny w Łągiewnikach,
25 sierpnia 2005 r.

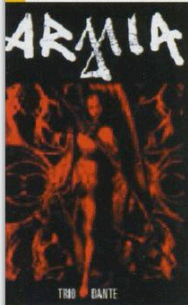
od lewej: Zbigniew Małkowicz, Dariusz Tokarzewski, Aleksandra Małkowicz, Alan Urbanek, Marzena Małkowicz, Marek Bałata



ARMIA Triodante DVD

METAL MIND PRODUCTIONS 2004

Nie wiem z czego bardziej się cieszyć – z tego DVD, czy najnowszej płyty. Wychodzi na to, że jako byle-mu dworakowi zespołu, przypada mi w wyłącznym udziale pisać o pojawiających się tu i ówdzie kolejnych wydawnictwach firmowanych logiem Armii.



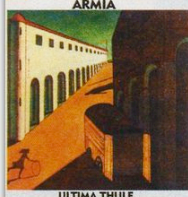
Od razu powiem, że muzycznie płyta „Triodante” nigdy mnie nie zachwyciła. Jest to muzyka bardzo trudna w odbiorze, pełna zmian rytmicznych i dziwnych (dla przyzwyczajonego do słuchania rytmów „na dwa” ucha), pozbawiona może nie finezji czy polotu, ale tego charakterystycznego dla Roberta feelingu gitary... Pamiętam, jak pierwszy raz słuchałem tego materiału, już zmiksowanego – pomyślałem sobie, że to koniec Armii takiej, jaką znałem... No, bałem się, że to w ogóle koniec tego zespołu (he

he he). Techniczne możliwości Grymuzy powiększyły jednak grono zwolenników zespołu o sympatyków kunsztownych kompozycji i trudnych podziałów. JA jednak twardo trzymam się zdania, że „Triodante” jest płytą trudną w odbiorze i co tu dużo gadać – Legenda rulez! Uczciwie jednak przyznać muszę, że wszystkie wstępy idą na bok, kiedy wkładam do DVD do napędu. Ubrana w wyrazistą wizję plastyczną „Triodante”, jako jedyna, może uchodzić za kompletny koncept album w twórczości zespołu. Spójna formuła zapraszająca słuchacza do podróży śladami Dantego poprzez piekło, czyściec i raj, nie każdego musi zachwycić – mnie jednak wciąga. Mimo, że byłem świadkiem, czy wręcz uczestnikiem kręcenia tego materiału, za każdym razem oglądam go z przyjemnością (szczególnie pokazując dzieciom, gdzie tatuś – zmieniony nie do poznania – występuje), gdyż dla mnie ma on przede wszystkim walor historyczny, dokumentalny. Widowskowi o tyle, że nie jest to kolejny zapis koncertu wprost ze sceny, ale przede wszystkim obraz pewnej wizji rzuconej przez pisarza kilkadziesiąt lat temu i podniesionej do rangi widowiska muzycznego przez rockmena w białej czapce. Ciekawe, jak duch Dantego patrzy na to, co powstało pod wpływem jego twórczości? DVD zawiera kilka dodatków, ale jedyną o czym warto napisać, to teledysk do piosenki „Trzy Bajki”, no i gratka, jaką zawsze jest dla fanów wywiad z artystą. Ogólnie nie będą pieniądze wywalone w błoto, szczególnie jeśli z twórczością Armii ktoś dopiero się zaczyna się zaznajamiać. **dzicz**

ARMIA Ultima Thule

METAL MIND PRODUCTIONS 2005

Ultima Thule – (łac.) najdalsza (wyspa) Thule; krańce świata, wyspa leżąca na dalekiej północy – tak definiuje tajemniczy tytuł najnowszej dokonania uzbrojonych w piękne dźwięki chłopców Multimedialna Encyklopedia Powszechna – edycja 2002. Tytuł skądinąd jakby już nieco zasłyszany u innego artysty (wówczas tylko „Ultima”), zawartość jednak zgola odmienna. Jak podają w/w źródła, owa łacińska nazwa sięga korzeniami do poematu dydaktycznego Wergiliusza – „Georgiki”, w którym autor, w barwny sposób, zachęca do... pracy na roli; co być może zostało podchwyczone przez naszego Cypriana Kamiła, podpowiadającego nam dyskretne związki między sztuką a pracą... Do czego zachęca nas Armia? Przede wszystkim do wyruszenia w niepowtarzalną podróż na daleką północ... Kiedy już zdążymy zachwycić się malarstwem De Chirico, to, nie przestając cieszyć oczy stroną gra-



ficzną płytę, zadbajmy też o doznania słuchowe. Numer jeden, który usłyszałem w przeddzień, a właściwie przednoc ukazania się płyty w radiowej Trójce powalił mnie prawie na kolana i spowodował nagłą decyzję o zainwestowaniu w ten ciągle obiecujący zespół, czego do tej pory nie żałuję, a wręcz przeciwnie. Pan Tomasz śpiewa/krzyczy (niepotrzebne skreślić) nieco inaczej niż zwykle, co dało się usłyszeć na niedawnym koncercie. Ale koncert to koncert, myślałem, że na płycie będzie po staremu; śpiewnie i dostojnie, a tu chwilami jest bardzo krzykliwe i... dostojnie. Dla mnie bomba, w końcu odrobina eksperymentu w wykonaniu profesjonalisty nie zaszkodzi. Do tego cudowne, ciężkie gitary Panów Popkorna i Pawła Klimczaka przyspieszają nieco rytm serduszka, które zdaje się w ten sposób lepiej przygotować umysł na przyjęcie treści wydobywających się z Buddyńskiej gardzieli. A, jak zwykle, nie jest to banał czy wpuszczanie w kanał, że tak zarupię, o nie! Nie będziemy się tutaj jednak zagłębiać, ani nawet zapływać w sens i znaczenie tekstów T.B. O interpretację poproszę każdą czytelniczkę i każdego czytelnika z osobna. Może dojdziemy do jakichś ciekawych wniosków i konstruktywnych myśli, a może po prostu odkryjemy coś najprostszego czy pocujemy to, co tak ulotne i istotne... Powodzenia!

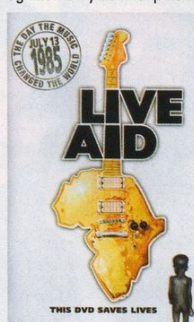
Kilka słów o muzyce. Generalnie, wszystko po staremu, tzn. podobnie jak w „Pocalunku...”, aczkolwiek nieco ciekawiej... Jest dużo niezwykłych, zwłaszcza gitarowych urozmaień, które, w połączeniu z twórczym podejściem do instrumentów, tworzą materiał, ciekawy muzycznie i nie nużący... (przynajmniej na razie). Pod tym względem „Ultima...” wydaje mi się dużo lepsza niż jej poprzedniczka, czy też „Droga”, które przy całym swoim uroku dość szybko popadały w pewną monotonię. Brzmienia gitarowe znane już z „Drogi” i „Pocalunku...”, na najnowszy krążek nie przypominają katarynki. Nieśmiertelna waltornia robi swoje i chwala jej za to! Jeśli jednak nie słyszałeś jej na koncercie, to nie wiesz co naprawdę potrafi! Gorąco polecam. Całość rytmizuje nam presympatyczny perkusista oraz znany już Dr Bas. Byłbym zapominał! Na płycie czeka Was mała (a właściwie duża) niespodzianka. Naprawdę!

Podsumowując: jedynym dla mnie mankamentem tej płyty jest brak takowego, stąd trudno mi podejść do sprawy krytycznie. No cóż, niektórzy antyzołnierze już tak mają, że stanowią niezawodną kompanię. I chociaż moim zdecydowanie ulubionym zbiorem piosenek żołnierskich pozostaje ciągle DUCH, to „Ultima...” pozwoli wyrabiać sobie czołowe miejsce na moim stojaku do płyt. Deo & armia gratias! **antiaid**

Live Aid (4 DVD)

WARNER MUSIC VISION 2004

Do koncertów charytatywnych mam stosunek – delikatnie mówiąc – chłodny. Być może jest to niesprawiedliwe, ale odnoszę wrażenie, że zawsze w ogniu masowych akcji „o dobrą sprawę”, ktoś chce się ogrzać. Zwykle nie przekonują mnie gwiazdy wiel-



kiego formatu, które próbują podeprzeć swoim autorytetem np. walkę z AIDS (jeden z bardziej popularnych, dobroczynnych tematów) lub obronę „matki Ziemi”. Często jest tak, że zakres szczytnych celów, wokół których gromadzą się znane postacie muzyki i kina, jest ograniczony do kilku politycznie poprawnych haseł typu „Stop AIDS”, „Stop ksenofobii” czy „Zdecydowane NIE dla wyrębu Puszczy Amazońskiej”. Właściwie nie ma powodu, żeby inaczej patrzeć na gigantyczny koncert „Live Aid” (1985). Dochód z koncertów, które odbyły się równocześnie w dwóch miejscach: na stadionie Wembley w Londynie i stadionie JFK w Filadelfii, przeznaczony był na dzieci głodujące w Afryce. Nie

wiem na ile ten koncert odciągał wtedy młodzież od nastroju zimno-wojennego, a na ile zagluszal wyrzuty sumienia Wielkiej Brytanii i USA w kwestii braku spójnej, „solidarnościowej” polityki wobec krajów Trzeciego Świata. Nie wiem również, czy nie bardziej pozytywne od, szlachetnego skądinąd, sprzeciwu wobec głodu w odległej Afryce, nie byłoby – równie spektakularne – wymagaloby akcji powtarzanej regularnie. Ponadto zupełnie nie mieści się to w etosie „socjalistów”, który udają, że miłują ludzkość, a nie dostrzegają potrzebującego człowieka w zasięgu własnej ręki... Nagromadzone powyżej myśli kłębiły się w mojej głowie podczas oglądania 10-godzinnego zapisu koncertów „Live Aid”. Rozmach przedsięwzięcia nawet po 20 latach robi ogromne wrażenie. Chyba nie skłamię pisząc, że była to największa tego typu impreza w historii muzyki pop. Co więcej, na ówczesne czasy przekonano do tego celu większość liczących się artystów szeroko rozumianego rock’n’rolla. Bezpośrednimi sprawcami tego wydarzenia byli bardzo popularni w latach 80. Bob Geldof i Midge Ure (Ultravox). Zdaje się, że to dzięki ich pozycji na rynku muzycznym, w koncercie wzięło udział ponad 50. wykonawców (zespołów) głównie ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Całość ogląda się doskonale – najpierw mamy reportaż o katastrofalnej sytuacji głodującej Afryki. W następnej kolejności – teledyski do dwóch utworów, które medialnie „ciągnęły” całą akcję „Do They Know It’s Christmas?” – Bandu Aid i „We Are The World” – USA for Africa. Potem są już przede wszystkim występy poszczególnych artystów w różnych konfiguracjach (rozmaite duety!), przerywane krótkimi wywiadami lub materiałami filmowymi. Mamy tutaj gwiazdy dzisiaj już przebrzmiałe – Adam Ant, Spandau Ballet, The Cars, Paul Young czy Simple Minds. Jednak bez względu na to, czy o kimś z występujących jeszcze pamiętamy, czy nie, niemal wszystkie koncerty ogląda się z wyśmienicie. No właśnie. Wszystkich muzyków rozsada energia. Widać, że są w 100% przekonani do idei przewodniej. Wyczuwa się wśród nich wspólnotę (może doświadczaną tylko tego jednego dnia!), która autentycznie chce „coś” zrobić dla świata. Mniejsza o to „coś” – chodzi raczej o postawę pragnienia czynienia dobra! Pomimo wątpliwości, o których wspominałem na początku – ten entuzjazm udzielił się też mnie. Zwłaszcza za przyczyną wyjątkowego występu U2, podczas którego – wbrew woli organizatorów – Bono bratał się z ludźmi, dziękując im za obecność na koncercie. Chciałbym wierzyć w czystość intencji muzyków uczestniczących w „Live Aid”, chciałbym też wierzyć, że pieniądze, zebrane podczas tych koncertów zostały przeznaczone tylko i wyłącznie na założony cel. Na okładce DVD napisane jest przecież: „This DVD Saves Lives”. Oby.

Marek Horodniczy

SCHMALETZ Czepianie i zrzynanie

XLM 2004

Na drodze do świętości / Piętrzą się trudności. Bardzo, bardzo fajne teksty. Bez ządęcia i niewymuszone, odrobina sarkazmu okraszona poczuciem humoru. Ten nikomu prawie nieznanemu artyście posiada unikalną w naszych czasach lekkość pisania o rzeczach wielkich w sposób zupełnie przyjemny. Ważne dla wbrednego słuchacza. Żadne tam łatwo przyswajalne tere-feru-ku-ku. Na 100% nie do przyjęcia przez tzw. Majorów, co już samo w sobie powinno być wystarczającą rekomendacją. W końcu płyta firmowana przez ósmy obieg – idąc tym tropem skala niezależności Schmalta powinna niejednego przyprowadzić o zawrót głowy. Dla unaocznienia skali dodam, że pierwszy obieg to dzieła wydawane oficjalnie. Drugi obieg to dzieła stojące do nich w opozycji (np. gazetki podziemnej Solidarności to był drugi obieg). Trzecim obiegiem nazywano pisma, kasety, dzieła ulotne ru-

chu punkowego, który stał w opozycji do obu wcześniejszych wymienionych. Jak więc myślicie, wobec kogo stawia się w opozycji obywatel smalczyk? Stuchając tej płyty odnoszę wrażenie, że pisze/śpiewa facet pozbawiony złudzeń, co do własnej osoby, a jeśli chrześcijanin, to nie pozbawiony wątpliwości (czyli coś w sam raz dla mnie). Można te liryki rozpatrywać w kategorii osobistego komentarza do (niestety) niezbyt kolorowej rzeczywistości. Uwaga:

żadne tam nachalne protest songi. To, co cenne, to podane wprost, jak na tacy, klarowne i pełne przekonania opinie na wybrane tematy. Od razu też wiadomo, kto i co do ciebie mówi. Bardziej dociekliwi wylapią także i po co śpiewa. Jeśli chodzi o manierę śpiewania, to tak, jakby koleś zmęczony, (ale nie znudzony) tym, co dookoła, starał się znaleźć choćby okrucy dobra („bożej iskry”) – lecz ze jego próby są nie tyle bezowocne, co raczej niezbyt przynajmniej w sferze efektów. Ot taki melorecytowany, bez ządęcia na wielkoformatowego wokalistę komentarz. W kwestii muzyki jest tu prawie wszystko. Ponieważ nasz samorodek uwielbia bawić się konwencjami, miesza gatunki i cytaty jak nawiedzona kucharka chochlą w garku. Mamy więc i łagodną gitarę akustyczną okraszoną loopami, organy, trochę elektroniki i gitarowego czadu w stylu Young Gods, czy nawet ska, brzmiające jak Madness z najlepszego okresu ich twórczości. Myślę, że po wyminięciu powyższego, nikogo nie zdziwi, że wylapałem dźwięki, które do tej pory kojarzyły mi się tylko i wyłącznie z twórczością niejakiego Michaela Nymana... no cóż, wiadomo, smalczyk, to przecież konsystencja otrzymana z przepięknie wielu kawaleczków wzorowo spełniająca swoje zadanie jako ilustracja do podawanych treści. Jedynym minusem, jaki wynalazłem, to kawalki zbyt często pozbawione sensownego zakończenia, nie mówiąc już o tym, że jak na mój gust zbyt szybko się kończą. Wszystkim tym, którzy myślą o sobie zbyt dobrze (lub czują się w tym momencie świetnie), polecałbym szczególnie numer siódmy – „Zamiast”, natomiast niejako z przekory typuję numer dziewiąty – „Parada”, na teledysk promujący płytę w Vivie. Z kolei „paznokcie z akrylu”, to – o ironio – piosenka o tym, jak znaleźć swoje miejsce w Kościele. Dla fanów Armii (pozdrawiam forumowiczów!!!), utwór – „Rekolekcje” brzmi jak dobrze nagrane kawalek Soundropsów po polsku. Z kolei „Liczyby”, to mocno apokaliptyczny tekst z ostro kontrastującą, jakby żywcem przeniesioną z horroru muzyką a'la pozytywką. Reasumując: w moim prywatnym rankingu rzecz absolutnie rewelacyjna, odsuwająca gdzieś na dalszy plan wszystkie te czadowe kapele tak bliskie memu sercu. Jeśli okres świąteczny jest dla was czasem zadumy, podsumowań czy planowania zmian, polecam ten krążek szczególnie. Gdybym słyszał na tej płycie tylko, jak flekowani są wszyscy wkóło, to trudno by mi było uwierzyć w szczerść tego przesłania. Jednak na szczęście Schmaletz nie oszczędza także siebie, nazywając po imieniu swoje wady i słabości, odsłaniając nie tylko ideologiczną, lecz także intymną, emocjonalną stronę swego jestestwa. Chyłę czola.

Grzegorz Waclaw a.k.a dziki

SOOL
Sool

BONART 2004



Ta płyta to zaledwie maxi-singiel promocyjny, będący wizytówką młodej formacji SOOL. Od razu trzeba zaznaczyć, że pod pojęciem „młoda formacja” należy rozumieć krótki staż zespołu, a nie artystyczną niedojrzałość. Grupę tworzą utalentowani i doświadczeni muzycy dwóch pokoleń: Basia Włodarska – wokali i chórk (TGD, New Life'm), Joanna Gajda – instrumenty klawiszowe (ASAF, Kwartet Janusza Muniaka), Robert Cudzych – gitary (New Life'm, Siódma Trąba) oraz jego dwóch

synów: Kamil i Mateusz – sekcja rytmiczna (Siódma Trąba, Bartek Jaskot). Krążek zawiera pięć znakomitych piosenek, świetnie nagranych (brawo zespół!) i zaśpiewanych (brawo Basia!), inteligentnie zaaranżowanych, nastrojowych, pulsujących życiem i radością, utrzymany w neo-soulowo-jazzującym klimacie. Każda z propozycji to dobra kompozycja, mądry przekaz i... potencjalny przebój. Nie ma tu banalnych melodii ani pustych szlagwortów, jest za to sporo nieobojętnego słowa i dobrych dźwięków, nagranych jak trzeba i gdzie trzeba. Większość utworów była już prezentowana na płytach promocyjnych naszego kwartalnika. Mnie osobiście aż dziwi fakt, że tak dobry materiał nie został do tej pory wydany w postaci pełnego albumu (piosenki zostały nagrane na przełomie roku 2003/4). Czyżby wydawcy w naszym kraju tak daleko byli ostrożni i nie wierzyli w powodzenie i ewentualny sukces ambitnej muzyki z chrześcijańskim przesłaniem? A może to wynik nadal panoszącego się piractwa, przez które wydawcy nie mogą znaleźć środków na nowe produkcje? Przykład zespołu SOOL pokazuje, że chyba na nowo trzeba podjąć dyskusję na te trudne tematy.... (ar)

KOM3RCJA nic na siłę

KOM3RCJA RECORDS 2005

Mówta co chceta, mnie ta płyta się podoba. Ujęła mnie już pierwszymi szybkimi taktami i słowami: „ciągle wasze parszywe mardy, nie mogę już na was patrzeć, wyłączam ten pi~~~~lony telewizor, zczynam wreszcie żyć inaczej”. Dalej jest w tym samym stylu. Kawal hc-punka ze swojskiego podwórka. Chłopaki, mimo, że młodzi wiekiem, to jednak pełni zapału i co tu dużo mówić, kulturyjący w naszym kraju, nieśmiertelna jak się zdaje ideał punka. Okraszają to wszystko sporą dawka ska, dzięki czemu słucha się tego wybornie, ma się ochotę po-ska-kać i w ogóle, nudzić się trudno. Dla wyznawców gatunku, którzy dość mają słuchania nihilistyczno-destrukcyjnego przekazu.



Pierwszy raz słyszałem punkowców (jest na płycie cover Dezertera – oczywiście „XXI wiek”) śpiewających następujące strofy: „to co dzisiaj przeraża, jest jak dżuma i zaraza, hedonizm, narkotyzowanie i codzienne dołowanie, gonimy Holandię”. To już nie te czasy, kiedy trzeba było szukać ze świecą podobnych bandów. No, musi ruszyło w interesie. Dają tej kapeli gwarancję spirit filled. Do ataku Kom3rcja! Zwłaszcza, że nie oglądając się na nikogo wydali tę płytę własnym sumptem. Realizacja nagrań: Litza. www.kom3rcja.band.pl dziki

STANISŁAW MARKOWSKI Tęsknota

WYDAWNICTWO AA 2003

Płyta ukazuje mniej znane, muzyczne i kompozytorskie oblicze wybitnego polskiego fotografa Stanisława Markowskiego. W latach 80. poświęcił on się tematyce społeczno-politycznej, obrazując walkę narodu polskiego o niepodległość i suwerenność. On również jest autorem muzyki do pieśni „Solidarni”, uznanej za hymn ruchu wolnościowego w 1980 roku. Nie zabrakło tej kompozycji i tej tematyki na omawianym krążku. „Tęsknota” tylko pozornie nie przystaje do innych płyt recenzowanych na łamach naszego magazynu. Prócz wątków patriotycznych odnajdujemy na płycie nostalgia za idealami i wartościami, które w dobie przemian rozmienniono na drobne. Nie jest to jednak płyta smutna ani gorzka – przenika ją chrześcijańska nadzieja spleciona mocno z radosną afirmacją życia. Stanisław Markowski opatrzył autorską muzyką wiersze Kazimierza Wierzyńskiego, Juliusza Słowackiego, Krzysztofa

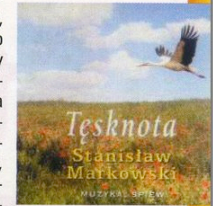
Kamila Baczyńskiego, Leopolda Staffa, Kazimierza Iłkowieckiego, Zbigniewa Herberta, Lucjana Siemińskiego, Leszka Aleksandra Moczulskiego oraz swoje własne liryki. Spory wpływ na kształt i charakter piosenek miały aranżacje autorstwa Krzysztofa Cyrana oraz wykorzystane instrumentarium (skrzypce, altówka, wiolonczela, klarnet, kontrabas, puzon, trąbka, akordeon i fortepian). W warstwie muzycznej album jest wielobarwny, liryzm i poetyckość ballad sąsiaduje z piosenkami utrzymanymi w rytmie tanga, które swoim klimatem nawiązują do czasów przedwojennej Galicji i Kresów Wschodnich. Są też utwory żywsze, jak choćby ognisty i brawurowo nagrany czardasz – „Ej Cyganie” oraz ze szczyptą humoru – „Napierski”. Z muzycznych niespodzianek polecam odnalezienie w „Piosence” do tekstu Herberta cytatu z sekwencji „Stabat Mater” ukrytego w partii smyczków. „Czy możliwe, że te chwile tak naprawdę kiedyś były, czy ożyły tylko już przeżyte sny”? Posłuchajcie „Tęsknoty” i poszukajcie odpowiedzi sami... (ar)

REMONT DUSZY Krótki jest czas

REMONT DUSZY 2005

„Remont” dane mi było zobaczyć po raz pierwszy jakieś 6 lat temu. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że wykorzystanie fletu poprzecznego to ciekawy patent. Poruszyło mnie również świadectwo jednego z chłopaków. Poza tym – muzycznie – zespół nie miał wtedy jeszcze zbyt wiele do zaproponowania. Kompozycje były owszem, przyjemne, ale technikę gry zdecydowanie należało doszlifować... Woda w Wiśle płynęła, zespół grał sporo koncertów w różnych miejscach i nabierał doświadczenia. Piosenki dojrzewały, ewoluowały, zmieniały się. Zmiany nie omijały również składu grupy – jak to czasem bywa, nie było się bez pewnych przetasowań personalnych. Ostatecznie ekipa Remontowa rozrosła się do dość pokaźnych rozmiarów (9 osób!), kiedy do kapeli dołączyła trzyosobowa sekcja dęta.

To wszystko spowodowało, że debiutancka płyta grupy zatytułowana „Krótki jest Czas” jest produktem przemyślanym, dopracowanym i na wysokim poziomie. Album zawiera 13 kompozycji. Na okładce płyty zespół umieszczył napis „reggae i ska”, jednak ska jest tu stosunkowo niewiele (poza kawalkiem „Babilon Roots Party”), zdecydowanie króluje reggae. Obok dwóch wspomnianych gatunków znaleźć tu możemy również nieco mocniejszych, rockowych riffów („Strona cienia” i „Kłamstwo”) czy ciekawych, wręcz funkowych zagrywek, które tu i ówdzie przemycą gitarzysta solowy. Instrumentarium zespołu jest niezwykle bogate, oprócz gitar, basu i perkusji są klawisze oraz charakterystyczny dla brzmienia grupy flet, jak też dżamby i konga, puzon, trąbka i saksofon. Co ważne, chyba każdy instrument ma rzeczywisty wpływ na brzmienie całości, żaden nie jest spychany na margines. Szerokie wykorzystanie potencjału, jakie posiada tak liczny skład umożliwiają rozbudowane aranżacje. Ta płyta ma wiele przestrzeni, barw, brzmień i kolorów. Poziom gry instrumentalistów – jak na moje niewykształcone ucho – nie pozostawia wiele do życzenia – to po prostu brzmi profesjonalnie. Pewne zastrzeżenia mam jedynie wobec wokalu – Janek trochę się asekuruje, odnosi wrażenie, że tak skupił się na tym, by zaśpiewać poprawnie, że miejscami zapominał o ekspresji i dynamice. Nie chodzi mi bynajmniej o to, że ze śpiewem jest źle, po prostu uważam, że mogłoby być lepiej. Myślę jednak, że trochę pracy nad techniką śpiewu może uczynić cuda i na kolejnej produkcji wokali zabrzmi tak świetnie, jak cała reszta płyty. Tymczasem cieszymy się tym, co mamy, bo przecież „krótki jest czas...” A sądzę, że jest czym, bo to naprawdę dobre wydawnictwo. Jan Trębacz



Stróże Poranka

Na początku rodziły się piosenki, z których w końcu powstała płyta „Stróże Poranka” – w zamyśle twórców, jak najbardziej stylistycznie i muzycznie zróżnicowana. Wkrótce pojawiła się możliwość grania koncertów i tak powstała myśl, aby zawiązać zespół. Nazwa grupy bierze swój początek z wezwania Ojca Świętego skierowanego do młodzieży, które zachęca do stawiania się „stróżami poranka”, strażnikami Światła, którym jest Jezus Chrystus. To właśnie słowa Jana Pawła II były inspiracją do stworzenia piosenki „Stróże Poranka”, nazwy płyty i ostatecznie nazwy zespołu. Zgodnie z wezwaniem Papieża do włączenia się w nurt nowej ewangelizacji, Stróże Poranka zdecydowali się głosić Dobrą Nowinę poprzez muzykę.

Grupa istnieje od września 2002 roku. Wywodzi się z Salezjańskich Wspólnot Ewangelizacyjnych. Muzykę traktuje jako świadectwo i chęć dzielenia się z innymi własnym doświadczeniem wiary. Teksty i muzykę tworzą Tomek „krzyżyk” Krzyżaniak oraz Paweł Chustak. Inspiracji szukają głównie w Piśmie Świętym – z owocnym skutkiem; powstały teksty w oparciu o wyjątki z Ewangelii lub adaptacje Psalmów. Stróże Poranka mają na koncie kilkadziesiąt koncertów. Byli także bohaterami reportażu emitowanego w telewizji WTK (Wielkopolskiej Telewizji Kablowej). W grudniu 2004 muzycy rozpoczęli pracę w studio nad nową płytą. Zdobyte do tej pory doświadczenie mają nadzieję



wykorzystać do stworzenia jeszcze lepszej i dojrzalszej muzyki, która służyłaby wszystkim zwracającym się ku Bogu, między innymi właśnie poprzez muzykę. Na nowej płycie przeważać będą teksty autorskie. Zespół marzy o występie na S.O.S. Festiwalu „Stróże Poranka” w Chorzwie oraz innych „pełnych ducha” festiwalach muzyki chrześcijańskiej. Nowa płyta ma być gotowa przed wakacjami.

Skład:

Mariusz Pietrow – gitara basowa

Sebastian Połoński – gitara

Bernard Adamczyk – gitara

Mateusz Kempiniński – saksofon

Tomek „krzyżyk” Krzyżaniak – perkusja

Paweł Chustak – wokół

Kontakt z zespołem:

Paweł Chustak tel. 694 245 780,

e-mail: chusti@op.pl www.strozeporanka.org

...by móc spotkać się
z Prawdą.

zapistnik

Tośki Krzysztoń

Wiem, że ostatnimi czasy powracają do nas wspomnienia sprzed i ze stanu wojennego. Dawno niewidziani, zmienieni przez czas, ważne stanowiska ludzie (tylko nieliczni jakoś niezmienni). Ta szczególna atmosfera, w której do dziś brzmi to nasze – nie! Komunie nie! Jeździliśmy autobusami, tramwajami „na gapę”. Pisaliśmy listy. Zbieraliśmy podpisy, pieniądze, zawoziliśmy je później rodzinom uwieczonych robotników. A na procesach politycznych, jak się dało, nie opuszczaliśmy pokrzywdzonych. Spotykaliśmy się na tajnych wykładach. Inwigilowani lub nie. Odważni, czasem słabi. Aresztowani. W poczuciu, że jesteśmy razem po tej najważniejszej stronie.

Byłam dość odważna. Wiąże to z młodym wiekiem i tym, że stały za mną doświadczenia i oparcie innych. Na wszystkie pytania wielu przesłuchań odpowiadałam, jak w zabawie w pomidora: *Odmawiam odpowiedzi, paraGRAF taki a taki.* (Jaki? Cale szczęście na razie nie muszę pamiętać). Taka postawa nie była czymś nadzwyczajnym. Było nas wielu.

Tego dnia, gdy byłam u pani profesor, z głową pełną wspomnień i ludzi, o których od kogoś przypadkiem dowiedziałam się, że są na słynnej liście W. – odczułam, że na chwilę powrócił czas, który do dziś kojarzy mi się z mroźną

zimą i czułgami. Choć naprawdę trwała rozmowa o św. Piotrze i jego potrójnym wyparciu się Jezusa. Przewodna biblioteka mówiła o tym, jak to sobie wyobraża, a mnie wyświetliła się inna interpretacja.

Św. Piotr był dzielnym człowiekiem. Tak po prostu, po ludzku kochał Jezusa. To za Nim biegł po wodzie, a strażnikowi odrąbał ucho. Gdy Jezus zaczął przygotowywać uczniów na swoją śmierć, Piotr wziął Go na bok i szepnął: *Nie przyjdzie to na Ciebie...*

Kiedy przyszli po Chrystusa, Ten Piotrowi zabronił używać siły.

To, co mu pozostało, to towarzyszyć swemu Panu. Gdyby nie zaparł się po raz pierwszy, zostałby pojmany, więc nie mógłby już w żaden sposób Mu pomóc, a myślał także o tym, by przy Nim być za wszelką cenę.

Czy to zaparcie było naprawdę tchórzliwą ucieczką przed śmiercią, czy chęcią bycia z Nim i próbą szukania po ludzku jakiegoś wyjścia, łapaniem czasu, który nieubłaganie mijał? I po raz drugi się zaparł i rozpaczyłwie po raz trzeci. Ale gdy zapiał kur, jakby opadła zasłona. Zobaczył wszystko w innej perspektywie, a siebie jako tego, który po trzykroć opuścił nie człowieka, ale swego Boga Żywego – Baranka. I zapłakał.

Co do listy W., myślę, że najbardziej potrzebna jest ona tym, którzy się na niej znajdują. A my? Czy nie tkwimy na jakichś listach przewinień? Obyśmy tylko potrafili to zobaczyć, by móc stanąć w prawdzie. By móc spotkać się z prawdą.

Tośka Krzysztoń



Styczniowe wzruszenia - czyli klezmerzy zaślad Wisły

Kiedy pewnego niedzielnego wieczoru wracalem do domu po koncercie Cracow Klezmer Band (CKB), cieszyłem się jak dziecko. Powód był następujący. To co usłyszałem, z całą mocą ukazało mi, że muzyka – nie uciekająca od eksperymentu i formalnych poszukiwań – wciąż może mieć ścisły związek z autentycznym pięknem. Koncert w studiu im. Lutosławskiego ma być wydany na płycie przez amerykańską firmę Tzadik – każdy będzie mógł się zatem przekonać o tym na własne uszy.

Zacznijmy jednak od początku, bo koncert, o którym mowa jest zwieńczeniem ponad 8-letniej działalności krakowskiego kwartetu. Zespół powstał w 1997 roku z inicjatywy akordeonisty Jarosława Bestera. Oprócz niego w składzie na stałe obecni są Jarosław Tyrła (skrzypce), Oleg Dyyak (akordeon, klarnet, instrumenty perkusyjne) oraz Wojciech Front (kontrabas). Dotychczas Klezmerzy wydali trzy płyty „De Profundis” (2000), „The Warriors” (2001) i „Bereshit” (2003). Wszystkie w barwach wspomnianej wyżej wytwórni Tzadik. Nad nazwą wytwórni nie można przejść obojętnie, bo jest to jedna z najważniejszych na świecie instytucji promujących nowoczesny jazz, muzykę żydowską oraz eksperymentalną. Prowadzi ją kompozytor i wykonawca w jednej osobie – John Zorn. Okoliczności znalezienia się zespołu pod skrzydłami Tzadik, potwierdzają tylko klasę zespołu. Otóż, to wcale nie muzycy zabiegali o to, by nagrać płytę u Zorna. To Zorn odnalazł naszych bohaterów i zaproponował im współpracę. Smaku całej historii dodaje fakt, że Jarosław Bester podczas pierwszych rozmów z nowojorską legendą... nie najlepiej orientował się, z kim ma do czynienia.

Kluczowe wydaje się pytanie: dlaczego jedna z najlepszych na świecie niezależnych wytwórni płytowych zainteresowała się twórczością krakowskiego bandu? Odpowiedź jest prosta – bo to co prezentuje CKB jest wyjątkowe. Trzeba przyznać, że Zorn miał dobre ucho i zapewniam – wcale nie bawił się w dobrego wujka z Ameryki. Po prostu zaczął wydawać doskonałą muzykę, która miała stać się prawdziwym objawieniem właściwie wszędzie, tylko nie w Polsce.

Pierwsza płyta zespołu stanowi mocne

wprowadzenie do całej jego twórczości. Na kolejnych albumach w strukturze utworów zmienia się niewiele i to właśnie na „De Profundis” po raz pierwszy wytyczony został kierunek poszukiwań muzyków. Muzyków – dodajmy – gruntownie kształconych w interpretacji repertuaru klasycznego. Od początku strategiem i głównym kompozytorem zespołu był Bester. To jego utwory, które często sąsiadują z kompozycjami tradycyjnymi, przesądzają o niebywałej oryginalności CKB. Na razie powiedzmy tylko, że jest to muzyka nagrywana bez żadnych fajerwerków produkcyjnych – pozostają tylko doskonałe „ustawione” instrumenty i zdolności wykonawców. Zwróćmy również uwagę na wyraźną inspirację kulturą jidysz (stąd m.in. obecność tradycji klezmerskiej), ale chyba w równym stopniu – współczesną muzyką poważną. W sposobie improwizacji dopatruję się również wpływu nowoczesnego jazzu, chociaż tematy, wokół których narastają wariacje, pozostają etniczne (przede wszystkim są to motywy żydowskie i cygańskie). Krótko mówiąc – już na pierwszej płycie – CKB stworzyli nową jakość i zupełnie bezmyślnie jest wrzucanie ich twórczości do worka z nazwą „muzyka klezmerska”.

Kolejny krążek, pt. „The Warriors”, dedykowany jest Johnowi Zornowi i – jak doczytałem się w jednej z wypowiedzi Bestera – to Zorn jest owym tytułowym wojownikiem, walczącym o jakość dzisiejszej sztuki muzycznej. Ponadto na okładce płyty pojawiają się postacie ważne dla europejskiego ruchu syjonistycznego. Tytułowi wojownicy nabierają więc kolejnego znaczenia. Muzyka zawarta na drugim albumie Klezmerów, jest wyraźnym krokiem naprzód w stosunku do poprzednika. Głównie, jeśli chodzi o mistrzowskie operowanie atmosferą i brzmieniem instrumentów. Trudno opisać słowami ładunek emocji zawarty np. w utworze „The Prayer”. Można wszakże zwrócić uwagę na fakt, że bogactwo aranżacyjne zostało osiągnięte jedynie poprzez „wyciśnięcie siódmych potów” z poszczególnych instrumentów (nie pojawia się tu krztyna elektronicznego podrasowania brzmienia). Co ciekawe w utworze „Memento Mori” pojawiają się – na moje ucho – motywy charakterystyczne dla muzyki konkretnej, tylko wydobyte z „ubocznych” dźwięków skrzypiec, kontrabasu i akordeonu (skrzypienie, stukanie, kakofonie), a nie z samplera.

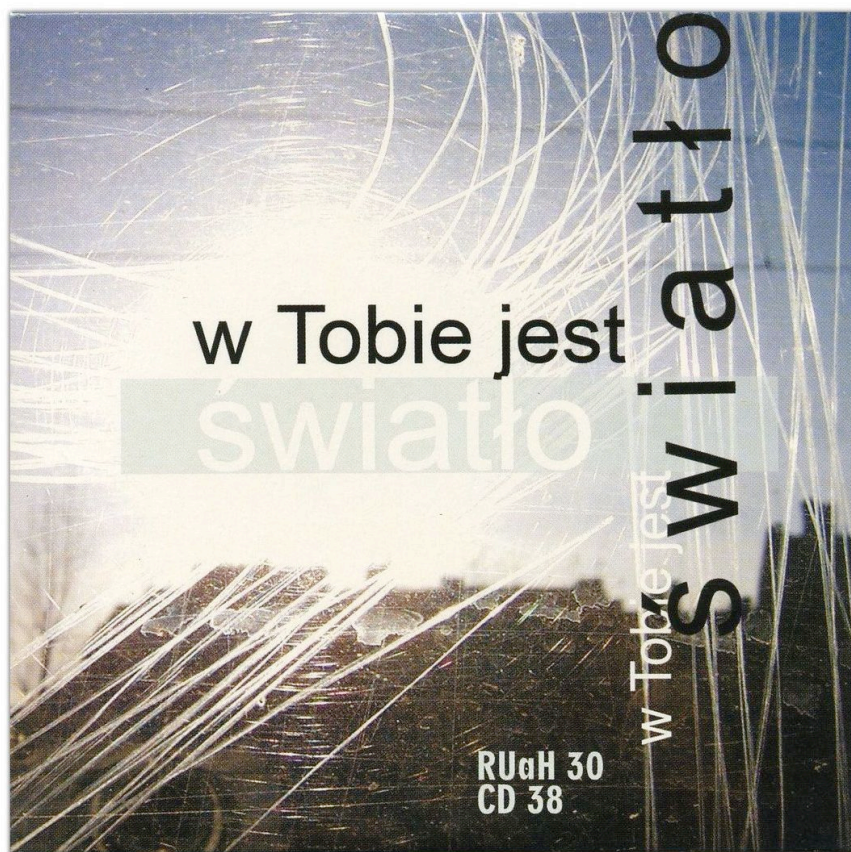


Opowieść o wojownikach, jakkolwiek doskonała, wciąż stanowi tylko prelude do opus magnum zespołu. „Bereshit” to brawurowa opowieść o stworzeniu świata, w której dojrzejają owoce poszukiwań zapoczątkowanych na poprzednich płytach. Pojawia się też jeden nowy element – wokal Grażyny Auguścik. Album dedykowany jest Rabinowi Nachmanowi Z Bracławia (1772–1810), jednemu z najważniejszych cadyków w historii Izraela. Przeżycie religijne jest tutaj obecne w szczególny sposób. Wyczuwa się je chyba bardziej niż na poprzednich płytach. Szczególny nacisk zespół położył na dramaturgię. Można chyba „Bereshit” nazwać koncept albumem. Wszystko jest tutaj poukładane. Proporcje pomiędzy improwizacją a tematami poszczególnych utworów zachowane są idealnie. Oczywiście nie brakuje również tradycyjnych dla CKB zwrotów akcji, ale wszystko odbywa się z poszanowaniem słuchacza. Nic na siłę – piękno wymaga przecież harmonii. Na koniec pojawia się utwór tytułowy („Stworzenie”) i jest to niemal przeżycie mistyczne... Nie będę nawet próbował go opisywać, bo zwyczajnie brak mi słów.

Ów zimowy wieczór, o którym wspominałem na początku, pozostanie w mojej pamięci na długo. Wszystkie studyjne atuty zespołu zabrzmiały w moich uszach ze zdwojoną siłą. Zobaczyłem ludzi, którzy wkładają w swoją muzykę całą duszę, rwą włosie na smyczkach, przelewają pot, a instrumenty traktują – jak sama nazwa wskazuje – INSTRUMENTALNIE. Nie one są przecież najważniejsze. Najważniejsze jest piękno, które prowadzi do Boga. A właśnie z pięknem w czystej postaci miałem radość obcować w Studiu Koncertowym Polskiego Radia w Warszawie.

Marek Horodniczy

Koncert „Cracow Klezmer Band”
Studio Koncertowe Polskiego Radia, Warszawa,
23.01.2005



1. „Bądź listem” – **Puma**, Adam Rymarz, KrisStal, Jarek Zawadzki, st. i muz. ks. Justyn Ziemiński
2. „W Tobie jest światło” - **Marta Florek i grupa Odpowiem**, st. i muz. Artur Kaszowski
3. „Z Tobą i w Tobie” – **Saruel**, st. i muz. ks. Cezariusz Cieszyński
4. „Bądź wdzięczny” - **Euangelion**, st. Władysław Babis, muz. Jacek Konicki
5. „Eli, Eli” – **DJ Fabbs**, st. Pismo św. Mt 27,46, muz. DJ Fabbs
6. „Drogi” – **Stróże Poranka**, st. Paweł Chustak, muz. Paweł Chustak i Kuba Domański
7. „Daleś mi życie” - **TGD**, muz. i st. Piotr Nazaruk
8. „Stella Splendens” – **Amaryllis**, st. i muz. na podst. „El Libre Vermell de Montserrat” z XIV w. opracowanie Ewa i Marek Domagała
9. „O mój Jezu” – **Zespół Muzyki Sakralnej Lumen, Filharmonia Kaliska, Marek Bałata**, st. s. Faustyna Kowalska, muz. Zbigniew Małkiewicz
10. „Hej baco!” - **Promyczki**, st. Beata Kołodziej, muz. Joachim Mencil
11. „La c'e un posto” – **Roberto Bignoli**, st. i muz. R. Bignoli
12. „Let Praises Go First” – Mass Choir VI Warsztatów Gospel, st. i muz. Mark Beswick
13. „Surowość” – **Michał Kulenty, Marcin Masecki, Dariusz Ziółek, Grzegorz Grzyb, Stanisław Halat**, recytacja – Jerzy Zelnik, st. wiersza „Ambicja” i muz. Michał Kulenty

Bonus: **Piosenka dla Janusza Kotarby** – „Księga życia”
– **Browar Żywiec**, st. i muz. Jerzy Reiser

foto: design
marcin jakimowicz

RUaH
30 623 71 82

ul. Batalionu 25/1, 31-135 Kraków
tel./fax: (012) 623 71 81, tel. (012) 623 71 82
0601 45 27 21
fhma@paganihi.com.pl
www.paganihi.com.pl

w Tobie
jest
światło

paġanini
RUaH 30
CD 38

ISSN 1428-5983 W SZEL NIE PRWA ZASTWIEZONE TAKS PHEM KOZEMPI 412 NIE NA SPRZEDAZ